WŁADYSŁAW UMIŃSKI.

BIAŁY MANDARYN.

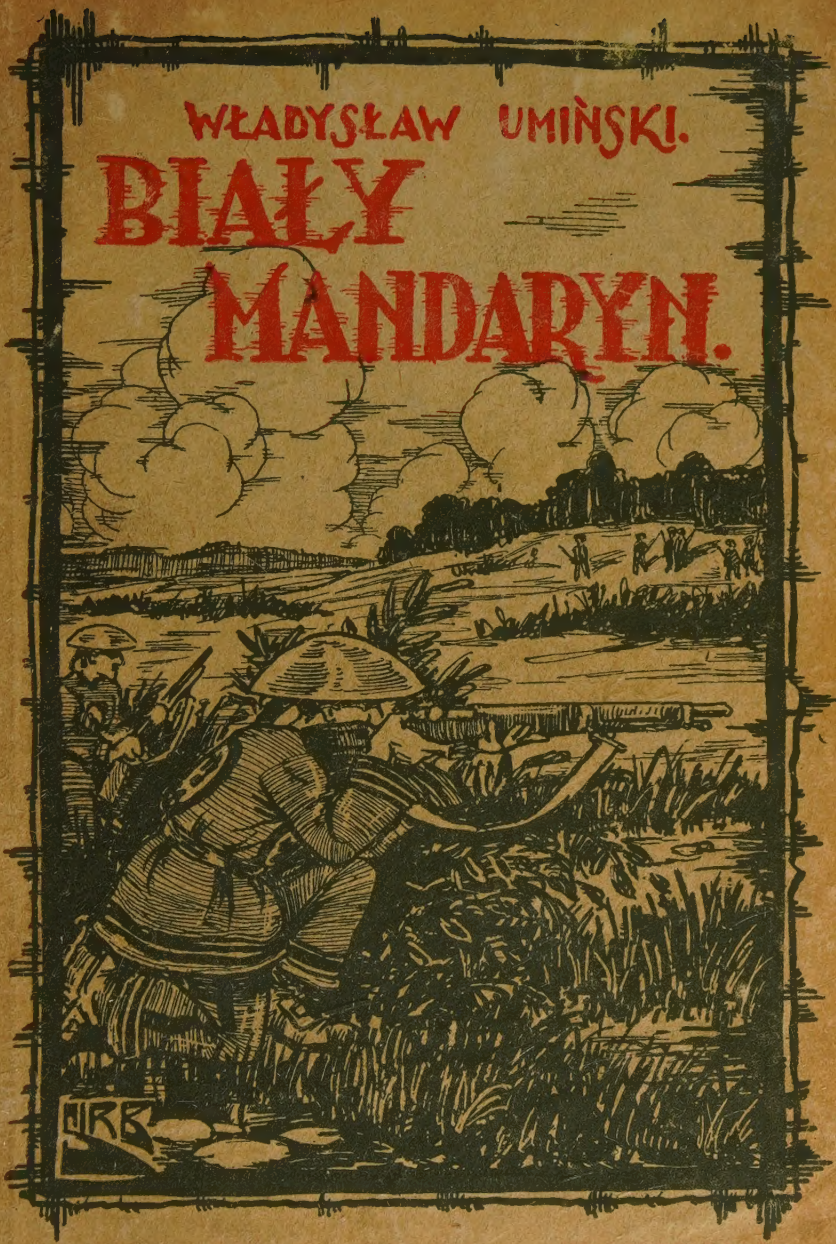

GEBETHNER I WOLFF — WARSZAWA

427 813. 6. 11

BIAŁY MANDARYN

BIAŁY MANDARYN

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

WYBÓR POWIEŚCI
DLA MŁODZIEŻY

TOM XIII

BIAŁY MANDARYN

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

BIAŁY MANDARYN

PRZYGODY RODZINY POLSKIEJ
:: NA DALEKIM WSCHODZIE ::

WYDANIE DRUGIE

Z 6 RYCINAMI
ST. BIEDRZYCKIEGO

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

SKŁADY GŁÓWNE:

»THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.« NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

ROZDZIAŁ I.

List z dalekiego Wschodu.

— List od ojca! — wołał trzynastoletni Janek, wpadając, jak bomba, do pokoju matki. — List od ojczulka! Co za szczęście!

Pani Bardzka zerwała się z krzesła i pochwyciła drżącemi ze wzruszenia rękami kopertę, oryginalnej barwy i kształtu, z piersi jej wydobyło się westchnienie, jak gdyby uczuła, że wielki ciężar spadł z niej nagle.

— Przeczytasz głośno, prawda? — błagał Janek, składając ręce. — Czy mogę przyprowadzić Zosię?

Inżynierowa ucałowała w głowę syna.

— Możesz — odrzekła.

Za chwilę wszyscy troje siedzieli na kanapce, przy stoliku, na którym płonęła wesoło lampa, pod różowym abażurem. Pani Bardzka zdławionym trochę głosem zaczęła czytać.

Od dwóch miesięcy nie miała wiadomości od męża, zajętego przy budowie kolei w Chinach wschodnich; list więc był dla niej prawdziwą ucztą duchową, do której przystępowała z namaszczeniem i z pew-

nym niepokojem, obawiając się, czy nie dowie się czego przykrego.

„Najdroższa moja Wando! — pisał inżynier — śpieszę przedewszystkiem zapewnić cię, że cieszę się zadowalniającem zdrowiem i nie tracę energji i właściwego mi dobrego humoru; list twój właśnie odebrałem, i porwała mnie taka tęsknota za wami wszystkimi, żem się rozpłakał przy obcych ludziach, a potem rzuciłem wszystko na łaskę losu i zamknąłem się w domu na dwa spusty, aby ci bez zwłoki odpisać. Gdyby nie ta tęsknota, co mnie gryzie, jak robak, towarzyszy mi w najprzyjemniejszych nawet chwilach, i gdyby nie troska o to, co wy tam sami beze mnie w Warszawie porabiacie, to śmiało mógłbym przyznać, że czuję się tutaj prawie tak, jak u siebie.

Przez te półtora roku oswoiłem się jakoś z tutejszymi ludźmi, którzy, upewniam was, nie są ani tacy brzydcy, ani źli, jak mi się zdawało z początku, poznałem kraj, a nawet zaczynam odczuwać piękno tutejszej przyrody, a stosunki, w naszych europejskich pojęciach dzikie, przestały mnie już razić; słowem, pogodziłem się zupełnie z Państwem Środka (tak bowiem nazywają tu Chiny) i jego żółtymi obywatelami. Przyszło mi to względnie łatwo, bo nie zrywałem ani na chwilę z cywilizacją: jadam widelcami, nie zaś pałeczkami, jak Chińczycy, myję się codziennie, zamiast raz na miesiąc, jak moi sąsiedzi, warkocza nie zamierzam dotąd zapuszczać i głowy nie

golę, tylko brodę; słowem, pozostałem europejczykiem i staram się prowadzić zupełnie taki sam tryb życia, jak w Warszawie, przy ulicy Marszałkowskiej. Trzeba przyznać, że takie uporczywe przestrzeganie przyzwyczajeń kulturalnego człowieka pociąga za sobą liczne kłopoty. Mam np. apetyt na wołowinę, a mój kucharz częstuje mnie szynką z psa, lubię kawę, a muszę poprzestawać na herbacie, do której straciłem gust od chwili, kiedym widział, jakiemi brudnemi rękami jest ona zbierana, sortowana i zwijana; muszę prowadzić wojnę ze wszystkimi o najmniejszą bagatelkę.

Powoli jednak naginam swoje otoczenie do siebie, chociaż z drugiej strony sam ulegam jego wpływom; pogodziłem się, między innemi rzeczami, i z tem, że zamiast jeździć konno na roboty, pozwalam się nosić w jaskrawo malowanej, krytej jedwabiem lektyce przez dwóch barczystych kulisów, a raczej kulów.

Budowa kolei naszej postępuje bardzo wolno, musimy pokonywać rozmaite przeszkody naturalne; usypaliśmy groblę na dwa kilometry przez bagno, a teraz budujemy duży most na szerokiej rzece, kiedy zaś skończymy most, zabierzemy się do wiercenia tunelu... Wszystko to pociągnie się ze dwa lata przynajmniej. Dwa lata! Czy przestrasza was równie jak mnie ten kawał czasu, nie wiem, ale wiem, że w żaden sposób nie wytrzymam tutaj sam tak długo, jeśli nie spełnicie mojej najgorętszej prośby. Tydzień temu trafiła mi się doskonała sposobność, kupiłem

za bezcen śliczny domek z ogrodem nad rzeką, od dyrektora sąsiedniej fabryki, którą zwijają. Powiadam ci, Wandeczko, cacko prawdziwe; sześć obszernych pokojów, urządzonych całkiem po europejsku, umeblowanych skromnie, ale przyzwoicie... „Co za szaleństwa popełnia ten Stefan!“ pomyślisz sobie niezawodnie, przecież nie potrzebuje tak obszernego pomieszkania dla siebie samego, tem bardziej, że za dwa, albo za trzy lata najdalej, wróci do Warszawy. Otóż to, że Stefan twój nie zrobił żadnej niedorzeczności; jeśli kupił domek, to dlatego, żeby jego żona i jego kochane dzieciaczki miały wygody, kiedy... do niego przyjadą... Tak, tak, drodzy moi, sprawa to postanowiona, przyjedziecie, bo chyba zatęsknię się na śmierć przez te dwa długie lata... Błagam was, uczyńcie zadość mej prośbie... Może wam się zdaje, że namawiam was na szalony krok, narażam na niebezpieczeństwo! Bynajmniej, nie taki straszny djabeł, jak go malują! — powiada nasze stare przysłowie! Zaręczam wam, że będziecie tu żyli niegorzej aniżeli w Warszawie: okolica cudowna, komunikacja rzeczna, kolej do Pekinu prawie gotowa, dom znajdziecie zaopatrzony we wszystko najniezbędniejsze, nawet rozrywek nie zabraknie... Co zaś najważniejsza, że nie będziecie tu sami, przy kolei pracuje kilkunastu techników, inżynierów europejskich, niektórzy, zwłaszcza Anglicy, sprowadzili już oddawna rodziny; utworzyło się małe, ale dobrane kółeczko miłych, inteligentnych ludzi, tak, iż czasami zapominam, że mieszkam gdzieś na końcu świata w Mandżurji.

Serce mi bije, gdy piszę te słowa, boję się, ażebyś mi nie odmówiła! Musisz natychmiast odpowiedzieć telegraficznie, bo umieram z niecierpliwości.

Pomyślałem już o wszystkiem. Nie pojedziecie koleją syberyjską, żeby was nie spotkała jaka przygoda, zresztą z Władywostoku do mnie lądem z tysiąc zgórą kilometrów, wcale nie najbezpieczniejszej drogi z północy na południe. Odbędziecie więc podróż morzem, na eleganckim parowcu z Hamburga; ma to także swoje złe strony, ale koniec końców, nie znużycie się tak bardzo, a w dodatku zobaczycie kawał świata".

W tem miejscu Janek, nie panując dłużej nad sobą, wyskoczył na środek pokoju...

— Podróż okrętem! prawdziwym okrętem po morzu, przez Indje! Co za szczęście! Doprawdy, mateczko! — dodał, rzucając się przed panią Wandą na kolana, że ja chyba zwarjuję z radości... Drogi, kochany ojciec!

— A jak wybuchnie burza? — szepnęła Zosia — to co? utoniemy i nie zobaczymy nigdy ojczulka.

— Burza, burza! wielka mi rzecz! — zawołał Janek.

— Czekajcie, niechże skończę czytać! — przerwała pani Bardzka. — Cieszysz się za wcześnie, moje dziecko... sama nigdy się nie odważę na taką długą podróż...

Jankowi zakręciły się łzy w oczach, ale wnet

wypogodził czoło, usłyszawszy, co ojciec pisał w dalszym ciągu.

„Droga z Hamburga do Tientsinu potrwa około czterech tygodni; z Tientsinu koleją dostaniecie się do Pekinu, gdzie się spotkamy w umówionem telegraficznie miejscu, najpewniej na stacji drogi żelaznej. Pozostałą część podróży aż do miejsca odbędziemy wspólnie... Natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi przychylnej, wyślę wam pieniądze w dostatecznej ilości, abyście nie potrzebowali się krępować w wydatkach... Nie podobna jednak, kochana Wandeczko, jechać tak daleko samotnej kobiecie. Umyśliłem więc, ażebyś zaproponowała panu Włodzimierzowi, nauczycielowi naszych dzieci, wyjazd na dwa lata, naturalnie, na warunkach dlań korzystnych. Pokładam zupełne zaufanie w jego energji i charakterze, wiem, że podróżował dużo i że włada biegle językiem angielskim. Miałabyś z niego nieocenionego towarzysza, któryby wziął na swe barki brzemię kłopotów, nieodłącznych od tak dalekiej podróży. Co do mnie, przygotuję wszystko na wasze przybycie i postaram się uczynić, co tylko leży w mej mocy, abyś nie żałowała kroku, do jakiego cię nakłaniam... Uściskaj dzieciaki ode mnie i przyjm tysiąc pocałunków od stęsknionego, liczącego niecierpliwie każdą godzinę, twego kochającego cię nad życie męża.

Stefana Bardzkiego

Skończywszy czytanie, pani Wanda położyła na kolanach list i zamyśliła się głęboko.

Niczego bardziej nie pragnęła od chwili wyjazdu męża, jak zobaczyć się z nim, jak znajdować się obok niego i dzielić z ukochanym człowiekiem trudy.

Propozycja Bardzkiego harmonizowała więc zupełnie z jej życzeniem; sama jedna nie wahałaby się ani sekundy i pośpieszyłaby choćby na koniec świata, narażając się na największe niebezpieczeństwa, byleby tylko połączyć się z mężem. Trwożyła ją tylko myśl o dzieciach, czy zniosą tak długą podróż, czy zmiana klimatu nie wpłynie źle na ich zdrowie, czy nie poniosą szkody na rozwoju umysłowym.

— No, i cóż, mateczko? — zapytał Janek, całując ją po rękach — jedziemy do ojczulka?

— W tej chwili nie wiem jeszcze, moje dziecko — odparła pani Wanda — pana Włodzimierza niema, a od niego zależy moja decyzja; musicie się oboje uczyć, bo stracony czas nie da się odzyskać.

— A jeżeli pan Włodzimierz zgodzi się?

— To zobaczymy...

Inżynierowa pocałowała syna w czoło, przytuliła jedenastoletnią Zosię do piersi i zapadła znów w zadumę.

Janek, widząc, że matka nie ma chęci do rozmowy, pobiegł do pokoju nauczyciela; pilno mu było podzielić się ze wszystkimi tak pożądaną wiadomością.

Pan Włodzimierz wyszedł był zaraz po obiedzie na miasto, a zazwyczaj powracał dopiero o 9-ej wieczorem. Chłopiec postanowił czekać cierpliwie, usiadł więc na fotelu, przy biurku nauczyciela, gdzie

się zwykle odbywały lekcje, i zaczął przerzucać kartki podręcznika geograficznego.

— Którędy jedzie się do Chin? W Hamburgu, jak pisał ojciec, trzeba wsiąść na okręt, ale teraz kwestja najważniejsza, jaką drogę obierają statki.

Janek czytał niedawno podróż naokoło świata przez Arago, i serce zabiło mu z radości, kiedy sobie przypomniał opisy dalekich krain, skreślone utalentowanem piórem francuskiego podróżnika, zabawne przygody Pepita, jego nieodłącznego kolegi. Wnet jednak przypomniał sobie, że od czasu Araga minęło kilkadziesiąt lat, a w tak długim przeciągu czasu dużo zmieniło się na świecie. Najbardziej ubolewał Janek nad tem, że teraźniejsze okręty płyną szybko, a skutkiem tego podróże nawet odległe trwają krótko; on wolałby wsiąść na zwyczajny żaglowiec i jechać długo, długo, choćby pół roku do Chin, a po drodze zatrzymywać się wszędzie, zwłaszcza na wyspach bezludnych.

Ale czy teraz istnieją jeszcze bezludne wyspy? Na to pytanie chłopiec nie umiał znaleźć odpowiedzi. Pod biegunem zapewne są, ale tam zimno, śnieg i lód; w strefie gorącej zaś wszędzie chyba mieszkają ludzie.

Nagle drzwi skrzypnęły, i niespodziewanie ukazał się pan Włodzimierz. Janek drgnął, zerwał się pomieszany, ale niebawem opamiętał się i schował książkę.

— Cóż to, uczysz się jeszcze, Janku? — zagadnął młody człowiek, głaszcząc go po głowie.

— Nie, proszę pana.

— Zdawało mi się, że miałeś na kolanach geografję.

Janek zaczął mrugać znacząco oczami i uśmiechać się tajemniczo.

— Jadę okrętem do Indyj — rzekł tajemniczo. — Czy pan także pojedzie?

Pan Włodzimierz wzruszył ramionami.

— Może mnie zabierzesz z sobą? — zagadnął żartobliwie.

— Naturalnie, jeśli się pan zgodzi na to.

— No, to ruszamy w drogę, choćby jutro...

— Słowo?

— Przyrzekam ci — odparł nauczyciel, śmiejąc się.

— Kiedy tak, to chodźmy do mamy.

I Janek, pochwyciwszy za rękę zdziwionego trochę, ale nie podejrzewającego zasadzki pana Włodzimierza, ciągnął go za sobą aż do saloniku, gdzie jeszcze siedziała pani Wanda z Zosią na kolanach.

— Ach, jak to dobrze, że pan wraca! — rzekła pani Bardzka, ujrzawszy nauczyciela — pragnę się poradzić pana w ważnej kwestji.

Najprzód jednak przeczytaj pan to — dodała, wskazując na list, leżący na stole.

Janek śledził z gorączkową ciekawością wyraz twarzy nauczyciela; pan Włodzimierz, doszedłszy do miejsca, gdzie Bardzki mówił o nim, podniósł oczy na chłopca.

— A ja sądziłem, że Janek żartuje — rzekł, marszcząc czoło.

— Stało się, stało się, panie Włodzimierzu, słowa raz danego cofać nie ładnie.

— Ladaco z ciebie! — odparł żartobliwie nauczyciel.

— No, i cóż? — zagadnęła pani Wanda.

Pan Włodzimierz wahał się widocznie, przygryzając bujnego wąsa.

— Wiadomo pani, że ojciec mój umarł przed paru laty, pozostawiając rodzinę i mnie bez żadnych środków — rzekł smutnie — matka, staruszka, potrzebuje opieki, a przedewszystkiem wygód, do jakich przywykła, kiedyśmy jeszcze posiadali majątek. Pragnąłem poświęcić się karjerze naukowej, zostać badaczem w dziedzinie zoologji i botaniki, odbywać odległe podróże... Zrobiłem nawet wycieczkę do Ameryki Południowej...

— Tak, wiem o tem — wtrąciła pani Wanda. — Doświadczenie pańskie przydałoby się teraz, gdybyś pan zechciał przychylić się do prośby męża i mojej, bo co do mnie, jestem zdecydowana. Skoro pan jednak nie masz odwagi rozłączyć się z matką, nie nalegam.

— Podróż na Wschód uśmiecha mi się — mówił dalej Włodzimierz — ale oddawna, bo od śmierci ojca, przestałem marzyć, pogodziłem się z twardą koniecznością życia i dziś pragnę tylko, choćby kosztem własnych upodobań, spłacić święty dług, ciążący na mnie, jako na synu.

Słysząc to, Janek z wysiłkiem powstrzymywał łzy, cisnące mu się do oczu. Dobroć pana Włodzimierza rozczulała go, ale zarazem czuł doń żal serdeczny.

— Mój tatuś także potrzebuje opieki — odezwała się Zosia — a jeśli pan z nami nie pojedzie, ojciec nie będzie nas miał przy sobie i może zachorować z tęsknoty.

— Namyśl się pan — rzekła pani Wanda, całując córkę — co do nas, ofiarujemy panu potrójną pensję, oraz koszty w podróży bierzemy na siebie. Wobec tego, jak sądzę, matka pańska będzie miała zapewnione wygody. Poproszę też swej siostry, aby się opiekowała nią...

— Dziękuję, dziękuję serdecznie za te dowody życzliwości — rzekł młodzieniec, ściskając dłoń pani Wandy — proszę jednak o czas do namysłu. Do niedzieli.

— Niechże będzie do niedzieli — odparła inżynierowa.

ROZDZIAŁ II.

W drogę.

Biedny Janek przechodził prawdziwe tortury, oczekując decyzji pana Włodzimierza; podczas lekcji starał się wyczytać mu z oczu postanowienie, ale nauczyciel wydawał mu się nieodgadniętym sfinksem.

To pewna, że chłopiec rozchorowałby się ze zmartwienia, gdyby go miała ominąć podróż, o której marzył bez ustanku na jawie, a nawet śnił nocami.

Za oszczędzone pieniądze kupił sobie parę książek geograficznych, oraz wielką mapę, i czytał zawzięcie, pragnąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o Chinach, Indjach i tych wszystkich okolicach świata, przez jakie miał przejeżdżać.

Z soboty na niedzielę nie zmrużył na chwilę powiek ze wzruszenia. Skoro tylko pan Włodzimierz wstał, Janek, nasłuchujący od czasu do czasu pod jego drzwiami, nie mógł już dłużej pohamować swojej niecierpliwości i zastukał.

— Panie Włodzimierzu, dziś niedziela — pamięta pan? — zapytał nieśmiało.

— Pamiętam — odrzekł nauczyciel, głaszcząc go po głowie.

— Pewnie pan nie pojedzie z nami — szepnął Janek — nie chce pan zostawić matki w Warszawie.

— Owszem, zamierzam wam towarzyszyć. Matka moja sama sobie tego życzy.

Chłopiec z okrzykiem radości rzucił się na szyję guwernerowi i ściskał go z całych sił.

— Oj, oj, ostrożnie, bo mnie udusisz i nie pojadę! — Wołał pan Włodzimierz, broniąc się.

Janek, puściwszy nauczyciela, pobiegł do Zosi i także pochwycił ją w objęcia.

— Jedziemy okrętem do tatusia, do kochanego tatusia, do Chin! — powtarzał i wieść tę komunikował kolejno matce, bonie, kucharce i pokojówce; gdyby się znajdował na ulicy, gotówby był dzielić się nią z każdym przechodniem.

Pani Bardzka, podziękowawszy młodzieńcowi, energicznie zakrzątnęła się około przygotowań do drogi. Wysłano niezwłocznie depeszę do Chin, a w dwa dni nadeszła odpowiedź, w której inżynier dziękował serdecznie żonie za poświęcenie i naznaczał miejsce spotkania na dworcu kolejowym w Tientsinie, oraz prosił o zakomunikowanie sobie nazwy okrętu i daty wyjazdu z Europy i z Hong-Kongu.

Janek i Zosia doznali niemałej przykrości, widząc, jak obcy ludzie zakupywali meble i urządzenie ze wszystkich pokojów, ale wprędce się pocieszyli, i całą ich uwagę pochłonęła rychła podróż.

Żegnając krewnych i znajomych, pani Bardzka brała ze sobą syna i córkę. Janek z dumą objaśniał rówieśnikom swoim, którędy będzie płynął. Och, znał

już doskonale marszrutę: z Warszawy koleją do Hamburga, gdzie wsiądą na wielki okręt, który przez kanał La Manche będzie płynął oceanem Atlantyckim, przez cieśninę Gibraltarską dostanie się na morze Śródziemne. Pan Włodzimierz utrzymywał, że zatrzymają się na chwilę w Neapolu, w tem ślicznem mieście, leżącem u stóp Wezuwjusza. Najbardziej cieszyła się z tego Zosia, bo nigdy jeszcze nie widziała wulkanu, tylko zwyczajne góry, kiedy bawiła z matką i braciszkiem w Zakopanem. Janka niewiele jednak obchodził Neapol, natomiast wyobrażał sobie z rozkoszą, jak okręt przez kanał Sueski i morze Czerwone wypłynie na ocean Indyjski i dotrze do Indyj. Mój Boże! dlaczego to nie trzeba jechać koleją wpoprzek tego kraju, gdzie są tygrysy, Indusi, pagody z fakirami, gdzie palmy prawdziwe rosną pod gołem niebem? Trudno! zato zobaczy Cejlon, Malakkę, Sumatrę, położoną pod samym równikiem, Singapur, Hong-Kong, a wkońcu Chińczyków, żółtych, z warkoczami, jak kobiety.

Wszyscy chłopcy zazdrościli Jankowi, że objedzie taki kawał świata, prawie połowę kuli ziemskiej. Znaleźli się i tacy, którzy chcieli mu towarzyszyć. Zabrałby kilku przyjaciół, gdyby to od niego zależało; pocieszał ich, że napisze z drogi do każdego długi list i włoży do koperty kawałek palmowego liścia, albo inną osobliwość.

Dziewczynki, mniej zapalone do oglądania dalekich krajów, zamiast zazdrościć, żałowały Zosi. Wszystkie bały się niezmiernie burzy, choroby mor-

skiej, a szczególniej rozbicia okrętu i wyrzucenia na bezludną wyspę, chociaż bracia tłumaczyli im, że w gruncie rzeczy na wyspie nie tak źle, i że daliby sobie nawet sami radę, byleby mieli zapałki, nóż i broń palną...

Rozmowy na powyższy temat ciągnęłyby się do nieskończoności, gdyby nie to, że pani Bardzka skracała wizyty pożegnalne.

Kobiety wogóle tak rzadko przedsiębiorą odległe podróże, zwłaszcza z dziećmi, że wszyscy nie mogli się dość nadziwić energji i odwadze pani Wandy.

Podróż do Chin rozpoczęła się bardzo pospolicie, wcale nie według wyobrażeń Janka. Zawołano dorożkę dwukonną, i pani Bardzka, pożegnawszy się ze służbą, wsiadła do niej z dziećmi i z ciocią Andzią, która koniecznie chciała odprowadzić siostrę do granicy pruskiej. Na dworcu kolei Wiedeńskiej czekało jeszcze kilkanaście osób, znajomych i krewnych, oraz pan Włodzimierz, któremu było do twarzy w podróżnym kostjumie. Pani Bardzka dostała aż pięć ładnych bukietów, a Zosia tyle cukierków, że mogłaby się niemi żywić aż do samego Pekinu, gdyby sobie postanowiła nie jeść nic więcej. Janek nie zazdrościł jej wcale słodyczy, otrzymał bowiem od wuja prawdziwy aparat fotograficzny z kompletnemi przyborami i zapasem klisz... Podarunek ten w podróży miał dlań nieocenioną wartość.

Pani Bardzka płakała rzewnemi łzami, kiedy wreszcie pociąg ruszył, i Warszawa zaczęła ginąć

w dymach. Zosia poczytywała sobie za obowiązek pocieszać matkę na swój sposób.

— Przecież jedziemy do tatusia, więc poco się smucić? — rzekła, ocierając jej oczy własną chusteczką; w Warszawie została ciocia i wuj, państwo Marzeccy, Krysia, ale ja kocham ojca bardziej, aniżeli ich wszystkich razem.

— Nie pojmuję, jak można płakać, kiedy się ma zobaczyć ocean, okręty, Indje i tyle ciekawych rzeczy! dorzucił Janek poważnie.

Ten ostatni argument przypadł znać do przekonania pani Bardzkiej, gdyż uśmiechnęła się.

Pociąg biegł szybko, zatrzymując się tylko na ważniejszych stacjach.

Ciocia Andzia zaczęła się żegnać, gdyż dojeżdżano do granicy, skąd miała wracać do Warszawy.

Zmrok już zapadł oddawna, gdy pan Włodzimierz oznajmił, że czas siadać do pruskiego wagonu.

Teraz dopiero Janek doznał wrażenia, że wyrusza w daleką podróż; był wprawdzie kilkakrotnie zagranicą, ale wówczas wiedział, że opuszcza kraj na kilka tygodni, obecnie zaś czuł, że wyrusza w szeroki świat na parę lat, a kto wie nawet, czy wróci kiedykolwiek. Nie dziwił się też Zosi, która zaczęła płakać natychmiast po zajęciu w pociągu miejsca, sam bowiem z trudnością zdołał powstrzymać łzy, obawiając się żartów pana Włodzimierza.

ROZDZIAŁ III.

Na okręcie.

— Ja pójdę z panem, mój najdroższy panie Włodzimierzu! — błagał Janek, kiedy nauczyciel brał za kapelusz — chciałbym zobaczyć port jak najprędzej.

— Weź go pan — odezwała się pani Bardzka z uśmiechem. — My z Zosieńką zdrzemniemy się tymczasem. Pamiętaj pan przytem, że pragnęłabym mieć wygody w podróży, chociażby to nawet kosztowało trochę drożej.

— W takim razie dla pani z córką wezmę pierwszą kajutę, a dla siebie z Jankiem drugą.

— W ostateczności także pierwszą, będziemy razem.

Pan Włodzimierz pocałował w rękę inżynierową i powiedziawszy jej, z właściwą sobie dobrocią, parę słówek uspokajających, skinął na chłopca, i obaj wybiegli z hotelu na ulicę.

Przyjechano do Hamburga późnym wieczorem, Janek teraz dopiero mógł mu się przyjrzeć.

Pan Włodzimierz zawołał dorożkę z mechani-

zmem, wskazującym przebytą przestrzeń na tarczy, i kazał jechać do biura Lloyda hamburskiego.

Janka bawił ruch uliczny, odmienny, aniżeli w Warszawie; nauczyciel zwracał uwagę chłopca, to na kolej elektryczną, to na wózki ciągnione przez psy, to na piękniejsze gmachy publiczne i pomniki; znał bowiem Hamburg. Janek, zaledwie jednak raczył rzucić okiem na wskazywane sobie przedmioty, w tej chwili bowiem całą jego myśl zajmowała przystań z okrętami, którą spodziewał się lada chwila ujrzeć.

Jakież było jednak jego rozczarowanie, gdy powóz zatrzymał się przed dużym domem, o kilkaset kroków od rzeki.

— Wysiadaj! — rzekł pan Włodzimierz.

— Jakto, przecież nie znajdujemy się w porcie?

— Wcale nie potrzebujemy jechać do portu, bilety zamówimy w kantorze towarzystwa żeglugi, który właśnie mieści się w tym domu.

— Ależ mama prosiła, ażeby wybrać wygodną kajutę...

— Wszystko to załatwimy w biurze.

— I nie obejrzymy nawet okrętu?

— Owszem, pokażą nam.

— Tu?! — pytał Janek, rozglądając się po obszernym sklepie.

— Zapominasz, jak widzę, że Hamburg nie leży nad samem morzem, lecz u ujścia rzeki Elby, o godzinę drogi od oceanu. Mniejsze statki podchodzą

aż do miasta rzeką, ale wielkie zatrzymują się w porcie morskim.

Mówiąc to, młodzieniec zbliżył się do urzędnika, zajętego pisaniem przy stoliku, i w krótkich słowach powiedział, co mu potrzeba.

— Kiedy pan chce jechać? — zagadnął Niemiec, nie podnosząc oczu od stolika.

— Jak najprędzej.

— A więc jutro o świcie podnosi kotwicę „Japonja“, przepyszny okręt!... ośm tysięcy tonn, szybkość przeciętna 18 węzłów, kapitan Vogler, stary marynarz, kuchnia wyborna, jak na wszystkich okrętach. Są jeszcze wolne cztery kajuty pierwszej klasy; dwie wpobliżu salonu, w pośrodku, dwie zaś ztyłu. Środkowe, rzecz prosta, droższe, bo kołysanie mało daje się w nich odczuwać.

— Chciałbym obejrzeć okręt i kajuty — rzekł pan Włodzimierz — gdzie model?

Urzędnik poprowadził obu pasażerów do jednego z sąsiednich pokojów, gdzie na kozłach stało kilkanaście rozmaitej wielkości okręcików, które Janek mógłby wziąć za zabawki, gdyby nie staranne, a nawet rzec można pedantyczne ich wykończenie; nie pominięto najdrobniejszych szczegółów: kołowroty, schody na pokładzie, kominy, kotwice, mostki, maszty z rejami, wszystko było wykonane z jak najskrupulatniejszą ścisłością.

— Oto nasza „Japonja!“ — mówił urzędnik, dotykając palcem pokładu — te drzwi prowadzą do kajut, leżących na poziomie pomostu spacerowego,

ten szklany dach daje światło z góry do salonu, dokąd z większej kajuty kilka kroków.

— A więc dobrze, biorę ją.

Podczas gdy pan Włodzimierz płacił za przejazd i dopytywał się o niektóre szczegóły podróży, jego uczeń z ciekawością przypatrywał się osobom, wchodzącym do biura. Hamburski Lloyd posiada kilkadziesiąt okrętów, pomiędzy któremi znajdują się prawdziwe arcydzieła nowoczesnego budownictwa żeglarskiego. Towarzystwo utrzymuje komunikację ze wszystkiemi częściami świata; co chwila zjawiali się ludzie, nabywający bilety, to do Australji, to do Ameryki Północnej, to do Indyj Wschodnich. Janek doznał atoli zawodu, wyobrażał sobie, że człowiek, wybierający się do takiej Australji, naprzykład, powinien być odziany w kostjum podróżny, długie buty, mieć przewieszoną przez ramię torbę myśliwską, a za pasem rewolwer i sztylet, w ręku zaś karabin; tymczasem wszyscy pasażerowie wyglądali, jak każdy przyzwoicie ubrany przechodzień; bilet do Indyj nabyła nawet młoda jakaś kobieta, licząca zaledwie dwadzieścia parę lat.

— No, wszystko załatwione — rzekł pan Włodzimierz, zapłaciwszy za bilety w kasie — wracajmy do hotelu.

Nie było czasu do stracenia; w parę godzin potem pani Bardzka wsiadała już, u mostu St. Pauli, na elegancki parowiec, który utrzymywał komunikację pomiędzy Hamburgiem a Cuxhaven, skąd wyruszają w dalekie podróże kolosy transatlantyckie.

Janek ze wzruszeniem ujrzał kilka olbrzymich okrętów.

Janek stał na pokładzie obok pana Włodzimierza, niecierpliwie wyglądając morza; statek płynął szeroko rozlewającą się u ujścia Elbą, ukazując oczom naszych podróżnych coraz to nowe widoki; mijano kolejno portowe zakłady Altony, naprzeciw leżące olbrzymie warsztaty okrętowe, pagórki lesiste, uroczą Blankenezę z malowniczo wznoszącym się nad nią Süllbergiem.

Poza Blankenezą krajobraz staje się monotonniejszy; Elba zaś rozlewa się coraz majestatyczniej... Co kilkanaście minut parowiec przemykał się około wielkich, trójmasztowych okrętów, które z rozpostartemi żaglami, korzystając z przyjaznego wiatru, płynęły w górę rzeki do portu, położonego tuż za Hamburgiem.

Pan Włodzimierz objaśnił swemu uczniowi, że te wszystkie okręty powracały z mniej lub bardziej odległych podróży, ładowne zamorskiemi towarami. Janek przypatrywał się ciekawie potężnym latawcom i przez małą swą kieszonkową lornetkę śledził manewrujących na masztach marynarzy.

— Ot, wejście do kanału cesarza Wilhelma — mówił pan Włodzimierz, wskazując chłopcu wielkie szluzy; skraca on do jednej trzeciej drogę z morza Północnego na Bałtyk i kosztował kilkaset miljonów marek.

Po czterogodzinnej podróży, parowiec znalazł się wreszcie w Cuxhaven, kąpielowej miejscowości, służącej niejako za przedsionek dla portu hamburskiego. Janek ze wzruszeniem ujrzał kilka olbrzy-

mich okrętów drzemiących nieruchomo na kotwicy. Z potężnych kominów nie ulatywał jednak dym, na pokładzie nie było nikogo; parowiec zwolnił biegu i ostrożnie przytulił się do boku jednego z zaoceanowych kolosów.

— Czy już? — zagadnął Janek.

— Tak, to „Japonja“ — odparł pan Włodzimierz.

Dzieci z przerażeniem przekonały się, że chcąc się dostać na pokład wielkiego okrętu, trzeba się piąć w górę po wąskich, prawie prostopadłych schodach z liną zamiast poręczy. Pani Bardzka odważnie weszła na „trap“, tak się bowiem nazywają owe schodki, i szczęśliwie się wdarła na pomost Japonji; Janek, obawiając się, aby go nie posądzono o tchórzostwo, podążył za matką, ale Zosia zaczęła płakać ze strachu, pomimo, że pan Włodzimierz wziął ją za rękę; widząc to, jeden z marynarzy, brodaty, spalony od słońca, porwał dziewczynkę jak piórko i szybko wbiegł z nią po spadzistych schodkach.

— A wstyd! — rzekł Janek.

Nie było jednak czasu na przekomarzanie się; musiano odsunąć się od trapu, którym wchodzili coraz to nowi podróżni; jakiś pan, w czapce z napisem „Japonja“ i kotwicami na ramionach, zbliżył się do pana Włodzimierza i, obejrzawszy bilety, pokazał drogę do kajut.

Niebawem Janek ujrzał się w ciasnym, niskim pokoiku. Naprzeciwko okna, zamkniętego grubą szybą, przymocowane były do ściany dwa łóżka jedno nad

drugiem; obok łóżek stała umywalnia z marmurowym blatem; pod oknem zaś maleńka aksamitna kanapka i równie mały stoliczek z lustrem. Parę wieszadeł na ścianie dopełniało umeblowania kajuty,

— No, jakoś się tu pomieścimy — rzekł wesoło pan Włodzimierz — tobie, Janku, przeznaczam łóżko na górze, bo łatwiej niż ja potrafisz się tam dostać, sam zajmę dolne. Zgoda?

— Właśnie chciałem pana o to prosić, bo stamtąd będę mógł patrzeć na bałwany morskie.

— Niezadługo zaczniesz na nie wyrzekać — odparł pan Włodzimierz, uśmiechając się. — Ale chodźmy zobaczyć, czy matka twoja i siostra są zadowolone z pomieszczenia.

Z jednej kajuty do drugiej było kilka kroków zaledwie przez kurytarz; pani Bardzka miała pokoik znacznie większy i wygodniejszy, aniżeli pan Włodzimierz, obok kanapki stała jeszcze spora szafka do bielizny i odzieży; inżynierowa jednak narzekała na ciasnotę.

— Mój Boże! ani marzyć o wniesieniu kufrów! — narzekała.

— Kufry zobaczymy dopiero na miejscu, w Chinach — odparł pan Włodzimierz — tymczasem musimy poprzestać na podręcznych walizkach, które wejdą pod łóżka.

Urządzono się niebawem od biedy i pani Bardzka znużona, zaczęła się wkrótce zabierać do spoczynku; Janek zaś, pod opieką nauczyciela, wrócił

na pokład, chcąc być świadkiem ostatnich przygotowań na okręcie do dalekiej podróży.

Winda parowa pracowała usilnie, przenosząc bagaże pasażerskie, oraz paki z towarami ze statków drobnych do wnętrza okrętu; przybyły właśnie klatki z drobiem, baranami, wieprzami; wszystko to, wśród straszliwego zgiełku, wędrowało na spód, pod opieką kucharza i jego pomocników.

— I my to mamy zjeść podczas podróży?! — zawołał Janek.

Pan Włodzimierz zbliżył się do gospodarza okrętowego, zwanego z angielska starszym stewardem (czyt. stuard).

— Jak wiele produktów potrzebujesz pan? — zagadnął po niemiecku.

— Och, sporo — odparł gospodarz — mamy 28 pasażerów pierwszej klasy, 50 drugiej, oraz 180 trzeciej; załoga „Japonji“ składa się zaś z 4 oficerów, 4 inżynierów, 6 mechaników młodszych, 24 palaczy, 10 smarowników, 2 elektrotechników, szesnastu rozmaitych rzemieślników, 40 służby kajutowej, czyli lokai, 14 kucharzy i kuchcików, 30 marynarzy, nie mówiąc o mnie, o lekarzu, aptece — ogółem na statku odbywa podróż prawie 400 osób, nic więc dziwnego, że musimy się dobrze zaopatrzyć na drogę. Zazwyczaj spożywamy 10.000 kilogramów świeżego mięsa, 8.000 kilogr. drobiu, 900 kilogr. ryb, 500 kilogr. szynki, 600 kilogr. sera, 1.600 kilogr, jarzyn, 1.500 owoców, 20.000 kilogr. kartofli, 10.000 kilogr. mąki,

3,500 chleba, 2.000 cukru, 2.500 masła, 18.000 jaj, no, i odpowiednią ilość trunków.

Janek ze wzrastającem zdziwieniem słuchał tych olbrzymich liczb; nie miał pojęcia, żeby załoga okrętu składała się z tak wielkiego zastępu ludzi najróżnorodniejszych fachów, i żeby w tym zastępie było tylko 30 właściwych marynarzy.

— Niezły apetyt! — rzekł pan Włodzimierz, podziękowawszy za objaśnienia uprzejmemu Niemcowi — musimy kiedykolwiek zwiedzić kuchnię.

— Cały okręt, mój drogi, kochany panie Włodzimierzu! — prosił Janek.

— Mamy po temu zupełne prawo, a i czasu nam nie zabraknie, bo jak się dowiaduję, podróż do Chin potrwa około miesiąca; teraz jednak radziłbym wrócić do kajuty, bo słońce zachodzi, i zrywa się chłodny wiatr; zresztą przeszkadzamy tutaj ludziom w pracy.

Pan Włodzimierz, upewniwszy się, że pani Bardzka i Zosia mają wszystko, co im potrzeba, życzył im dobrej nocy.

— Kiedy ruszamy w drogę? — zapytała pani Wanda, żegnając młodzieńca.

— Skoro świt, niech panie wyśpią się dobrze, bo następną noc spędzimy prawdopodobnie nienajprzyjemniej.

— Ach, myślisz pan zapewne o chorobie morskiej — odparła inżynierowa, śmiejąc się — ale my się jej nie obawiamy, zwłaszcza Zosieńka, bo całemi dniami huśtała się, bawiąc na wsi.

W półgodziny potem Janek znajdował się już na swojem łóżku; teraz dopiero zauważył, iż na słupku wisi pas korkowy z naramiennikami.

Pan Włodzimierz musiał swemu uczniowi objaśnić sposób nakładania zbawczego przyrządu. Chłopiec przez długi czas nie mógł usnąć, gdyż nad jego głową hałasowano do dziesiątej wieczór, prócz tego opanowały go myśli o rozbiciu się okrętu; uspokoił się jednak, położywszy pas korkowy tuż przy poduszce, i niebawem, znużony doznanemi wrażeniami, zmrużył powieki.

ROZDZIAŁ IV.

Na oceanie.

Janek ocknął się pod wpływem dziwnego wrażenia; zdawało mu się, że spada w przepaść, to znów leci w górę, unoszony nadzwyczajną siłą; instynktownie prawie uchwycił się za siatkową poręcz, otaczającą łóżko, aby się zatrzymać, wydając okrzyk przestrachu.

A jednak nie było to złudzenie; łóżko naprawdę chwiało się i staczało, jakby na okno, przez które wpadało niepewne światło dzienne; wiszące przy przezroczystej szybie palta nachylały się, niby wahadła od zegara.

— Panie Włodzimierzu! — zawołał chłopiec.

— Co tam? — zagadnął głos z dołu.

— Czy już jedziemy?

— Od półgodziny znajdujemy się na pełnem morzu, okręt zaczyna się kołysać.

— Chyba burza się zerwała — jęknął Janek, chwytając się znowu za poręcz.

— Przeciwnie, mamy piękną pogodę, tylko, że na morzu Północnem fala zazwyczaj bywa krótka.

— Nie rozumiem.

— To znaczy, że grzbiety bałwanów morskich biegną w małych odstępach jeden od drugiego, skutkiem tego okręt chwieje się silniej. No, u mnie na zegarku ósma — dodał pan Włodzimierz po chwili — wstawaj, Janku, pójdziemy na pokład, a o dziewiątej pierwsze śniadanie. Przypuszczam, żeś ciekawy zobaczyć morze.

— Jakże ja się mam ubrać, kiedy łóżko całe się kołysze? — biadał chłopiec.

— Zejdź po schodkach na podłogę.

Nastąpiło głuche milczenie, Janek nie ruszał się z miejsca.

Pan Włodzimierz, nie czekając na ucznia swego, zaczął się sam ubierać i w kwadrans był już gotów.

— No, Janku?! — rzekł — sądziłem, że znalazłszy się na morzu, otrząśniesz się z ociężałości, ale widzę...

Zamiast odpowiedzi, z górnego łóżka dobiegło jego uszu westchnienie żałosne.

— Co się stało? — mówił dalej Włodzimierz. — Chcesz, to ci pomogę wydostać się na podłogę.

— Mnie, mnie nie... niedobrze... — wybełkotał płaczliwie chłopiec.

— Mdło?

— Tak, i głowa mnie boli — stękał dalej Janek.

— A to mi mężczyzna! — zawołał pan Włodzimierz, wybuchając śmiechem — zaledwie wyruszyliśmy z portu, a on ma zamiar dostać choroby morskiej. Fe, wstydźże się, mój drogi! Trzeba wstać,

odetchnąć świeżem powietrzem, a przykre uczucie szybko minie.

Pomimo usilnych nalegań nauczyciela, Janek nie okazywał najmniejszej ochoty do usłuchania tej rady; odwrócił się do ściany, aby nie patrzeć na podnoszące się i opadające kolejno okno, nakrył się na głowę kołdrą i milczał uparcie.

— Kiedy tak, to do widzenia, Janku — rzekł pan Włodzimierz — wrócę tutaj za pół godziny, może ci będzie lepiej.

Młodzieńcowi żal się zrobiło Janka; domyślał się, że z jego uczniem jest naprawdę źle, skoro biedak nie chce nawet zobaczyć oceanu, o którym marzył ciągle.

Wydostawszy się na pomost spacerowy, pan Włodzimierz przekonał się, że „Japonja“ walczyła istotnie z krótką i dość wysoką falą, podnoszoną zachodnim wiatrem; z podróżnych nikt prawie nie opuścił kajuty, tylko na górnym pokładzie przechadzał się młody oficer marynarki, a na dole uwijała się służba. Pustka ta źle wróżyła o zdrowiu pasażerów parowca; przyrodnik nasz, zaniepokojony, zastukał zlekka do kajuty pani Wandy.

Natychmiast we drzwiach ukazała się uśmiechnięta, choć trochę blada twarzyczka Zosi.

— Mamusia cokolwiek słaba — szepnęła — ale zato ja nic sobie nie robię z tej huśtawki i mam iść z panem i Jankiem na śniadanie...

Dziewczynka posmutniała jednak, dowiedziawszy się, że brat jej pozostał także w kajucie. Pan Wło-

dzimierz pocieszył ją, że przykre uczucie Janka i pani Bardzkiej minie niebawem, wziął dziewczynkę za rękę i wyprowadził na pokład.

— Ach, jakie to wspaniałe! — zawołała dziewczynka, ujrzawszy, toczące się z szumem wzdłuż okrętu, zielone fale.

Musiała się jednak i bać trochę, bo nie wypuszczała ani na chwilę dłoni pana Włodzimierza.

Chciała iść wzdłuż spacerowego pomostu, tworzącego jak gdyby długą, krytą z góry werandę, ale nogi się jej splątały, i byłaby upadła, gdyby nauczyciel nie podtrzymał jej.

— Nie potrafię chodzić po takiej skaczącej podłodze! — zawołała, śmiejąc się.

— Trudno, mam nadzieję, że się przyzwyczaimy wszyscy za kilka dni — odparł pan Włodzimierz — tymczasem naśladujmy marynarzy, którzy, dla zachowania równowagi, rozstawiają szeroko nogi. No, ale zajrzyjmy do biednego Janka.

Janek rzeczywiście potrzebował pomocy, poczuł jednak polepszenie, wypiwszy kieliszek konjaku, o śniadaniu nie chciał przecież ani słuchać.

Pan Włodzimierz udał się więc do sali jadalnej z Zosią, kiedy o 12-tej odezwał się dzwonek, zwołujący podróżnych do stołu.

Śniadanie to równało się prawie obiadowi, co do ilości potraw. Zosia bardzo mało jadła, bo ciągle się rozglądała po salonie, urządzonym z nadzwyczajnym komfortem. Ściany były pokryte ciężkiem obiciem i zawieszone obrazami olejnemi, posadzka

lśniła się, jak lustro, światło łagodne padało ze szklanego sklepienia na długie stoły, zasłane śnieżnym obrusem i zastawione porcelaną; otaczała je wysoka na parę cali galeryjka, zapobiegająca spadaniu talerzy i kieliszków podczas kołysania się okrętu; nogi foteli i stołów przyśrubowane były mocno do posadzki, inaczej bowiem wszystko spiętrzyłoby się w jeden bezładny stos sprzętów.

Lokaje w białych rękawiczkach roznosili półmiski, tak zręcznie i z takim spokojem, jak w pierwszorzędnej restauracji na stałym lądzie. Pomimo dość silnego kołysania, przewróciło się tylko kilka kieliszków i butelka z winem.

Na honorowem miejscu w pośrodku stołu, siedział sześćdziesięcioletni, dobrze już szpakowaty, ale krzepki, wesoły i uprzejmy kapitan Vogler, czyniąc podróżnym honory gospodarza domu. Usiłował on dowcipnemi uwagami rozweselić towarzystwo, ale nadaremnie; wszyscy byli bez humoru, bladzi; z kilkunastu dam, zjawiło się do stołu zaledwie cztery. Choroba morska grasowała nie na żarty, kapitan zapewniał jednak, że za 24 godziny okręt wypłynie na ocean Atlantycki, i kołysanie nie będzie na nim tak przykre, jak w ciasnym kanale La Manche, gdzie fale, dla braku miejsca, nie mogą się rozwinąć, a ulegając kapryśnym wiatrom zachodnim i północnym, łamią się i plączą.

Zosia posmutniała, przypomniawszy sobie bladą twarz brata; zaraz po śniadaniu pobiegła do jego kajuty, aby go pocieszać.

— Proszę pana, co to jest właściwie ta choroba morska? — zagadnęła, kiedy oboje znaleźli się przy coraz bardziej cierpiącym Janku.

— Czysto nerwowa choroba — odparł pan Włodzimierz — która mija szybko; za parę dni Janek będzie żartował nawet z bałwanów na oceanie Atlantyckim.

ROZDZIAŁ V.

Na oceanie.

Pani Bardzka, wyciągnięta wygodnie na trzcinowym fotelu, ubrana w biały kostjum, patrzy rozmarzonemi oczami w szafiry morza Śródziemnego, falujące łagodnie po bokach okrętu.

Zosia, wesoła, rozbawiona, gra z panem Włodzimierzem, Jankiem i dwiema dziewczynkami w kręgle na pokładzie; rzuca kulę drewnianą w długą rynnę z desek i klaszcze radośnie w ręce, ilekroć uda się jej przewrócić króla, malowanego na czerwono.

— Wygraliśmy! — woła triumfująco Janek.

Zosia robi nadąsaną minę i siada na krzesełku przy matce. Zaczyna być gorąco; upalny wiatr południowy uwiadamia o bliskiem sąsiedztwie Afryki. Okręt, pchany dudniącą głucho machiną, pędzi całą siłą swych dziesięciu tysięcy koni parowych w kierunku kanału Sueskiego.

Janek, wycierpiawszy się przez kilka dni na „przebrzydłą“ chorobę morską, oswoił się już zupełnie z kołysaniem, odzyskał wrodzony sobie humor

i interesuje się wszystkiem, zadając co chwila nowe pytania panu Liwskiemu, tak się bowiem nazywa jego nauczyciel.

— Proszę pana, chodźmy do budki nawigacyjnej — proponuje — dowiemy się od oficera, jak jeszcze daleko do Afryki.

Pan Włodzimierz skinął przyzwalająco głową, i biegną obaj po schodach na najwyższy pomost, w pośrodku którego stoi maleńki domek z szybami na wszystkie strony i ze wspaniałym widokiem na dolny pokład i na morze. W budce siedzi przy stoliku młody porucznik nad mapą morską.

— Dzień dobry, panie lejtenancie! — woła Janek. — Czy prędko ujrzymy Afrykę? Doprawdy, że już tracę cierpliwość.

— Za dwie godziny wejdziemy do Port-Said — odpowiada uprzejmie oficer — już nawet widać ląd z bocianiego gniazda.

— Musimy kiedy wleźć tam — mówi Janek, spoglądając w górę, na galeryjkę, przymocowaną do przedniego masztu.

— Niezadługo wleziesz chyba w komin — rzekł pan Włodzimierz, uśmiechając się.

Dokoła górnego pokładu, na grubych, zgiętych słupkach żelaznych wisiało sześć dużych szalup, pokrytych szczelnie płótnem; pan Liwski zwrócił na nie uwagę Janka.

— Patrz — rzekł — w razie katastrofy może się na tych statkach pomieścić cała załoga „Japonji“ wraz z podróżnymi; każda szalupa jest kompletnie

zaopatrzona do podróży, nawet dłuższej, na dnie leżą wiosła i ster; pod tylnem siedzeniem w szczelnem zamknięciu mieszczą się zapasy żywności i beczka ze słodką wodą; na przodzie leżą żagle i maszt składany, w skrzyni środkowej kompas, mapy, sekstans, chronometr, apteczka, sygnałowe latarnie i trochę najniezbędniejszych narzędzi. Oprócz tych sześciu szalup żaglowych mamy jeszcze na okręcie ładną szalupę parową, do użytku kapitana i oficerów. Każda z nich posiada wyznaczoną z pomiędzy marynarzy załogę, która na pierwszy znak spuszcza je na wodę.

— A czy zdążonoby to uczynić dość prędko w razie rozbicia się okrętu? — zagadnął Janek.

— Nie obawiaj się, „Japonja“ jest wewnątrz podzieloną nieprzemakalnemi ścianami na dziesięć części; jeżeliby więc w ścianie zrobił się otwór, to woda zalałaby tylko jedną komorę, i statek nie zatonąłby; niebezpieczeństwo poważne groziłoby nam tylko w takim razie, gdybyśmy się starli niespodziewanie z innym okrętem, ale na morzach południowych, gdzie mgły są rzadkością, wypadki tego rodzaju zdarzają się nader wyjątkowo.

Wzrastający na pokładzie ruch zwiastował, że zanosi się na coś niezwykłego; ukazała się maleńka łódka, z której jakiś człowiek wdrapał się zręcznie po linie na okręt. Był to pilot, czyli miejscowy sternik, wprowadzający obce statki do portu.

To, co niedawno wyglądało, jak ledwie dostrzegalna chmurka na dalekim horyzoncie, przybierało

wydatne formy lądu; w palącem słońcu porannem coś błyszczało, migotało. Janek, spojrzawszy przez swą perspektywę, przekonał się, że to były białe domy i szyby.

„Japonja“ wpłynęła wolno do Port-Saidu. Janek aż wykrzyknął na widok różnobarwnego tłumu, zalegającego wybrzeże portowe i otaczającego okręt w licznych, małych łódkach; ludzie ci byli raczej podobni do djabłów, niż do ludzi, od stóp do głów pokryci kurzem, czyniącym jeszcze ciemniejszą ich cerę od ziemi, odziani w nędzne łachmany, wydawali niezrozumiałe okrzyki.

Rzekłbyś, że chmura potępieńców wylazła naraz z czeluści piekła, aby porwać śmiałków, którzy się odważyli wtargnąć tutaj.

Nasi podróżni mogli tu oglądać całą Afrykę i Azję; murzyni, świecąc zębami i białkami oczu, prześcigali się w nieludzkich wrzaskach z cynamonowemi fełłachami; tylko rodowici Turcy zachowywali się poważniej, co im nie przeszkadzało wyciągać rąk po bakczysz.

Kilku pasażerów wsiadło do łódek i kazało się wieźć na wybrzeże.

— Może i ty, Janku, wysiadłbyś z okrętu? zagadnął pan Włodzimierz.

Chłopiec potrząsnął głową przecząco. Za nic w świecie nie chciałby się dostać wpośród tego obcego tłumu, nawet w towarzystwie nauczyciela. Poprzestał więc na obserwowaniu.

— Jestem w Afryce! — myślał sobie w duchu.

Po godzinie łódki odpłynęły, i zgiełk ustał.

Okręt zatrzymał się w Port-Saidzie na 12 godzin zaledwie, w celu zabrania zapasu węgla kamiennego. Zanim jednak dopełniono tej czynności, upłynął dzień i kawał nocy. Kiedy nazajutrz rankiem Janek wyszedł na pokład, ujrzał na prawo i na lewo, zamiast pluskających bałwanów morskich, piaszczyste wydmy, równiny i słone jeziora. „Japonja“ płynęła kanałem Sueskim, ze zmniejszoną znacznie szybkością.

Krajobraz nie przedstawiał nic godnego uwagi. Zosia bez ogródki oświadczyła, że woli siedzieć w kajucie albo w czytelni i przeglądać książki z obrazkami, aniżeli podziwiać piaski i kałuże.

Miejscami kanał rozszerzał się, aby płynące w przeciwnych kierunkach okręty mogły się swobodnie mijać; w takich punktach oczekiwało zwykle po kilka mniejszych i większych parowców.

Przeprawa przez kanał zabrała cały dzień, i nazajutrz nasi podróżni znowu znajdowali się na morzu.

Na wschodzie i na zachodzie zasłaniały horyzont wyniosłe wybrzeża zatoki Sueskiej, ale „Japonja“ szła już ze swą normalną szybkością, robiąc po 30 kilometrów na godzinę; krajobrazy więc szybko się zmieniały; po południu brzegi zniknęły.

— Znajdujemy się na właściwem Morzu Czerwonem — mówił pan Włodzimierz, siadając w cieniu na fotelu, obok pani Bardzkiej.

— Ja myślałam, że ono naprawdę jest czerwone — zrobiła uwagę Zosia.

Miejscami rzeczywiście woda, zwłaszcza w płytszych miejscach, przybiera czerwoną barwę odparł młodzieniec — a to z powodu rosnących na dnie porostów tego koloru. Pod rozmaitemi względami ciekawe to okolice. Morze Czerwone zalewa coś w rodzaju olbrzymiego rowu, oddzielającego Azję od Afryki; ma on w pośrodku przeszło 1.500 metrów głębokości. Liczy prawie pół miljona kilometrów kwadratowych powierzchni, 1.200 mil morskich długości; ponieważ zaś robimy na dobę około 400 mil, przeto musimy zużyć ze trzy dni, zanim przez cieśninę Babelmandebską wydostaniemy się na ocean Indyjski.

— A gdzież jest góra Synaj, na której Mojżesz otrzymał tablice przykazań Boskich? — zagadnęła Zosia ciekawie.

— Na półwyspie tegoż nazwiska, leżącym pomiędzy zatokami Suez i Akaba; właśnie go minęliśmy, i gdyby powietrze było cokolwiek więcej przezroczyste, dostrzeglibyśmy przez lunetę samą górę.

— Ach, jaka szkoda! — zawołała dziewczynka.

— Na Morzu Czerwonem istnieją — mówił pan Włodzimierz, zwracając się do Janka — rafy koralowe, ale tylko wpobliżu brzegów, na płytkich wodach, pozostawiając wąski szlak, którym mogą bezpiecznie żeglować wielkie okręty. Gdyby nie znaczna głębokość morza w pośrodku, rafy te, budowane przez polipy, zatarasowałyby oddawna cieśninę i zamieniły ją na jezioro wewnętrzne w rodzaju Kaspijskiego. To też statki, żeglujące blisko brzegów, często rozbijają się; kapitan nasz nie ufa znać kapryśnym

prądom południowych okolic, bo zabrał ze sobą pilota, który wysiądzie dopiero w Adenie.

— Słyszysz, mamo?! — zapytała Zosia, trącając panią Wandę.

— Och, niema najmniejszej obawy, nieprawdaż, panie Włodzimierzu? — zapytała inżynierowa, zwracając się do Liwskiego.

— Zgoła żadnej, trzymamy się stale najgłębszych miejsc.

— Ach, jak gorąco! — westchnęła pani Wanda, obcierając pot z czoła — gdyby nie ten wiatr, upieklibyśmy się chyba żywcem.

— Trzydzieści stopni Réaumura w cieniu — rzekł pan Włodzimierz — ale to dopiero początek; posuwamy się ciągle na południe, to raz, a po drugie mamy w sąsiedztwie słynną pustynię, która zajmuje środek półwyspu Arabskiego. Jest to niby ogień, ogrzewający wielkie koryto wody, zwane Morzem Czerwonem. Niebawem jednak słońce zajdzie, i odetchniemy cokolwiek chłodniejszem powietrzem.

Nadzieja ta zawiodła jednak naszych podróżnych; temperatura w ciągu nocy opadła zaledwie o parę stopni; dzieci przewracały się na łóżkach w dusznych kajutach, daremnie starając się zasnąć; pan Włodzimierz siedział na pokładzie aż do trzeciej rano, gdyż wewnątrz nie mógł poprostu wytrzymać; większa część pasażerów uczyniła podobnie; siedziano na trzcinowych fotelach, palono cygara, raczono się chłodzącemi napojami, rozmawiano, słowem, zamieniono noc na dzień.

Nazajutrz upał stał się jeszcze nieznośniejszy; pani Wanda była w rozpaczy, a Zosia dostała bólu głowy; tylko jej brat, dzięki lekkiemu, płóciennemu garniturowi, trzymał się jako tako, choć nieborak oblewał się potokami potu.

Była może czwarta po południu, kiedy nagle wszczął się hałas na pokładzie, widziano lekarza, śpieszącego na spód okrętu, i wnet rozeszła się wieść o nieszczęśliwym wypadku.

Oto jeden z okrętowych palaczy, nie mogąc się oprzeć zabójczemu gorącu, które panowało w oddziale kotłowym, padł bezprzytomny w chwili, gdy właśnie chciał dorzucić węgla do pieca; wyniesiono go na otwarte powietrze z tego prawdziwego piekła. Biedak, pomimo starań lekarza, nie wrócił do siebie i wieczorem zmarł w lazarecie.

Widok czarnej chorągiewki, powiewającej na maszcie, nastroił smutnie nietylko załogę, ale i wszystkich pasażerów; w saloniku fortepianowym przestano grać, przy kolacji rozmawiano półgłosem, nikt się nawet nie roześmiał.

Nazajutrz o 6-ej popołudniu wyniesiono ciało nieszczęśliwej ofiary podzwrotnikowego gorąca na pokład, i rozpoczęła się ceremonja pogrzebowa.

Trup, zaszyty w płótno, z ciężarem leżał na desce, sterczącej za poręcz okrętu; kapitan w otoczeniu oficerów, marynarzy i podróżnych, z odkrytą głową czytał donośnym głosem, poważnie, ze skupieniem, modlitwę; z chwilą, kiedy doszedł do słów: „oddajemy ciało ziemi“, deska wolno przechyliła się,

woda plusnęła i zamknęła się wnet ponad nieboszczykiem; obecni przeżegnali się, a kapitan czytał dalej w pośród głębokiej ciszy, gdyż okręt kołysał się zwolna na falach.

Kiedy kapitan skończył i włożył czapkę, maszyny zadudniły, piana prysnęła z pod skrzydeł śruby, i „Japonja“ pruć zaczęła jak przedtem fale. Nie upłynęło dziesięciu minut, a wszystko wróciło na pokładzie do zwykłego trybu, najdrobniejszy zaś ślad nie wskazywał miejsca, gdzie spoczął na wieki biedak, skazany za życia na piekielne katusze.

Janek z przykrością myślał, że tam, w głębi okrętu, przy kotłach, cierpi takie same męki kilkunastu palaczy, i wstyd mu się zrobiło, że przez cały dzień tak narzekał na gorąco.

ROZDZIAŁ VI.

Nieziszczone marzenia.

Podróżni, wyparzywszy się na Morzu Czerwonem, z entuzjazmem powitali poważny, wspaniały bezmiar oceanu Indyjskiego. Pomimo, że „Japonja“ posuwała się coraz dalej na południe, temperatura obniżyła się znacznie. Po wyjściu z cieśniny, zatrzymano się tylko przez 24 godziny w Adenie, ale i tutaj Janek, ku wielkiemu swemu zmartwieniu, nie wysiadł na ląd. Widział tylko prawie nagich Arabów, z rudemi, długiemi włosami, posypanemi wapnem, którzy krzykliwie zapraszali pasażerów okrętu do zajęcia ich stateczków. Wkrótce atoli chłopiec przebolał zawód; Aden nie wabił wcale do siebie. Na spalonych, nagich brzegach białe jak kreda miasto, a za niem ponure, czarne góry — to w dwóch słowach wrażenia, jakich doznaje podróżny, patrzący na ten zakątek świata z pokładu parowca.

— Morze roi się tutaj od rekinów — rzekł młody porucznik, zbliżając się — patrzcie państwo za słońcem, a napewno dostrzeżecie parę tych niebezpiecznych żarłoków. Kiedym tu był ostatnim

razem, murzyn wpadł przypadkiem do wody z łódki i zanim zdążył się na nią dostać, potwór, jednem zwarciem strasznych szczęk, odgryzł mu obie nogi. Biedak umarł w godzinę potem. Dawniej tygrysy morskie gardziły tubylcami, nie darowując jeno żadnemu europejczykowi; teraz zaś jadają i czarnych.

Słuchając tego, Janek mniej żałował, że nie wsiadł na wątły stateczek, skaczący po falach i przechylający się na bok za każdym silniejszym podmuchem wiatru.

Oficer znać miał ochotę pogawędzić, bo opowiadał różne ciekawe szczegóły o Adenie.

— Wysepka smutna, za nic w świecie nie zgodziłbym się spędzić tutaj roku i żałuję z głębi serca Anglików, którzy tu mieszkają z urzędu. Ważna to bowiem stacja dla floty, która w razie wojny może łatwo zamknąć Morze Czerwone dla okrętów nieprzyjacielskich. Zwiedzałem niegdyś sławne tutejsze cysterny, wykute w skałach przed kilku tysiącami lat; już żołnierze Aleksandra Macedońskiego pili z nich wodę podczas wyprawy do Indyj. Kazał je wyżłobić jeden z Faraonów niewolnikom żydowskim. Roboty trwały podobno dziesięć lat. Trudno zaiste pojąć, jakim sposobem zdołano je wykonać bez pomocy ulepszonych narzędzi i dynamitu; cysterny łączą się podziemnemi galerjami i co parę lat napełniają się po brzegi wodą deszczową, bo ani źródeł, ani rzek nie masz na tej spieczonej i nagiej wysepce. Podanie niesie, że okrutny monarcha wpędził w ukończone cysterny kilka tysięcy tych, którzy pracowali

nad wykuciem ich w litej skale, otoczył wojskiem i czekał, dopóki nie nadeszła ulewa. Spływające z gór potoki wody wpadły do zbiorników i zatopiły tłumy nieszczęśliwych Żydów. A on, niby drugi, a raczej pierwszy Neron, przyglądał się strasznemu widowisku.

— Czemże jest krwiożerczość tygrysów morskich, o których mówiliśmy przed chwilą, wobec okrucieństwa tygrysów ludzkich! — rzekła inżynierowa, wzdrygając się.

— Zapewne, człowiek zarówno w dobrem jak w złem przewyższa wszystkie istoty żywe — dodał pan Włodzimierz.

Przez kilka dni następnych „Japonja“ kołysała się na miarowych, wysokich, choć pozbawionych piany grzbietach fal oceanu Indyjskiego. Nudy zabijano w czytelni, przy fortepianie, przy grze w bridge'a, na zwiedzaniu wszystkich zakątków okrętu, to wreszcie na strzelaniu do żwawych mew i jaskółek morskich. Zosia cieszyła się szczerze, ilekroć improwizowani myśliwi chybiali do niewinnych ptaków, a zdarzało się to bardzo często; dziewczynka nie pojmowała, jak można zabijać te piękne i wytrwałe latawce urozmaicające swoją obecnością pustkę oceanu. Pogoda dopisywała stale; nawet majtkowie zaczęli uprawiać dla rozrywki sport. Zarzucali długie linki z haczykami i łapali ryby. Pomiędzy licznemi barwenami, tuńczykami, schwytano przypadkiem płaszczkę elektryczną, która raziła tak potężnie marynarzy wy-

ciągających ją z wody, że wszyscy przewrócili się na pokład i stracili na pół godziny władzę w rękach.

Z rybą tą elektrotechnicy okrętowi robili ciekawe próby; okazało się, że wytworzony przez rajęprąd wystarczał do zapalenia na krótką chwilę czterech lampek żarowych; niebawem jednak drętwik zmęczył się i dawał tak słabe wstrząśnienia, że nawet Janek odważył się go dotknąć; wtedy zauważył, że z ciała ryby wyskoczyła z lekkim trzaskiem iskra elektryczna, która ukłuła go w palce.

— Skąd się bierze elektryczność w drętwiku, panie Włodzimierzu? — zagadnął.

— Wytwarza się w niezbadany bliżej sposób w organach gąbczastych i stosunkowo do ciała ryby bardzo dużych — odparł młody przyrodnik — co ciekawsze, że ryby elektryczne dowolnie rażą ofiarę, a więc potrafią zapobiegać rozpraszaniu się wyrobionej przez siebie elektryczności w wodzie morskiej. Zadanie takie wprawiłoby w kłopot każdego fizyka; na zimnie drętwiki nie są niebezpieczne, ale przy 45° C. rażą bardzo silnie, tak, że uderzenie ich pozbawia przytomności człowieka.

Istnieje kilkanaście gatunków raj elektrycznych: Torpedo osculata, T. nobiliana, T. marmorata; w Nilu żyje węgorz elektryczny, a w Ameryce południowej podobny doń gymnot. Stworzenia te przekonywają nas, że elektryczność może się wytwarzać bez udziału metalów, a jedynie przez zetknięcie się substancyj, powstających w ciele ryby. Jeżeli kiedykolwiek uda się fizykom odkryć sekret budowy stosów galwa-

nicznych u drętwików, to nauka odniesie stąd niemały pożytek. Drobne napozór dociekania odsłaniają nowe czasem prawdy olbrzymiej doniosłości... nie gardźmy więc żadnem spostrzeżeniem i zastanawiajmy się nad przyczyną każdego najbłahszego zjawiska.

W kilka dni potem Jankowi zdarzyła się sposobność oglądania po raz pierwszy w życiu potfiszów. „Japonja“ wjechała pomiędzy stado olbrzymich zwierząt, igrających wesoło na fali; z początku spłoszył je łoskot śruby, ale nie uciekły, tylko zaczęły krążyć dookoła okrętu. Co chwila jeden z nich wypuszczał z hałasem oddech, który tryskał w górę, jak mała, pochyła fontanna, albo wystawiwszy z wody potężny, kwadratowy łeb, kołysał się na fali.

Wszyscy pasażerowie wybiegli na pokład z perspektywami w ręku i śledzili szybkie ruchy olbrzymów oceanu.

Kilku Niemców przyniosło fuzje, w zamiarze poczęstowania kulą którego potfisza, lecz kapitan surowo zabronił strzelać, utrzymując że ranny potfisz mógłby rzucić się na okręt i uszkodzić jego drewniane pudło, albo śrubę uderzeniem łba lub muskularnego ogona.

— Wieloryb przedstawia wartość paru tysięcy złotych — rzekł pan Włodzimierz — ale tylko dla statków, specjalnie zbudowanych i zaopatrzonych w niezbędne łowieckie narzędzia; sam olbrot, zawarty w czaszce olbrzyma, opłaca sowicie trudy i niebezpieczeństwa polowania, ale my nie odnieślibyśmy najmniejszej korzyści, choćby nam się udało

zastrzelić kaszalota, co, mówiąc nawiasem, jest wielce wątpliwe. Pochwalam więc w zupełności zakaz kapitana Voglera.

Zaledwie przyrodnik nasz wymówił te słowa, gdy rozległ się huk wystrzału z tylnego pomostu. To jeden z pasażerów, nie wiedząc o niczem, albo lekceważąc sobie przestrogę kapitana, dał ognia do wielkiego potfisza, który właśnie wystawił łeb tuż obok okrętu; trafiony snać kulą potwór zanurzył się szybko w morzu, i wnet potem wszyscy uczuli silne wstrząśnienie.

Kobiety, przestraszone, podniosły straszny alarm, myśląc, że potwór zdruzgotał bok statku; mężczyźni z kapitanem na czele pobiegli do rufy. „Japonia“ zwolniła biegu na rozkaz porucznika, stojącego na mostku, a za chwilę stanęła nieruchomie.

— Śruba strzaskana! — zawołał ktoś z boku.

— Dziura w okręcie! — krzyknął inny pasażer.

O kilkaset metrów od „Japonji“, wtyle, fale zabarwiły się purpurowo i jak gdyby wrzały; olbrzymie cielsko potfisza miotało się konwulsyjnie tuż od powierzchnią; od czasu do czasu wychylał się z pośród tego waru ogon, podobny do żelaznych skrzydeł śruby okrętowej, i padając, zamieniał wodę w obłoki białej piany.

Nagle stała się rzecz dziwna, potfisz, podrzucony w górę, wyskoczył na 20 stóp przynajmniej ponad fale, poczem nastąpiła zupełna cisza; wir zniknął, a na powierzchni oceanu unosiło się nieruchome cielsko.

— Biedny wieloryb! — mówiła z płaczem Zosia — niedawno igrał wesoło z towarzyszami, a teraz już nie żyje. Niecierpię tego pana, który strzelił... Jest niegodziwiec i głupi, bo przez niego możemy utonąć wszyscy.

Kapitan rozkazał spuścić na morze szalupę, i porucznik wraz z ośmiu marynarzami popłynął do potfisza, ażeby go obejrzeć, kapitan zaś udał się na spód okrętu, skąd wrócił niebawem, oświadczając, że „Japonja“ nie poniosła żadnego szwanku.

Oficer ze zdziwieniem przekonał się, że wieloryb ma roztrzaskany łeb i leży zupełnie martwy... Otrzymawszy postrzał w gardło, olbrzym dał nurka pod okręt, ale nieszczęściem dla siebie, natrafił na śrubę, której skrzydła, poruszane siłą dziesięciu tysięcy koni parowych, rozpłatały mu łeb. To było właśnie powodem owego wstrząśnienia.

Marynarze zabrali kilkanaście baryłek i wiaderko na lince, poczem znów popłynęli do potfisza; kapitan chciał ocalić cenny olbrot. Rozszerzywszy toporami otwór w czaszce, wydobywano z niej kubełkiem przezroczysty, biały płyn, niby wodę ze studni... Zebrało się tego z 500 litrów.

Olbrot jest tłuszczem bezbarwnym, przeświecającym, krzepnącym przy 45° C. W głowie kaszalota znajduje się pomieszany z innym, łatwo topliwym tłuszczem i służy, jako dodatek do wosku, parafiny i cerezyny, przy wyrobie zbytkownych, drogich świec, podobnych do alabastru. Jeden zwierz dostarcza do 3.000 kilogramów czystego olbrotu.

Skończyło się więc na strachu; sprawca tego wypadku, niefortunny strzelec, musiał jednak wysłuchać nagany od kapitana; zapewne poniósłby surową karę, gdyby „Japonja“ nie wyszła cało z oryginalnej przygody.

Ląd!!

Okrzyk ten, rozlegający się na pokładzie i przenikający do kajut, zelektryzował podróżnych „Japonji“.

Pan Włodzimierz, odziawszy się szybko, wybiegł z drżącym z niecierpliwości uczniem swym na pomost spacerowy, gdzie stała już pani Bardzka wraz z Zosią.

Ocean błyszczał jak opal olbrzymi w promieniach porannego, podzwrotnikowego słońca; na jego spokojnej powierzchni marszczą się drobne fale, w których od czasu do czasu błyśnie szmaragdem lub złotem. Mewy białemi skrzydłami muskają wodę, to znów spadają z góry, niby rzucony z obłoków kamień, aby uchwycić niebaczną rybkę. Na horyzoncie bielą się żagle, podobne do wielkich ptaków morskich.

To łodzie Syngalezów. Poza niemi, hen! woddali rysują się wpośród chmur fioletową mgłą przysłonięte góry, a niżej rozszerza się ciemnozielona smuga.

Janek nie wierzy własnym oczom i gorączkowo podnosi i opuszcza swą lunetę; na jego twarzy maluje się wzruszenie.

— Tak, mój chłopcze, masz przed sobą Indje — Cejlon! — Czy już dostrzegasz palmy?

— Gdzie, gdzie? — pytała Zosia, która także chce zobaczyć palmy.

Góry zarysowują się coraz wyraźniej; niebawem na zielonem tle zaczynają się odcinać domy czerwone i białe, pałace, wieże kościołów. To Colombo — miasto, ogród rajski.

„Japonja“ poważnie wpływa do cudownego portu, skrzypią łańcuchy, maszyna staje, i ciężka kotwica z pluskiem wpada do morza.

— Przystanek 48 godzin! — powiada porucznik z zachęcającym uśmiechem.

Janek zatapia błagalne spojrzenie w oczach matki, pani Bardzka zrozumiała je.

— Jeżeli pan Włodzimierz zechce, to i owszem, ale tylko do wieczora, bo byłabym niespokojna.

Liwski sam pragnął postawić nogę na lądzie indyjskim, skinął więc na czekoladowego Indusa, prowadzącego łódkę, i po chwili obaj płynęli do brzegu z szybkością strzały, żegnani przez panią Wandę i Zosię powiewającemi na wietrze chusteczkami.

Łódka cejlońska jest to poprostu tratewka z kilku pni palmowych, w środku stoi szałas zamiast kajuty, a na przodzie bambusowy maszt z dużym żaglem.

Podróż trwała dziesięć minut zaledwie; oto wybrzeże portowe. Pan Włodzimierz rzuca srebrną monetę pokazującemu białe zęby przewoźnikowi i wyskakuje pierwszy.

Pod Jankiem drżą nogi z radości. Jest w Indjach.

Pan Włodzimierz pociągnął ucznia za rękę,

i obaj zmieszali się z barwnym tłumem snujących się na ulicy.

Byli tam rodowici Indusowie, o długich, kruczoczarnych włosach i wielkich wymownych oczach, Syngalezi, z rudemi czuprynami, posypanemi wapnem, Mahometanie miejscowi, we wspaniałych, lśniących złotem turbanach na głowie, wyznawcy Wisznu, pobieleni na czole, wreszcie czciciele ognia, którzy golą sobie głowy, pozostawiając pęk włosów na ciemieniu, wszyscy spaleni na bronz słońcem podzwrotnikowem.

Snujące się po ulicy grupy mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt paliły się, niby jaskrawe płomienie ogniska; wszystkie kolory tęczy i błyskawic mieszały się w jedną wielką symfonję; nigdzie wzroku nie kłuły niepewne, brudne barwy; kiedy nawet kilka grup mieszało się, harmonja kolorów nie ulegała najmniejszemu zakłóceniu.

Tuziemcy byli odziani przeważnie w lekkie, jedwabne materje, o wyrazistych kolorach; wspaniała zieleń, przedziwny błękit, lita, rubinowa czerwień, odurzająca oko purpura, tworzyły dziwaczną, a jednak ponętną dla wzroku mozajkę; często Indus za cały kostjum miał kilka szmat, okręconych około bioder, i wysoki turban na głowie, kobieta zaś długą szarfę, obwijającą ciało od piersi do kostek; z pod tkaniny błyskała czekoladowa, świecąca skóra.

Pomimo tak prostej odzieży, ludzie ci poruszali się swobodnie, przybierali pozy pełne naturalnego wdzięku, ani śladu sztywności europejskiej. Ulice

Colombo, dobrze wybrukowane jakąś gładką, czerwoną gliną, i wysadzone drzewami, których europejczyk nie potrafi nazwać nawet, ciągnęły się pośród dwóch rzędów wspaniałych gmachów kamiennych; środkiem toczyły się pojazdy i lekkie japońskie powoziki, zaprzężone w człowieka zamiast konia.

Pan Włodzimierz skinął ręką i wsiadł z Jankiem do jednej z takich dorożek.

Nawpół nagi człowiek-koń, otrzymawszy rozkaz po angielsku, puścił się dobrym kłusem wzdłuż szerokiej ulicy.

Gdyby nie barwny tłum, palmy, bambusowe krzewy i podzwrotnikowe drzewa w kwiecie na skwerach i przy chodnikach, podróżni nasi doznawaliby zapewne wrażenia, że się znajdują w jakiemś europejskiem mieście, nie zaś na skraju południowej Azji.

Z początku powozik mknął szparko, ale człowiek-koń zmęczył się po upływie pół godziny i zwolnił biegu; jego bronzowa skóra pokryła się potem.

— Żal mi go — rzekł Janek — możebyśmy wysiedli.

Pan Włodzimierz chętnie się na to zgodził. Zaledwie jednak postawili nogi na ziemi, gdy otoczył ich tłum prawie nagich chłopców, dopominających się hałaśliwie o jałmużnę, w Indjach bowiem żebrzą wszyscy krajowcy, zarówno starzy, jak młodzi.

Liwski rzucił pomiędzy nich kilkanaście drobnych monet miedzianych, wskutek czego wszczął się taki zgiełk piekielny i tumult, że Janek aż zatkał uszy.

...gad, po pewnem wahaniu się, wypełznął z legowiska...

— Patrz — rzekł pan Włodzimierz po chwili, wskazując swemu uczniowi Syngaleza, siedzącego poważnie na skwerze obok półkulistych, starannie przykrytych koszów — to poskramiacz wężów; jeśli mu dasz ćwierć rupji, natychmiast da przedstawienie.

Janek bez wahania wyciągnął z kieszeni zmienioną przed chwilą u bankiera ulicznego gwineję.

Pogromca, chudy, siwy Indus, skłonił się nisko, przykładając palce do czoła, rozesłał na ziemi stary, wyblakły dywanik z czerwonego sukna, ujął piszczałkę i wydobył z niej kilka przenikliwych, zlekka modulowanych dźwięków; niebawem w koszu coś się poruszyło, i wyjrzała zeń ohydna, płaska głowa okularnika, osadzona na szerokiej szyi; gad, po pewnem wahaniu się, wypełznął z legowiska i, trzymając przednią część ciała do góry, jak łabędź szyję, drgał rytmicznie, wlepiwszy czarne, zimne oczy w poskramiacza.

Piszczałka odzywała się coraz przenikliwiej, tempo stawało się coraz szybsze, coraz więcej wężów rozmaitej wielkości i gatunku wychodziło z kosza.

Janek mimowoli ukrył się za nauczycielem, jak dziecko za matką; widok gadów, pełzających tak blisko, napełniał go trwogą i odrazą.

Nie tańczyły one w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, lecz poruszały się, stosując wyraźnie do rytmu rozdzierającej uszy muzyki, ciała ich kołysały się, szyje nabrzmiewały, oczy zaczynały błyszczeć jakimś piekielnym, zimnym ogniem. Indus oddalał się od kosza, to zbliżał, prowadząc za sobą węże, wreszcie wstrętne stworzenia obwinęły się około nóg starcowi;

flet umilkł. Poskramiacz pochował sztywne, nieruchome gadziny do koszów i wyciągnął rękę po zapłatę. Otrzymawszy ją, skłonił się znowu, przykładając palce do czoła.

Zegary wskazywały pierwszą z południa; żar stawał się nie do wytrzymania. Liwski wszedł więc z uczniem do jednego z hotelów i tutaj na werandzie, w głębokim cieniu zasiedli obaj do lekkiego posiłku.

Janek nie chciał jednak nic jeść, oprócz owoców indyjskich, które wydały mu się niezrównane; nie spotkał pomiędzy niemi ani jednego, znanego sobie, z wyjątkiem pomarańczy i ananasów.

W hotelu, pomimo gorącej pory dnia, wrzał ruch; ubrani malowniczo lokaje biegali po schodach, kręcili się po werandzie; za krzesłem pana Włodzimierza i Janka stało dwóch indusów w bawełnianych kostjumach i fezach na głowie, ale bosych, śledzili oni każdy gest „białych sirów“, uprzedzając ich pragnienia. Nagle na werandę wtargnęło kilka niepozornych ptaków; nasi podróżni nie zwróciliby na nie uwagi, gdyby nie ich dziwaczne, przenikliwe wrzaski. Były to wrony indyjskie, najzabawniejsze stworzenia w świecie. Naprzemiany krakały, szlochały, to wybuchały djabelskim śmiechem, które nieświadomego napełniłby niezawodnie strachem śmiertelnym; wydawały też od czasu do czasu trzask głośny, podobny do wystrzału. Przytem co za miny, ruchy! Janek pękał ze śmiechu, patrząc na wrony, jak rozstawiając szeroko nogi, z miną błazna cyrkowego, albo komedjanta, z pochyloną komicznie na bok głową,

maszerowały zuchwale do stołu, a nawet siadały na nim i porywały panu Liwskiemu kąski z talerza; odpędzone, odlatywały z wrzaskiem i ironicznym śmiechem, ale wnet powracały jeszcze śmielsze, dosłownie dzioby im się nie zamykały od krzyku; kłóciły się pomiędzy sobą, jak pijani dorożkarze, paplały, jak plotkarki; przybysz doznawał wrażenia, że ptaki te obserwują go, jak rozumne istoty, a dostrzegłszy w jego postępowaniu albo powierzchowności coś niewłaściwego, wydrwiwają niemiłosiernie.

Biada temu, kto oddali się choćby na parę minut od stołu; wracając, zastanie puste talerze, a w dodatku spostrzeże, że brak pierścionka, zdjętego z palca, albo monety, przeznaczonej na uregulowanie rachunku.

Pomimo swej wrzaskliwości i złodziejskich popędów, wrona indyjska cieszy się względami książąt i żebraków, mahometan i chrześcijan zarówno; nikt nie podnosi na nią dłoni, ani nie zamyka okien swego domu. Można się tak dalece przyzwyczaić do jej obecności, że później się za nią tęskni, jak za wesołym towarzyszem.

Nasi podróżni spędzili więc całe półtorej godziny na werandzie, bawiąc się i drażniąc z oryginalnemi ptakami.

— Dokąd pójdziemy teraz? — zagadnął pan Włodzimierz.— No, powiedz Janku, cobyś najbardziej chciał zobaczyć? Może dzielnicę Syngalezów?

Liwski zawołał znowu dorożki, takiej samej, jak poprzednio, i niebawem zatrzymano się na jednej

z wąskich uliczek, pomiędzy niskiemi, brudnemi szałasami z trzciny bambusowej, oblepionej czerwonawą gliną.

Idąc uliczką brudną, nasi podróżni poprostu opędzić się nie mogli zgrai dzieciaków i starszych Syngalezów, dopominających się o datek. Każdy wyciągał dłoń, tak, iż niebawem pan Liwski wyczerpał cały zapas drobnej monety.

— Kolej! — zawołał nagle Janek, ujrzawszy dworzec i lokomotywę, wyrzucającą kłęby pary. — Ach, panie Włodzimierzu, pojedźmy o kilka stacyj od miasta — choćby na godzinkę.

— Poco? Przecież nie obejrzeliśmy jeszcze wszystkiego nawet tutaj.

— Mnie domy i ludzie nic nie obchodzą! — odparł chłopiec — jabym chciał zobaczyć...

— No, mówże śmiało, co takiego?...

— Puszczę dziewiczą, podzwrotnikową — odparł półgłosem Janek — oddałbym za jedną godzinkę rok życia.

Pan Włodzimierz wyciągnął zegarek.

— Jest już czwarta — rzekł — o siódmej najdalej musimy powrócić na okręt, w żaden więc sposób nie starczy nam czasu na wycieczkę w okolice Colombo. Zresztą i całego dnia byłoby na to zamało, aby się dostać do takiego lasu, o jakim marzysz.

— Niech pan spojrzy! — zawołał Janek — przecież to tak niedaleko — i wskazał palcem na góry, pokryte szmaragdowoniebieską zielenią, rysujące się wyraźnie w południowej stronie widnokręgu.

— Ulegasz złudzeniu — odparł nauczyciel — góry, które wydają ci się tak bliskiemi, wznoszą się o kilkanaście, a może nawet o kilkadziesiąt kilometrów poza miastem. Gdyby nawet pociąg odchodził natychmiast i wracał na zawołanie, i tak nie zdążylibyśmy.

— Choć o milę, pół mili! — błagał ze łzami w oczach chłopiec.

— Dziecko z ciebie — rzekł pan Włodzimierz, głaszcząc ucznia po głowie — trzeba przywołać na pomoc rozsądek do zwalczenia niezniszczalnych pragnień. Chodź, wyślemy umówiony telegram do ojca. Pociesz się jednak, za parę lat będziemy wracali i to w towarzystwie pana Bardzkiego, nie wątpię, że wtedy urządzimy razem, we trzech, dłuższą wycieczkę do puszczy, w głąb wyspy. Cierpliwości więc... Teraz jesteś jeszcze za młody na takie rzeczy, inni chłopcy w twoim wieku nie widzieli jeszcze okrętu, a ty już podróżujesz, zobaczysz Chiny... Kraj to ciekawszy nawet od Indyj.

Życzliwe słowa pana Liwskiego nie trafiały jednak do przekonania Jankowi; biedaczek łykał łzy, ściekające mu po policzkach, i czuł się bardzo, bardzo nieszczęśliwym. Marzenia jego najtajniejsze, pragnienia najgorętsze nie spełniły się.

ROZDZIAŁ VII.

Niepokojące wieści.

W Colombo wielu podróżnych wysiadło, a na ich miejsce wsiedli na okręt inni, w zamiarze udania się do Hong-Kongu i do Chin.

Pomiędzy nowoprzybyłymi znajdowało się kilku księży katolickich, wysłanych przez misje katolickie z Cejlonu na daleki Wschód.

Pani Bardzka, z natury bardzo pobożna, postanowiła skorzystać ze sposobności, jakiej dotychczas nie miała w luterskiem otoczeniu, i wyspowiadać się u jednego z misjonarzy, ojca Pawła.

Zacny ksiądz, dowiedziawszy się o celu podróży inżynierowej, zaniepokoił się.

Od chwili wyjazdu inżynierowej z Europy w Chinach wszczęły się prześladowania chrześcijan; tłumy, podżegane przez tajemniczych agitatorów przeciwko „djabłom zamorskim“, tj. europejczykom, burzyły się, napadały na misje, podpalały wznoszone z wielkim mozołem szkoły i świątynie, a nawet rzucały się na samych misjonarzy, zadając im śmierć męczeńską, Nie lepszym był też los rodowitych

Chińczyków, którzy przyjęli wiarę Chrystusową; ziomkowie spoglądali na nich, jak na zdrajców, i zabijali bez litości, aby wykorzenić zupełnie nową religję.

W dziennikach indyjskich nie brakowało telegramów i korespondencyj, opisujących napady na misje i okrucieństwa sfanatyzowanych tłumów. Wspominano także o jakiejś tajemniczej sekcie, czy stowarzyszeniu chińskiem, noszącem nazwę „Wielkiego Kułaka“, którego członkowie poprzysięgli sobie wypędzić z Państwa Niebieskiego znienawidzonych Europejczyków.

Ojciec Paweł i jego towarzysze opuścili Cejlon, aby zastąpić misjonarzy, którzy odnieśli szwank na zdrowiu wskutek prześladowania chińskiego tłumu i nie mogli dalej pełnić swoich obowiązków; wiedzieli oni doskonale, że narażają życie, ale to ich nie powstrzymywało ani na chwilę; pragnęli dodać swoją obecnością i przykładem odwagi świeżo nawróconym owieczkom, podnieść w nich upadającego ducha.

Pani Bardzka słuchała tych wszystkich wieści ze wzrastającą trwogą; drżała w głębi serca o męża, zmuszonego przebywać zdala od europejskich kolonij, pośród sfanatyzowanych tłumów; dręczyła ją także myśl, że wobec rozruchów, podróż na granice Mandżurji może nastręczać trudności, a nawet grozić niebezpieczeństwy; pocieszała się tylko tem, że spotka męża na samym progu Chin, w Tientsinie. Pan Bardzki, człowiek niezmiernie praktyczny i energiczny, poczynił już niezawodnie stosowne kroki, aby uchronić

od wszelkiego zła swoją rodzinę, i w razie potrzeby, nie będzie się wahał odesłać jej nawet zpowrotem do Europy.

Po namyśle pani Wanda zamierzyła z Hong-Kongu, gdzie okręt miał się zatrzymać na jeden dzień, wysłać jedną depeszę do męża, ażeby się upewnić co do miejsca spotkania. Jeżeli zajdzie coś nadzwyczajnego, mąż nie omieszka zatrzymać jej w drodze, albo też zmienić odpowiednio do warunków swoje dyspozycje.

Z niemałą radością inżynierowa przekonała się, że ojciec Paweł także zmierzał do Pekinu; dwaj jego towarzysze wysiadali zaś wcześniej; jeden w Hong-Kong, drugi w Szang- Hai. Ojciec Paweł mógł oddać naszym podróżnym ważne usługi, albowiem przed paru laty był już w Chinach i znał jako tako stosunki i obyczaje tamtejsze.

Stopniowo inżynierowa nabrała otuchy, zwłaszcza, że pan Włodzimierz czynił wszystko, aby ją natchnąć odwagą.

— Nie zginiemy, proszę pani, nie zginiemy — mawiał — ilekroć pani Wanda zwierzała mu się ze swych trosk.

Starał się też wytłumaczyć, że napaści na misje i chrześcijan są zjawiskiem bardzo w Chinach pospolitem i powtarzającem się z roku na rok; ojciec Paweł przyznawał słuszność Liwskiemu.

Janka mało obchodziły kłopoty matczyne, wierzył bowiem niezłomnie, że przy boku ojca nie potrzebuje się lękać ani Wielkich Kułaków, ani ga-

wiedzi chińskiej, w ostateczności poprosi o rewolwer, a nawet o karabin dziesięciostrzałowy, i we trzech, z panem Włodzimierzem, rozpędzą tchórzliwych Chińczyków na cztery wiatry.

Tymczasem zaś zachwycał się podzwrotnikowym oceanem; wieczorem śledził fosforyczne ogniki, pełzające po falach, wpatrywał się w drgające gwiazdy, w księżyc, ścielący na bezmiarze wód szeroki, srebrny gościniec; w dzień zaś śledził przez lunetę okręty na widnokręgu. Żagle ukazywały się coraz liczniej, okręt zbliżał się bowiem do cieśniny Malakkańskiej. Pan Włodzimierz z trudem zatrzymywał go w kajucie przez najgorętsze godziny, od dziesiątej do czwartej. Chłopiec kupował za drobną monetę od marynarzy i służby rozmaite przedmioty, jako to: orzechy, owoce, kwiaty zasuszone, muszle, korale białe, pióra ptasie i inne „osobliwości". chowając je starannie w pudełkach od cygar. Zamierzał porozsyłać je swoim znajomym w Warszawie, stosownie do danego słowa. Pierwszy transport, adresowany do brata ciotecznego, Henryka, miał odejść pocztą z Hong-Kong.

Co do Zosi, to podróż morska zaczynała ją nużyć, zwłaszcza dokuczały jej podzwrotnikowe upały; biedaczka aż schudła na twarzy i z upragnieniem oczekiwała wylądowania.

W Pinang, gdzie hamburskie okręty zatrzymują się na kilka godzin, przed wnijściem do niebezpiecznej cieśniny, znaleziono potwierdzenie wiadomości o rozruchach chińskich, wymierzonych przeciwko „barbarzyńcom z zachodu".

Mocarstwa europejskie, świadome niebezpieczeństwa, grożącego poddanym swoim ze strony sfanatyzowanych tłumów, wysłały już okręty wojenne do miast nadmorskich, ażeby dać zbrojną opiekę potrzebującym.

Pan Włodzimierz przysłuchiwał się na wszystkie strony, pragnąc wyrobić sobie jak najdokładniejsze pojęcie o sytuacji, czuł bowiem ciążącą na sobie odpowiedzialność za wyniknąć mogące następstwa.

Kiedy wreszcie „Japonja“ zarzuciła kotwicę w Hong-Kong, Liwski pośpieszył na ląd sam, aby się poinformować; wrócił na okręt z paczką dzienników angielskich, wychodzących w mieście. Pani Wanda nie rozumiała tego języka, nie mogła przeto ich czytać; na pytania jej młodzieniec odpowiadał wymijająco, widocznie postanowił ukrywać całą prawdę, ażeby nie przestraszać i tak już mocno zaniepokojonej inżynierowej; z miny jego nietrudno jednak było wywnioskować, że sam się obawia czegoś.

Ojciec Paweł i jego towarzysze naśladowali Liwskiego, jak gdyby się znajdowali z nim w porozumieniu.

Zapanowała ciężka, tajemnicza atmosfera, którą odczuwały nawet dzieci.

— Mnie to mógłby pan powiedzieć wszystko! — rzekł raz Janek, kładąc się spać — przecież jestem mężczyzną.

— Cóż ci mam powiedzieć? — odparł zakłopotany pan Włodzimierz.

— Co się dzieje z ojczulkiem.

— Skądże ja mam wiedzieć?... Zapewne jedzie do Pekinu na nasze spotkanie. Za tydzień zobaczymy się z nim.

— A ci bokserzy, czy jak ich nazywają? Ciągle mi się zdaje, że ojca napadną i zabiją w drodze.

— Cóż za przypuszczenie...

— I że nie spotkamy się z nim w Pekinie.

Pan Włodzimierz usiłował wybić chłopcu z głowy tę myśl, ale nadaremnie; w głębi serca musiał przyznać, że i on sam żywił pewne nieokreślone obawy, choć za nic w świecie nie przyznałby się do nich, nawet przed panią Bardzką.

W Szangaju drugi z misjonarzy opuścił okręt, odbyła się głęboko wzruszająca scena pożegnania; ojciec Paweł błogosławił na drogę młodszego kolegę i płakał rzewnemi łzami. Ojciec Maurycy, tak było bowiem na imię młodszemu kapłanowi, szedł na stanowisko, jak żołnierz na placówkę, śmiało, z podniesionem czołem, chociaż o uszy jego odbiły się jeszcze bardziej alarmujące wieści. W okolicach Kantonu, nad samą rzeką Perłową, niedalej jak przed tygodniem, tłum chiński napadł na misję protestancką, zburzył kościołek, spalił szkołę i mieszkania misjonarzy, zamordował w okrutny sposób dwóch krzewicieli chrześcijaństwa. Stało się to o kilkadziesiąt kilometrów zaledwie od misji katolickiej, dokąd miał się udać ojciec Maurycy.

W Szangaju nasi podróżni dowiedzieli się, że dalszą drogę muszą odbywać na mniejszym parowcu,

należącym do tej samej kompanji przewozowej, albowiem „Japonja“ nie docierała do samego Tientsinu.

Z wielką przykrością rozstawano się z pięknym okrętem, na którym tak wygodnie spędzono cztery tygodnie; nowy statek liczył zaledwie dwa tysiące tonn objętości i był obsługiwany w połowie przez Chińczyków, w połowie zaś przez Europejczyków. Synowie „Państwa Niebieskiego“ pełnili mianowicie obowiązki lokajów, palaczy, praczek, kuchcików. Zrobili oni na naszych podróżnych bardzo dobre wrażenie swoją uległością, sumiennością i pracowitością.

Rzeczywiście Chińczycy słyną na cały świat, jako idealni lokaje i kucharze o wykwintnym smaku; mają tylko jedną wadę: myją się raz na rok, i ta okoliczność odbiera w znacznym stopniu apetyt Europejczykowi. Parowiec też pozostawiał nieco do życzenia pod względem czystości.

Od chwili wyjazdu z Szangaju pogoda zmieniła się; dął silny wiatr, niebo powlekało się często ciemnożółtemi chmurami. Morze Żółte miotało się tak, że pani Bardzka z dziećmi nie opuszczała prawie wcale kajuty aż do czasu, kiedy parowiec wpłynął wreszcie na spokojniejsze wody zatoki Peczilijskiej.

Cel podróży był już niedaleko. Lada chwila miało się ukazać ujście rzeki Peiho, na której, o 50 kilometrów w głąb lądu, leży Tientsin — wrota stolicy Chin.

Liwski oczekiwał z najwyższą niecierpliwością przybycia do Tientsinu, gdyż i on sam obawiał się, czy nie zajdą jakie nieprzewidziane przeszkody.

ROZDZIAŁ VIII.

Przerwana komunikacja.

Pan Bardzki zdziwił się niepomału, ujrzawszy swego służącego Chińczyka, nazwiskiem Li, wchodzącego z niskim ukłonem do pokoju.

— Co znaczy, że powracasz tak prędko? — zagadnął, przeczuwając coś złego. — Przecież do stacji telegraficznej jest prawie dwa dni drogi. Chybabyś nie doszedł tam wcale?...

— Wielki książę [1]) mówi prawdę — odparł Li — jego nikczemny podnóżek nie doszedł wcale do miejsca, skąd drut roznosi myśli za morza.

— A to dlaczego?! — krzyknął groźnie inżynier — wiesz, jak dalece zależy mi, ażeby moja żona otrzymała na czas telegram.

— Niech wielki mandaryn raczy wysłuchać mojej głupiej odpowiedzi, a przestanie się gniewać...

— Gadajże, tylko prędzej!

— Li, twój nędzny sługa, dążył przez cały dzień

[1]) Chińczycy, mówiąc do kogoś, używają względem niego najgórnolotniejszych wyrazów, siebie zaś, o ile możności, poniżają. Jest to dowód dobrego wychowania.

wczorajszy do stacji, nie jedząc i nie pijąc, aż wreszcie doszedł nad rzekę... Tutaj zastał kilkunastu przewoźników, którzy mu opowiedzieli straszne rzeczy...

— Prędzej, prędzej! — powtarzał zniecierpliwiony Bardzki.

— Opowiedzieli, że wielka banda rabusiów ukazała się po tamtej stronie rzeki i psuje żelazne sztaby, które cudzoziemcy ułożyli na wałach usypanych z ziemi. Rozbójnicy ci zabili czterech robotników europejskich, stawiających im opór, i chcieli przeprawić się po moście, ale dzierżawca sprzeciwił się temu, ściągnąwszy na ten brzeg ślizgające się wozy... Rozbójnicy budują więc tratwę. Jutro już tu będą i popsują wszystko, spalą twój dom, panie... Pobiegłem więc natychmiast z powrotem, aby ostrzec cię, wielki mandarynie!

Bardzki, słuchając tego sprawozdania, chwycił się za głowę... Od tygodnia już słyszał o bandach, włóczących się wzdłuż nowobudowanej kolei, o ich nieprzyjaznem usposobieniu dla cudzoziemców, ale nie przywiązywał do tych wieści szczególnej wagi.

Chińczycy wogóle nienawidzili Europejczyków i spoglądali niechętnem okiem na kolej, która, według ich mniemania, naruszała spokój nieboszczyków, leżących w grobach rodzinnych, i płoszyła dobre duchy... Od czasu do czasu wyrządzano niewielkie psoty robotnikom. Kradziono przygotowany materjał, ale o otwartych napadach z bronią w ręku nikt nie myślał. Pojawienie się bandy rabusiów, niszczących wy-

kończony świeżo tor kolejowy, zaniepokoiło więc w najwyższym stopniu inżyniera.

— Prawdę powiedziałeś? — zagadnął.

— Och, Li nigdy nie kłamie — odparł służący pokornie.

Bardzki zdjął sześciostrzałowy karabin, wiszący nad łóżkiem, zarzucił pas z nabojami przez ramię i wybiegł z domu... Przed sienią oczekiwał nań osiodłany koń, który tęgim kłusem zaniósł go nad rzekę, gdzie budowano od pół roku z wielkim nakładem pracy most kolejowy.

Była godzina 10 rano, deszcz niedawno przestał padać, duże krople wisiały jeszcze na krzewach i gałęziach drzew, w dolinie leżące opary podnosiły się i rozpływały dużemi szmatami. W czystem, oświeżonem powietrzu rozlegały się daleko uderzenia młotów w żelazne sztaby, nawoływania robotników i łoskot materjału, wyrzucanego z niezgrabnych, ciężkich statków na brzeg rzeki. Tłum nawpół nagich, barczystych Chińczyków roił się na zaczętym moście, na dole przy dżonkach i obok nasypu. Pomiędzy robotnikami żółtymi stali europejscy dozorcy i technicy, których łatwo było poznać zdala po ceratowych, szaro-niebieskich płaszczach i okrągłych czapkach.

Bardzki zatrzymał się u drewnianej, skleconej byle jak z desek budki, skąd na jego spotkanie wybiegło paru Chińczyków, aby odebrać lejce.

— Inżynier Waltman przyjechał już?

Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, Bardzki

nerwowym krokiem zeszedł na dół, gdzie u stóp przyczółka mostowego, na krześle składanem, w cieniu szerokiego parasola, siedział trzydziestokilkoletni mężczyzna, z planem w ręku.

— Czy wiesz pan o rozbójnikach! — zagadnął inżynier, witając kolegę.

Anglik obojętnie kiwnął głową i odrzekł.

— Naczelnik budowy przysłał rano gońca. Droga zerwana na przestrzeni całego kilometra. Komunikacja telegraficzna popsuta, tysiąc bokserów napadło wczoraj na stację, ale urzędnicy i robotnicy odparli ich z ciężkiemi stratami. Mamy podobno kilku zabitych i rannych... Dochodzą nadto niepomyślne wiadomości ze stolicy, cesarz podobno zrzucony z tronu, a rządy objęła cesarzowa wdowa... Książę Tuan, największy wróg cudzoziemców, pozyskał wpływy i robi, co chce... Zabito przed paru dniami paruset Chińczyków-chrześcijan i jednego ewangelickiego misjonarza..

Bardzki czuł, że robi mu się zimno.

— Muszę koniecznie wysłać depeszę do rodziny, ażeby ją zatrzymać w Colombo, dopóki się nie uspokoi.

— Mamy niezawodne informacje, iż niedawno założona linja telegraficzna do Pekinu przestała funkcjonować — odparł Anglik, potrząsając głową.

— Co pan mówisz? — wykrzyknął Bardzki.

— Niestety, tak jest.

— Ależ...

— Patrz pan, oto list, który otrzymałem wczoraj z centralnego zarządu naszej kolei.

Bardzki przeczytał, i twarz jego pokryła trupia bladość. Główny dyrektor budowy kolei donosił angielskiemu inżynierowi, że kilka band poprzerywało druty telegraficzne na linji Pekin—Tientsin, wskutek czego ambasadorowie nie mogą porozumiewać się ze swojemi rządami.

— Widzisz pan więc, że straciłbyś tylko czas nadaremnie — rzekł Anglik — pańska depesza bowiem nie doszłaby nawet do morza.

— Jeżeli moja rodzina nie otrzyma jej, wyląduje w Tientsinie i będzie się starała dostać na dworzec kolejowy w Pekinie, gdzie naznaczyłem jej spotkanie.

— Sądzę, że należy temu zapobiec w jakikolwiek bądź sposób; któż nam zaręczy, czy w Tientsinie panuje spokój, i czy ruch na kolei nie ustał.

— Kiedy tak, jadę natychmiast! — przerwał Bardzki. — Mam przecie urlop.

— Dokąd?

— Do Tientsinu: muszę zatrzymać żonę na samym progu Chin... Żegnam pana!

— Zatrzymaj się pan chwilkę — rzekł Anglik.

— Nie mam czasu... mów pan prędko...

— Którędy zamierza pan udać się do Tientsinu?

— Jak najkrótszą drogą.

— Niebezpiecznie — mruknął Anglik — radzę, jedź pan do Wei-ha-wei, a tam weź parowiec odchodzący do Kantonu i zatrzymujący się w Taku.

— Ależ panie, oni przyjeżdżają za dziesięć dni najdalej!... Kto mi zaręczy, że znajdę statek odpowiedni i zdążę na czas?

— Hm; kiedy tak, weź pan z sobą kilku pewnych ludzi.

— Mam wiernego lokaja, Li, znasz go pan przecie.

— Na Chińczyka liczyć niepodobna; dam panu dwóch naszych dozorców, Anglików, dzielnych ludzi... Będzie to małe nadużycie władzy, gdyż ludzie ci przydaliby się bardzo na miejscu, ale cóż robić! nie mogę przecie pozwolić, aby pierwsza lepsza zgraja pozbawiła mnie jednego z najzdolniejszych pomocników.

Bardzki, wzruszony dobrocią starszego kolegi, uścisnął mu dłoń.

Niebawem zjawili się dwaj dozorcy. — Wilson, był to herkulesowej budowy mężczyzna o śmiałem, niemal zuchwałem spojrzeniu, w którem jednak przebijała się wrodzona prawość charakteru; człowiek ten bawił już od dwóch lat w Chinach i poduczył się jako tako północnego narzecza. Drugi dozorca posiadał także wszelkie kwalifikacje na dobrego towarzysza niebezpieczeństw: służył bowiem do niedawna w wojsku i brał udział w kilku wojnach kolonjalnych. Nazywał się Walker, jeździł przepysznie konno, jako ex-dragon, strzelał z karabinka, jak mało kto i, co najważniejsza, miał wrodzoną żyłkę do awanturniczych wypraw. Dowiedziawszy się więc o swem przeznaczeniu, prawdziwie się ucieszył.

— Będziecie brali pensje aż do powrotu — rzekł inżynier — sprawcie się tylko dobrze.

— I ja wynagrodzę was ze swej strony za trudy — dodał Bardzki — przygotujcie się. Jutro o świcie wyruszamy... Macie konie?

— Nie...

— W takim razie weźmiecie moje.

— Czy nie lepiej jechać wózkiem? — zagadnął Wilson, nieprzyzwyczajony do siodła.

— Ależ człowieku, tu idzie o pośpiech; czyż nie wiesz, jak się podróżuje chińską pocztą?!

Pożegnawszy się z kolegą, Bardzki wrócił do domu i przy pomocy wiernego Li zabrał się z całą energją do przygotowań podróżnych. Po krótkiej naradzie postanowiono nie brać ani namiotu, ani dużych zapasów żywności, lecz jechać po wojskowemu, z płaszczem, kołdrą i manierką u siodła.

Li zaopatrzył się tylko w kilka niezbędnych naczyń i sprzętów kuchennych oraz w worek ryżu, który miał ratować jego pana od głodu, w razie ostatecznym.

O świcie zjawili się punktualnie Wilson i Walker. Podług otrzymanych wieczorem wiadomości, plant kolejowy po tamtej stronie rzeki uległ zniszczeniu na przestrzeni kilkunastu kilometrów; Chińczycy donosili, że w bandzie, która napadła na stację, znajdowali się nie rozbójnicy, ale regularni żołnierze cesarscy, i okoliczność ta rzuciła popłoch na urzędników i robotników kolejowych. Walker przyniósł list od głównego inżyniera do Bardzkiego, z prośbą

wręczenia załączonych depesz centralnemu zarządowi, albo, co lepiej, głównemu ambasadorowi angielskiemu w Pekinie. Inżynierowie prosili o przysłanie z Wei-ha-wei marynarzy dla ochrony drogi żelaznej i naglili o szybką decyzję, ze względu na grożące niebezpieczeństwo. Tak więc podróż prywatna Bardzkiego nabierała charakteru misji urzędowej, z czego, rzecz naturalna, nasz inżynier bardzo się ucieszył, mógł bowiem prędzej liczyć na pomoc ze strony władz, w razie potrzeby.

Zanim zaczniemy towarzyszyć Bardzkiemu, udającemu się na spotkanie swojej żony, musimy zobaczyć, jak się wogóle podróżuje w „Państwie Środka“, gdzie koleje, a nawet statki parowe są dotychczas rzadkością.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że w Chinach niema dróg publicznych w znaczeniu europejskiem. Wprawdzie przed paroma tysiącami lat pobudowano tak zwane gościńce cesarskie, które ponoś były lepsze od naszych dróg bitych; owe gościńce nie łączyły jednak, jak gdzie indziej, miast większych i nie służyły potrzebom ludności, lecz miały na celu ułatwianie podróży cesarzowi. Kiedy np. przeniesiono stolicę z Pekinu do Nankinu, a w paręset lat potem, odwrotnie, z Nankinu do Pekinu, zbudowano pomiędzy temi dwoma grodami doskonałą szosę, przecinającą prowincję Kiangsu, Szantug i Peczeli. Ślady tego pięknego gościńca pozostały do dziś dnia na północ od Jan-tse-kiangu; podróżnik natrafia w tamtych okolicach na olbrzymie płyty kamienne, pospajane ce-

mentem i nawpół przysypane ziemią. W Chinach w ogólności rzadko naprawiają pagody, pałace, mosty, a nawet domostwa; to samo dotyczy gościńców; raz zbudowane drogi są zdane na łaskę Opatrzności. Zdarza się wyjątkowo, że jakiś obywatel, dbały o dobro ogółu, odrestauruje most np. i umieści na nim tablicę na pamiątkę swego czynu; ale powtarzamy, jest to wypadek nadzwyczaj rzadki.

Jeżeli cesarz albo wice-król prowincji wybiera się w podróż, wtedy dopiero mandaryni doprowadzają drogę do najpiękniejszego porządku. Co dziesięć lat np. cesarz albo książę krwi jeździ przez prowincję Peczeli do Mugdenu, położonego w Mandżurji chińskiej, aby według starożytnego zwyczaju złożyć ofiarę na grobach swoich przodków; wówczas olbrzymie sumy idą na wybrukowanie nędznej drogi i na wysypanie jej piaskiem, przyczem wszystkie wioski a nawet miasteczka przydrożne zostają oddane na pastwę ognia. Co 7 kilometrów mandaryni urządzają pawilony dla cesarza, ozdobione najkosztowniejszemi tkaninami jedwabnemi i haftami; nawet wtedy, jeśli monarcha nie jedzie sam, lecz posyła swój wizerunek w zastępstwie.

Na nieszczęście, a raczej szczęściem dla biednej ludności, podróże cesarskie są bardzo rzadkie, przeto drogi w Chinach w rzeczywistości nie istnieją.

Bardzki mógłby korzystać z gościńca, prowadzącego z Mugdenu do Pekinu, gdyż jechał, jak nam wiadomo, z Mandżurji na południe, ale musiał zaniechać tego zamiaru, przekonawszy się, iż na drodze

cesarskiej było tyle strasznych wybojów, że na pewno konie połamałyby w nich nogi, a powóz europejski popsułby się, nie przejechawszy mili. Chcąc nie chcąc, trzymał się więc pola, zboku gościńca; żałował tedy w duchu, że cesarz Hwang-Li, pierwszy założyciel dróg bitych, żyjący na 2640 lat przed Narodzeniem Chrystusa, nie znalazł dotąd naśladowców.

W Chinach północnych jednak drogi polne, bo o innych niema mowy, nie są jeszcze rzadkością, ale zato na południu nikt o nich nie słyszał, bo Chińczyk używa, o ile możności, dróg wodnych.

Najwygodniejszemi, stosunkowo, są drogi w równych okolicach zachodniego Szantungu i Peczeli, na gruntach pochodzenia osadowego, gdzie daremnie szukałbyś kamieni; jeśli zaś kiedykolwiek wybrukowano je, to ludność uboga porozbierała kamienie do budowy domów.

Chińczyk nie zna resorów, ani innych ulepszeń w budowie wozów; podróżuje w zwyczajnem, czworokątnem pudle, otwartem z przodu, do którego włazi na czworakach i sadowi się na grubej osi drewnianej; poduszki i ławki — rzeczy to nie używane.

Drogi latem są pokryte grubą warstwą kurzu, w porze deszczów zaś wóz grzęźnie po osi w błocie czarnem i cuchnącem. Nie upłynie trzech godzin, a nieszczęśliwy podróżny ma całe ciało, nie wyłączając twarzy, powleczone grubo na palec wstrętnym pyłem, który zatyka mu nos i płuca. W znacznych odległościach od siebie stoją przy drodze cieniste

drzewa, jedyne miejsce spoczynku dla strudzonego wędrowca.

W gęsto zaludnionych okolicach jest dość bezpiecznie, zato gdzie indziej rabusie zatrzymują często podróżnych, zwłaszcza w środku lata, kiedy na polach stoi wysokie proso, w którem bardzo łatwo ukryć się może człowiek.

Bardzki nie miał paszportu cesarskiego, nie mógł więc liczyć na to, że mandaryni dadzą mu żołnierzy na eskortę, ale nie wiele go to martwiło. Trzech dobrze uzbrojonych, odważnych Europejczyków w razie napadu stanowiło imponującą potęgę, zwłaszcza, że rozbójnicy chińscy są tchórzami, gdyż rzadko napotykają na energiczny opór. Zresztą żołnierze cesarscy zamiast karabinów mieli kije, a co najwyżej nienabite pistolety starego systemu.

Nasi podróżni, jadąc, nie spotykali ani jednego reprezentanta władzy na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów; kiedy niekiedy tylko mijali niewielkie karawany; podróżujący Chińczycy z trwogą ostrzegali przed rozbójnikami białych, i Li, nie grzeszący nadmiernem męstwem, powtarzał okropne opowiadania współziomków. Bardzki śmiałby się z nich do rozpuku, gdyby nie to, że nie czuł się bynajmniej w dobrym humorze.

Co dwa kilometry, przy drodze cesarskiej, wznoszą się strażnicze domki, z glinianemi murami i takiemiż otwartemi stajenkami dla koni, noszące szumny napis: „Posterunek policji drogowej“, ale przez cały dzień, t. j. akurat wtedy, gdy Chińczycy podróżują,

są zupełnie puste, dopiero na noc, gdy rozbójnicy zasypiają, zjawiają się żołnierze i to nie wszędzie.

Mosty w Chinach znajdują się także w opłakanym stanie, o czem nasi podróżni niejednokrotnie mieli sposobność przekonać się z własnego doświadczenia.

Nazajutrz po wyjeździe, Bardzki znalazł się wraz z towarzyszami nad brzegiem rzeki, przez którą należało się przeprawić. Most jednak oddawna rozsypał się w gruzy; o kilkaset metrów poniżej, na przeciwległym brzegu, siedziało kilkunastu tęgich Mandżurów, czerpiących środki do utrzymania z przenoszenia na własnych barkach podróżnych i ich pakunków.

Ludzie ci nie okazywali jednak najmniejszej chęci do usłużenia „zamorskim djabłom“, pomimo namów Li, a nawet obrzucali przybyszów kamieniami.

— Jeżeli pan pozwoli, to rozprawimy się krótko z tymi urwisami — rzekł Wilson, człowiek gorącego temperamentu.

Sięgnął już po karabin, ale inżynier powstrzymał go.

— Krew wolno nam przelewać jedynie w obronie własnego życia; Li, powiedz tragarzom, żeby się cofnęli, gdyż inaczej zaczniemy strzelać.

Chińczyk drżącym ze wzruszenia głosem powtórzył groźbę, która poskutkowała o tyle, że Mandżurowie odeszli o kilkadziesiąt kroków wbok, lecz nie przestawali wydawać nieprzyjaznych okrzyków.

— Wilsonie, tu jest bród — rzekł Bardzki. — Przepraw się pierwszy pod naszą osłoną i weź ze sobą Li.

— Nie można, panie mój — rzekł Chińczyk, potrząsając głową.

— Et, pleciesz, tchórzu przebrzydły! — zawołał zniecierpliwiony inżynier.

— Nie znamy brodu, potoniemy! — jęczał lokaj.

Cóż znowu, przecie w naszych oczach tragarze przenieśli jakiegoś podróżnego z pakunkami i szli prosto tędy; oto jeszcze ślady na piasku nadbrzeżnym.

— Co tam zważać na głupie paplanie tego kanarka! — przerwał Wilson — jadę, a ty za mną, rozumiesz?

Z temi słowy niecierpliwy Anglik, prowadząc konia za uzdę, zeszedł po dość spadzistem wybrzeżu nad brzeg, tutaj wskoczył na siodło i bez wahania wjechał do mętnej, żółtej rzeki.

Bardzki z Walkerem z bronią w ręku śledzili ruchy zgromadzonych opodal tragarzów, gotowi dać ognia na pierwszą zaczepkę z ich strony. Wilson śmiało posuwał się naprzód, widząc, że woda sięga koniowi zaledwie za kolana; już przebył trzecią część szerokości rzeki, gdy wtem wierzchowiec jego potknął się i przednią połową ciała zanurzył się w wodę; stało się to tak niespodziewanie, że Wilson przeleciał przez głowę swemu koniowi i zniknął pod powierzchnią wśród triumfujących okrzyków i śmiechu Mandżurów.

Li był na tyle roztropny, że zatrzymał się na brzegu i czekał, aż jego towarzysz zbada bród; ujrzawszy więc, co się dzieje, cofnął się do swego pana:

— W rzece muszą się znajdować doły — rzekł Bardzki, marszcząc brwi.

— Przecie ostrzegałem cię, wielki książę — mówił Li — to Mandżurowie zawsze kopią doły, bo chcą, żeby podróżni nie mogli się przeprawić bez ich pomocy. To ich zarobek.

Li mówił zupełną prawdę; wszędzie, gdzie niema mostu, a do przeprawy służy tylko bród, kilkunastu tęgich chłopów bierze go niejako w swój monopol, wygrzebują na dnie głębokie jamy, pozostawiając tylko wąskie przejście, znane wyłącznie tragarzom. Kto więc pragnie, przez oszczędność, obejść się bez ich pomocy, wpada niezawodnie w dół; taka przygoda spotkała właśnie gorącego Wilsona.

Wydobywszy siebie i konia z niemałym trudem z pułapki, Anglik, przemoczony do nitki i zły jak szatan, wygramolił się wreszcie na brzeg przeciwny.

— Zdrada! — krzyczał — na dnie pełno dołów, strzeżcie się!...

Na rozkaz inżyniera, Li musiał się rozebrać i, stąpając ostrożnie, z długim kijem w ręku, odnaleźć bród właściwy, potem przeprowadził za cugle pozostałe konie... Przeprawa ta zabrała całe dwie godziny drogiego czasu i popsuła wszystkim humory. Wilson wrzał gniewem i żądzą zemsty; posłałby był napewno kilka pocisków ze swego magazynowego karabina na szydzących z jego przygody

Mandżurów, gdyby nie surowy zakaz inżyniera. Drobny ten wypadek przekonał naszych podróżnych, że niechęć do Europejczyków ujawniła się nawet w takich spokojnych i uprzejmych zazwyczaj ludziach, jak tragarze. Był to zły znak na przyszłość. To też Bardzki ustanowił kolejną straż w nocy i najpierw czuwał sam, do dwunastej, potem dwaj Anglicy, a nad ranem Li. Inżynier, w razie pogody, zamierzał, o ile możności, obozować pod namiotem, albo poprostu wśród pól, porosłych wysokiem prosem, na podobieństwo rozbójników.

W miarę tego, jak się posuwano na południe, do granic Chin właściwych, spotykano coraz liczniejsze karawany; długie łańcuchy wielbłądów i ciężkich czworokątnych wozów ciągnęły gościńcem cesarskim, prowadzącym z Mugdenu — stolicy Mandżurji do Pekinu. Spotykano też często wioski, składające się po większej części z niskich, kamiennych, albo lepionych z gliny i chróstu domków, zamieszkałych przez brudną, wychudłą ludność. Bardzki, o ile możności, wymijał je zdala, gdyż obawiał się jakich nieprzyjaznych wystąpień ze strony Mandżurów.

Pierwsze trzy dni minęły spokojnie, bo o przygodzie na rzece zapomniano wkrótce; przeciętnie robiono na dobę po 70 kilometrów; Bardzki był zadowolony i cieszył się nadzieją, że zdąży na czas do Tientsinu; opowieści o zaburzeniach wydawały mu się przesadzone. Czwartego dnia od rana niebo zachmurzyło się, a po południu rozsrożyła się burza z błyskawicami i piorunami; deszcz lał, jak gdyby

ktoś przedziurawił napełnione wodą niebo, i w godzinę niespełna droga stała się niemożliwą do przebycia. O noclegu pod gołem niebem nasi podróżni nie mogli nawet marzyć. Bardzki pośpieszał więc, ażeby przed zachodem słońca dotrzeć do najbliższego miasta.

Pomimo pośpiechu, nie zdążono dotrzeć przed zmierzchem do miasteczka. Bardzki zdecydował się więc zatrzymać na noc w przydrożnej gospodzie, chociaż ta nie przedstawiała się zachęcająco zewnątrz.

Właściciel oberży zdziwił się, ujrzawszy przed swym domem Europejczyków, lecz, z właściwą Chińczykom dyplomacją, ukrywał to zręcznie i rozpływał się w grzecznościach, które Li tłumaczył swemu panu.

— Czy dostojni mandaryni cieszą się dobrem zdrowiem? Czy nie doznali jakiej przykrości w drodze? Czy konie ich znalazły poddostatkiem paszy? Z jakich okolic ich przynoszące szczęście cienie paść raczyły na to miejsce? Dokąd zamierzają się udać, i jakie sprawy zmusiły ich do podróżowania w tak brzydką pogodę?

— Cóż u licha! — zawołał, zniecierpliwiony tym nieskończonym szeregiem pytań, Bardzki — my tu mokniemy na deszczu, a oni rozmawiają w najlepsze.

— Taki już zwyczaj w Chinach — mruknął Wilson z rezygnacją — gospodarz wypytuje się troskliwie o zdrowie, chociaż, przypuszczam, chętnieby utopił w łyżce wody zamorskich djabłów.

— Albo obdarł w nocy przy pomocy bokserów — dorzucił Walker.

Po upływie kwadransu Chińczyk wyczerpał kwestje, jakie nakazuje poruszać uprzejmość w państwie Środka, i wtedy dopiero Li w wyszukany sposób poprosił, ażeby jego panu wolno było wejść do gospody. Gospodarz z niskim ukłonem wprowadził podróżnych do obszernej izby, służącej zarazem jako pokój gościnny, sypialnia i kuchnia. Większa część tej izby była wyniesiona na 4 stopy nad podłogę z wymurowanym z lekko wypalanych cegieł piecem, na którym sypiali przejezdni. Piec taki, służący zarazem do gotowania potraw, nazywa się kangiem. W całej Mongolji i Mandżurji, aż do Wielkiego muru chińskiego, kangi stanowią nieodzowne urządzenie każdej oberży. W zimie, podczas mrozów, są one bezwątpienia przyjemnemi, zato latem dają się we znaki i służą chyba poto, ażeby spędzać sen z powiek. Z przodu, bezpośrednio nad ogniskiem, znajdują się wmurowane kotły, w których zazwyczaj podróżni sami gotują sobie strawę. Pozostałą powierzchnię kangi zajmują stoliki i stołki, tutaj też, za nadejściem nocy, goście kładą się do spoczynku. Na dole mieszka gospodarz z rodziną.

W gospodzie znajdowało się już kilku Chińczyków-Mandżurów, którzy na widok Europejczyków wytrzeszczyli oczy. Obywatele państwa Niebieskiego są z natury ciekawi, obserwowali więc bacznie naszych podróżnych.

Wilson bez ceremonji wyrugował z jednej połowy pieca Mandżurów i objął ją w posiadanie wy-

łączne, nie zwracając najmniejszej uwagi na szemrania pokrzywdzonych.

— Z nimi nie można inaczej — rzekł Anglik, kiedy mu Bardzki z tego powodu zrobił wymówkę. — Jeżeliby spostrzegli, że się ich boimy, albo się liczymy z nimi, nieomieszkaliby nas napaść... Znam ja dobrze Mongołów,czują respekt tylko wobec siły...

Walker pozostał przy koniach w stajence, Li zaczął się krzątać około wieczerzy.

Bardzki jednak postanowił skorzystać z uprzejmości gospodarza i włożyć na niego obowiązek kucharza. Po drodze Wilsonowi udało się zastrzelić zająca, stanowił więc on podwaliny uczty. Chińczyk wywiązał slę z zadania sumiennie i z wrodzonym talentem kulinarnym wyjął ze zwierzyny cały szkielet, pozostawiając tylko mięso, według obyczaju mandżurskiego.

Wieczerza składała się z dziesięciu potraw, podawanych w maleńkich porcjach, ale przyrządzonych nader smacznie, przy pomocy trafnie dobranych korzeni i innych przypraw. Bardzki czuł się zupełnie zadowolony. W Europie upowszechniło się mniemanie, że Chińczycy jadają najdziwaczniejsze i najwstrętniejsze rzeczy, ale jest to przesada. Wprawdzie płetwy rekina, żaby i t. d. uchodzą tam za przysmaki; dlaczegożby jednak płetwy wielkiej ryby miały być czemś wstrętniejszem od głowizny, a służące za przyprawę gniazda salanganów od ostryg?... Co do szczurów, psów i żab, to nie figurują one nigdy na stole średniozamożnego człowieka. Tylko drobni

rzemieślnicy, wyrobnicy i wogóle uboga klasa jada te zwierzęta, w braku lepszego mięsa, niedostępnego dla niej z powodu ceny wysokiej. Zresztą przypomnijmy sobie, że Francuzi, Niemcy południowi, Włosi uważają za przysmak udka żabie, wstrętne ślimaki i poławiane w morzu głowonogi, że w berlińskiej garkuchni zjesz koninę zamiast wołowiny, w Paryżu częstują cię kotem zamiast królika, albo wroną zamiast kurczęcia. W Chinach zaś kota sprzedają za kota, a psa za psa, na tym więc punkcie Chińczycy stoją wyżej od Europejczyków.

Po wieczerzy, w której ryż w rozmaitej postaci odgrywał główną rolę, nasi podróżni kazali sobie zrobić herbaty, lecz gospodarz, zwyczajem mandżurskim, użył tak zwanej cegiełkowej herbaty, gotując ją w wodzie, dopóki nie rozpuściła się na czarną ciecz, podobną do atramentu; zamiast cukru wsypał garść soli, i napój był gotów. Li raczył się nim z rozkoszą. Bardzki jednak i jego dwaj towarzysze kręcili nosem... Skończyło się na tem, że Li musiał sparzyć dobrej herbaty na sposób europejski w blaszanym imbryku.

Wkrótce po wieczerzy inżynier i Wilson położyli się spać, Li miał sobie polecone czuwać nad swym panem i od czasu do czasu zaglądać do Walkera i do koni.

Niebawem atoli Bardzki zaczął żałować, że nie nocował w swoim niskim namiocie w polu. Chińczycy zamiast spać, prawie do samego rana oddawali się zapamiętale grze w kości, w karty, przyczem sprze-

czali się, a nawet raz doszło do bójki. Prócz tego w izbie było niemiłosiernie duszno, gorąco, a ze szpar olbrzymiego pieca wymaszerowały na żer całe legjony rozmaitego gatunku robactwa, nie brakło też szczurów, które posuwały swe zuchwalstwo do tego stopnia, że goniły się po twarzach śpiących, a raczej usiłujących spać. Wilson przeklinał, na czem świat stoi, i co chwila zrywał się na równe nogi; nareszcie przeniósł się do stajenki i tam na chłodzie, otulony kołdrą, przeleżał do samego dnia na niezbyt czystej podściółce.

Rano o świcie Li ugotował herbaty, gospodarz przyrządził gorącej zupy, i po tym skromnym posiłku wskoczono na siodła i odjechano w obecności kilkudziesięciu gapiów, którzy zgromadzili się przed oberżą, aby się przyjrzeć djabłom zamorskim. Tłum ten nie był znać usposobiony przychylnie dla Europejczyków w ogólności, gdyż za odjeżdżającymi furknęło w powietrzu kilka kamieni; pociski upadły jednak dość daleko za podróżnymi i nie wyprowadziły z równowagi nawet drażliwego Walkera.

— Nie sądziłem, że wszystko pójdzie tak gładko — odezwał się Wilson — jesteśmy od trzech dni w drodze, a nie spotkała nas żadna przykrość.

— Poczekaj — odparł mu ex-dragon — niechno tylko znajdziemy się w Chinach właściwych, poza wielkim murem, gdzie ludność jest pięć razy gęściejsza, aniżeli w Mandżurji. Wtedy rozpocznie się taniec.

Okazało się, że nawet Walker zapatrywał się zbyt różowo na sprawy.

W dwie godziny po opuszczeniu oberży, nasi podróżni ujrzeli obszerną wieś, prawie miasto, położone u stóp dość wysokiego pasma wzgórz.

Bardzki chętnie ominąłby ją, lecz droga, wijąca się kapryśnie wśród wyniosłości, nie pozwoliła na to. Zdaleka już spostrzeżono jakieś zbiorowisko ludzi na głównej ulicy, ale dopiero z odległości paruset metrów zorjentowano się w sytuacji.

— Tam, do tysiąca pękających granatów! — zawołał nagle Walker — toż to oddział żołnierzy!

— Wracajmy więc! — odparł zaniepokojony Bardzki, wstrzymując konia.

— Już za późno! — mruknął Wilson z właściwą sobie flegmą.

Wahanie się podróżnych zwróciło znać uwagę żołnierzy, gdyż kilku z nich wyszło na spotkanie nadjeżdżających.

Mieli oni na sobie bluzy i spodnie niebieskie z białemi wyłogami, na piersiach koła, z chińskiemi literami w pośrodku, oznaczającemi pułki i prowincję; na głowach śpiczaste mongolskie kapelusze, plecione z bambusu. Wszyscy byli boso, uzbrojenie zaś składało się z szabli, wiszącej u pasa na rzemieniu, i ze staroświeckich, skałkowych, zardzewiałych karabinów, bez bagnetów.

Walker mierzył pogardliwemi spojrzeniami tych przedstawicieli potęgi wojskowej Chin.

- To prowincjonalni żołnierze, tak zwana flaga

zielona — rzekł wreszcie — hołota, jak pan widzi; jeżeli wszyscy posiadają takie same fuzje, to możemy sobie drwić choćby z całego pułku...

— Nie tak bardzo! — zaprzeczył inżynier — i ze skałkówki dobry strzelec trafi, a przecież wchodzimy w sam środek nieprzyjaciela.

— Uciekajmy, panie — jęczał Li pobladły — żołnierze obrabują nas ze wszystkiego, gorsi są oni od rozbójników...

— A czy istnieje jaka boczna droga, okrążająca wioskę?

— Nie wiem, panie, ale jeżeli nie uciekniemy, to na pewno nas zabiją.

— To się jeszcze zobaczy! — wtrącił z zimną krwią Wilson.

— Naprzód! — zakomenderował Bardzki, po krótkiem wahaniu. — Strzelać nie inaczej, jak w razie napaści... punkt zborny w lasku, po tamtej stronie wsi. Nie zatrzymywać się i torować drogę szablą, albo kolbą. Marsz!

I czwórka, z inżynierem na czele a biednym Li w odwodzie, ruszyła kłusem, nie zwracając żadnej uwagi na zbliżających się Chińczyków.

Był to czyn zaiste zuchwały, ale Bardzki liczył, że żołnierze pozwolą mu przejechać bez zaczepki... Niebawem znaleziono się na ulicy, zamkniętej po obu stronach długiemi szeregami nędznych domostw. Żołnierze złożyli w kozły broń i, stojąc, przypatrywali się ciekawie naszym podróżnym. Były to tęgie chłopy, bo siła fizyczna stanowi w Chinach niezbędną

i jedyną przytem kwalifikację, wymaganą od zaciągających się do armji ochotników; oficerowie wyróżniają się nie wykształceniem, ale dzielnością muskułów i zręcznością we władaniu bronią.

Wojacy otaczali tłumnie jakiegoś bonzę, t. j. duchownego, który za kilka sapeków [1]) stawiał im prognostyki; znać chcieli się dowiedzieć, czy zwyciężą zamorskich djabłów, którym wypowiedzieli wojnę i którzy z pomiędzy nich wyjdą cało z oczekiwanych starć z nieprzyjacielem.

Porzucono jednak bonzę i przyglądano się obcym, którzy zdołaliby przemknąć się, gdyby nie dzieciaki. Kilkunastu malców, z przeraźliwym wrzaskiem, zaczęło ciskać błotem i kamykami w naszych podróżnych; przykład ten podziałał zaraźliwie, w ślad za żwirem poleciało parę dużych kamieni, z których jeden trafił w łeb konia Wilsona. Spłoszony rumak skoczył wbok i przewrócił jakąś kobietę z niemowlęciem na ręku. — Wszczął się natychmiast straszliwy zamęt. Chinka wrzeszczała, jakby ją kto ze skóry obdzierał, dzieciak darł się wniebogłosy, w koncercie tym wzięli udział wszyscy mieszkańcy wioski. Kamienie posypały się znowu: jeden z żołnierzy pochwycił za cugle konia inżyniera... Kilkunastu innych porwało za broń.

— Djabły zamorskie! — rozlegały się zewsząd wołania — zatrzymać ich!

Bardzki nie mógł się wahać, jeżeli nie chciał

---

[1]) Drobna moneta.

zginąć wraz z towarzyszami — wyciągnął więc z pochwy pałasz i wymierzył potężny cios w kapelusz zastępującemu drogę żołnierzowi. Potem spiął konia ostrogą i przypuścił prawdziwie ułańską szarżę. W Walkerze też ocknął się dragon, Wilson zaś przekładał kolbę od karabina.

Wszyscy trzej polecieli jak burza, obalając i tratując wszystko, co nie zdążyło usunąć się w porę na bok.

Li, uniesiony bardziej strachem, aniżeli męstwem, galopował tuż za nimi, w obawie, aby nie pozostać wtyle i nie zostać odciętym.

Koło uszu naszych szarżujących zaświstało kilkanaście kul, a nawet strzał, wypuszczonych z łuków; jedna z tych ostatnich drasnęła w policzek Walkera. Ex-dragon królowej Wiktorji stanął na strzemionach i ze wściekłością rozdzielał cięcia na prawo i na lewo... jednem uderzeniem przeciął drzewce piki, zagrażającej inżynierowi z boku, drugiem zmiótł kapelusz wraz z warkoczem żołnierzowi, który właśnie doń celował z zardzewiałej skałkówki... Tuż za nim rozlegały się głuche odgłosy kolby Wilsona, spadającej na plecy, głowy i ramiona chińskich wojowników... Torowano sobie przejście z trudnością, bo w pośrodku ulicy stało kilkanaście wozów, zarekwirowanych dla chorych żołnierzy. Wkońcu jednak wydostano się z niebezpiecznej cieśniny na otwartą przestrzeń...

— Uf! — odetchnął Walker, chowając pałasz do pochwy — ręka mi zemdlała, chociaż niema to, jak

broń biała przy dobrym koniu! Nigdybyśmy inaczej nie przedarli się przez tę hołotę.

— I kolba niezła, byle mocna! — dorzucił Wilson.

Bardzki obejrzał się wtył: ulica była prawie pusta. Przerażony energiczną szarżą zamorskich djabłów, oddział chiński poumykał wraz z ludnością do domów; pozostało tylko kilkunastu żołnierzy, którzy śpiesznie nabijali swoje skałkówki i posyłali, nie celując prawie, pociski za zuchwałymi cudzoziemcami, ci jednak nie raczyli wcale odpowiadać na tę niezręczną strzelaninę i oddalali się drobnym truchtem.

— Daliśmy im porządną nauczkę! — rzekł Walker, obcierając chustką krew, spływającą mu po twarzy. Szkoda tylko, że nie zdążyłem rozpłatać łba temu, który mnie skaleczył...

— Podziękuj lepiej Opatrzności, że strzała cię nie trafiła w szyję — odezwał się poważnie Wilson — parę cali niżej, i byłoby po dragonie.

— Nie pierwsza to obcierka w życiu — odparł dumnie Walker — w każdym razie szarży niema się co wstydzić... Rozpędziliśmy pięćdziesiąt razy liczniejszego nieprzyjaciela.

— Nieprzygotowanego — dorzucił Wilson.

— Ale uzbrojonego i zamykającego wąską ulicę.

— Nie dowodzi to bynajmniej, żebyśmy mieli nadal odnosić tak łatwe zwycięstwa — wtrącił Bardzki. — Oprócz zielonych chorągwi, możemy się zetknąć z regularnemi wojskami, a wtedy szarża, choćby najdzielniejsza, na nic!...

— Albo spotkamy wysokiego urzędnika, i będzie jeszcze gorzej — dodał Li.

— Cóż nam zrobi urzędnik?

— Och, panie, lepiej mieć do czynienia z oddziałem żołnierzy, aniżeli z urzędnikiem! — rzekł Chińczyk, nachylając się komicznie, jak gdyby już stał przed mandarynem.

— A gdyby tak przebrać się za żołnierzy! — zawołał nagle Bardzki — przynajmniej nie zaczepianoby nas... Kupimy sobie mundury w pierwszem lepszem mieście...

— Nie widziałem jeszcze żołnierza chińskiego o niebieskich oczach i blond włosach, jak pan! — rzekł Wilson, uśmiechając się. — My zaś obaj nie mamy ani żółtej cery, ani wystających kości policzkowych, ani warkoczów, ani płaskich nosów... Maskarada rychłoby się więc wydała.

— O tak, bardzo, bardzo niebezpieczny pomysł — mruczał Li, oglądając się niespokojnie wtył. — Daleko lepiej podróżować nocą a w dzień spać w prosie, albo w krzakach; coprawda, w ciemnościach latają duchy i mogą nam poobrywać głowy, ale na to jest rada; wymalujemy sobie na plecach czarną farbą znaki.

— Terefere... — przerwał Wilson — w duchy nie wierzymy, a co do nocnej podróży, to racja... Chińczyk kładzie się spać razem z kurami; ba, nawet rozbójnicy trzymają się tego zwyczaju dla prostej przyczyny, że nocą nie mieliby kogo rabować.

— Projekt jest niezły, obawiam się tylko, żebyśmy się nie zbłąkali — rzekł Bardzki!

— Ba! od czego busola i mapa — odparł Walker — nieraz brałem udział w rekonesansach i potrafię się orjentować nie gorzej, aniżeli oficer sztabu generalnego.

Powzięty plan wykonywać zaczęto niezwłocznie; w południe nasi podróżni przeprawili się przez most, sklecony z dwóch powalonych pni drzewnych nad głęboką przepaścią, i ujrzeli w niewielkiej odległości miasto, opasane murem, postanowili więc zatrzymać się w pobliskim lesie, rosnącym po obu stronach gościńca. Li wynalazł zacienione wysokiemi wiązami krzewy, i tutaj rozłożono się obozem. Miejsce było obrane doskonale, widziano bowiem stąd miasto jak na dłoni. Rozpalono ognisko z suchych gałązek, aby się nie zdradzić, tymczasem nagotowano herbaty i ryżu, zaspokojono głód, poczem ułożono się do snu na zielonej trawie.

— Doskonały pomysł przyszedł ci do głowy, mój Li! — zawołał Bardzki, wygrzewając się w promieniach wiosennego słońca; przynajmniej nie będziemy szczękali zębami pod kołdrą, a w nocy ruch nas i tak rozgrzeje... Walker niech popilnuje do czwartej, a potem zastąpi go Wilson...

Bardzki już zmrużył oczy, gdy nagle rozległ się przenikliwy tam-tam, i przez wrota indyjskie zaczęła się przelewać fala zbrojnych, którzy biegli, jak stado owiec, drogą wprost do lasu.

— Baczność! — zawołał Walker — żołnierze idą!

Wnet wszyscy zerwali się na równe nogi; ale niebawem przekonano się, iż wojsko udawało się na codzienne ćwiczenia pod miasto; cały oddział zatrzymał się o dobrych 800 metrów od biwaku naszych podróżnych. Walker pogardliwie przyglądał się oberwanym, bosym żołnierzom, fechtującym się niezgrabnie pałkami, podnoszącym kamienie, przywiązane po obu końcach bambusu, a wreszcie strzelającym z łuku...

Zaledwie wojsko wróciło do miasta, gdy naraz wyszedł z bramy orszak pogrzebowy, któremu przodował jakiś człowiek z parasolem czerwonym, inni uczestnicy zaś nieśli latarki papierowe i chorągiewki kolorowe... Pochód zbliżył się do obozu tak bardzo, że aż Bardzki się zaniepokoił... okazało się, że o kilkadziesiąt kroków na prawo wiodła droga na cmentarz miejski...

— Tam do licha! niewygodne miejsce obraliśmy sobie — zaklął Wilson — nie zmrużyłem dotąd oka.

— Przenieśmy się trochę w głąb lasu — radził Li.

— Musimy przecież wiedzieć, co się dokoła nas dzieje — odparł Walker.

Rój młodych dziewcząt wypadł z bram i rozpoczął grę w piłkę, używając drewnianych trzewików, zamiast palantów. Przy tej sposobności Bardzki zauważył, iż krępowanie stóp u Chinek nie odbiera im, jakby należało sądzić, swobody ruchów; biegały one dość żywo, zlekka zaledwie się kołysząc, i stały mocno.

Dziewczęta po godzinnej zabawie powróciły do domu, ale do samego niemal zmroku na drodze pa-

Kung-tsoj-hong, to znaczy miejsce, w którem przechowują ciało od śmierci aż do pogrzebu.

nował znaczny ruch, który ustał dopiero wtedy, gdy zamknięto na noc bramy miasta.

Nasi podróżni, nie zażywszy spodziewanego wywczasu, wybierali się niechętnie w dalszą podróż; postanowiono na przyszłość unikać siedzib ludzkich.

Zboczywszy trochę z gościńca, inżynier spostrzegł małą szopę słomianą, pod którą na drewnianem rusztowaniu spoczywała trumna. Był to nieboszczyk, odwiedzany niedawno przez znajomych i krewnych; dookoła leżały resztki papierowych kufrów, palankinów, pieniędzy, odzieży, spalonych na ofiarę. W ten sposób Chińczycy posyłają zmarłemu przedmioty, mogące mu się przydać na tamtym świecie.

— Dziwaczny grób! — rzekł Walker, wzruszając ramionami.

— To wcale nie grób — odezwał się Li.

— Tylko co?

— Kung-tsoj-hong, to znaczy miejsce, w którem przechowują ciało od śmierci aż do pogrzebu.

— Hm! to ten nieborak musi widocznie czekać od dość dawna na miejsce wiecznego spoczynku, bo trumna już próchnieje trochę, a szopa się psuje.

– Mój ojciec został pochowany dopiero w tym roku, chociaż umarł już przed sześciu laty.

— Pocóż ta zwłoka? — zagadnął zaciekawiony inżynier.

— Bo duchowny długo nie mógł znaleźć odpowiedniego miejsca — objaśnił Li — a potem, kiedy już obraliśmy miejsce, nie nawiedzane przez złe duchy,

prognostyk wskazywał, że żaden dzień nie nadawał się do pogrzebu; to miesiąc nie zgadzał się z dniem, to znowu miesiąc z rokiem, nareszcie znaleźliśmy porę dogodną, i mój ojciec nie potrzebuje się obawiać, aby mu cokolwiek zakłóciło pobyt na tamtym świecie.

— Tak, oni do każdego postępku zamierzonego muszą mieć dobry prognostyk — rzekł Wilson. — Niedawno jeden z robotników przy kolei chciał się puścić w podróż; zanim jednak oznaczył dzień wyjazdu, poszedł zasięgnąć porady u wróżbity. Biedak śpieszył się bardzo, bo miał jakiś termin w ważnej sprawie. Wróżbita zajrzał do swoich ksiąg astronomicznych i oświadczył, że w najbliższe dziesięć dni żaden człowiek nie odważy się puścić w drogę... Miesiąc, podobnie jak w przytoczonym tylko co przez naszego szanownego towarzysza przypadku, nie zgadzał się z dniami...

— Dlaczego? — zagadnął Walker, który nie miał jeszcze sposobności poznać zwyczajów chińskich.

— Dla bardzo ważnego powodu: oto miesiąc znajdował się pod znakiem wody, a dni, które chciał obrać do podróży mój znajomy Szari, występowały w kalendarzu pod godłem: kota, kruka, żmji, gołębia, ognia, i nie pamiętam już czego jeszcze...

— Więc cóż z tego?

— Jakto, nie rozumiesz? — zawołał Wilson — przecież kot, żmija i gołąb, wszystko to boi się wody, ogień zaś z nią walczy...

Wyjaśnienie to przyjęto głośnym wybuchem

śmiechu, jeden tylko Li zachował niezmąconą powagę.

— To bardzo naturalne — wtrącił z przekonaniem — ogień zwalcza wodę, kto więc podróżuje w dniu, kłócącym się z miesiącem, ten postępuje bardzo nieroztropnie. Nasz wielki urzędnik — dodał, patrząc na Bardzkiego — nie zwraca uwagi na to, i kto wie, czy nie wyjechał pod złym prognostykiem; jeżeli więc zdarzy się nam jakie nieszczęście, sam sobie będzie winien.

Inżynier nic nie odpowiedział, nie chciał bowiem polemizować z Chińczykiem w kwestji prognostyków.

ROZDZIAŁ IX.

W którym Li doświadcza srogości praw chińskich.

Bardzki, obawiając się, żeby nieporozumienia z napotykanymi w drodze Chińczykami nie opóźniły jego przybycia do Pekinu, chciał czem prędzej wykonać powzięty przed kilku dniami zamiar, t. j. przeobrazić się wraz z towarzyszami z cudzoziemca na dzielnego wojaka cesarza Kwang-Su.

Po naradzie postanowiono zatrzymać się w okolicy najbliższego miasta i wysłać służącego z pieniędzmi po zakup materjałów, albo też gotowych mundurów.

Sposobność nastręczyła się niebawem, gdyż okolica, przez którą jechano teraz, należała do gęsto zaludnionych, i nie minęło dnia, a raczej nocy, ażeby nie napotkano kilkunastu wsi i paru miast większych i mniejszych.

Inżynier przekonał się, że podróż pod osłoną ciemności przedstawiała liczne niedogodności, co przemawiało jeszcze bardziej za doprowadzeniem do skutku trochę awanturniczego planu.

Mijanie nocą wiosek nie kosztowało wiele tru-

dów, jechano prosto ulicą pomiędzy pozamykanemi domostwami, nie zbaczając z drogi; co najwyżej narażano się na spotkanie z jakim stróżem albo psem... gorzej zato działo się z miastami. Należy bowiem wiedzieć, że wszystkie grody w Chinach są otoczone wysokim murem i rowem, często napełnionym wstrętnemi nieczystościami; w murach znajduje się kilka bram, strzeżonych przez straż wojskową za dnia, a zamykanych szczelnie na noc. Ponieważ zaś gościniec przecina zwykle miasto wpoprzek, przeto podróżny musi przez nie przejeżdżać.

Bardzki parokrotnie okrążał miasta, ale doznał przytem niesłychanych trudności; pewnej nocy zabłąkano się i strawiono daremnie cztery godziny czasu, innym razem Li wpadł z koniem w jakiś dół i o mały włos nie skręcił karku. Musiano przytem wracać, krążyć, a co najgorsza budzić mieszkańców podmiejskich chałup, którzy w przerażeniu brali nocnych wędrowców za rozbójników i wszczynali alarmy.

Ażeby raz skończyć, Bardzki wysłał swego służącego z pieniędzmi do pobliskiego miasta, sam zaś z dwoma Anglikami zatrzymał się w opuszczonym domku straży przydrożnej i tutaj miał oczekiwać do następnego dnia na zakupione mundury.

Li nie bardzo był zadowolony z otrzymanej misji, ale poszedł, obiecując załatwić jak najprędzej sprawunek.

Im bardziej Li zbliżał się do miasta, tem większy ruch dostrzegał na gościńcu; u samej bramy cisnął się tłum różnorodny, jak pszczoły u wnijścia

do ula, wszystko, co żyło, śpieszyło w obawie, że lada chwila wrota zostaną zamknięte, a w takim razie spóźniony przybysz musi nocować w nędznych oberżach, a raczej szałasach, które przemyślni Chińczycy pobudowali o kilkadziesiąt kroków od murów miejskich.

Na szczęście Li zdążył dostać się do wnętrza przed zachodem słońca i zapuścił się w labirynt wąskich uliczek, gdzie panował zgiełk trudny do opisania; konie i wielbłądy wymijały z trudnością przechodniów, którzy usuwać się musieli do sklepów albo bram domostw, aby uniknąć przewrócenia na brudną ziemię; jeszcze gorszymi byli tragarze, wynoszący w wielkich naczyniach nieczystości poza mury. Niemały zgiełk sprawiali żebracy, starający się rozmaitemi sposobami zwrócić na siebie uwagę; jeden uderzał w dwie duże skorupy, drugi dzwonił przeraźliwie, trzeci grzechotał nad uchem jakiegoś kupca, w jego własnym sklepie, dopóki nie otrzymał sapeka, albo drobnego podarunku. Ażeby nie tracić czasu, Li zapytał pierwszego lepszego przechodnia, gdzie sprzedają odzież.

W Chinach kupcy, handlujący wspólnym artykułem, zajmują wyznaczone dzielnice, gdzie niczego więcej dostać nie można; przy jednej ulicy widzimy więc samych szewców, na drugiej rozłożyli towar snycerze, na trzeciej jubilerowie, na czwartej dostaniesz tylko artykułów spożywczych i t. d. Wreszcie Li dotarł do miejsca, gdzie się osiedlili kupcy odzieży i materjałów tkackich.

Właściciel sklepu, do którego wszedł po krótkiem wahaniu służący Bardzkiego, przyjął go z wyszukaną grzecznością; posadził na macie, poczęstował herbatą, ciastkami z mąki ryżowej i zaczął zadawać klientowi nieskończony, jak zwykle, szereg pytań:

— Skąd przybywa mój starszy brat? Gdzie leży jego wspaniały pałac? Jak brzmi jego godne nazwisko? Czy cenne jego zdrowie znajduje się w pożądanym stanie? i t. d.

Do interesu przystąpiono wtedy dopiero, gdy przepisom gościnności i uprzejmości stało się zadość. Wyszukana grzeczność nie przeszkodziła jednak kupcowi robić wszystko, co leżało w jego mocy, celem wyprowadzenia nabywcy w pole!

Li, wybrawszy trzy sztuki materjału, przepisanej barwy, zapytał o cenę.

— To kosztuje dwanaście taelów, czyli, że gotów jestem oddać towar po cenie kosztu — rzekł poważnie kupiec.

Służący Bardzkiego za dobrze znał swoich rodaków, ażeby miał uwierzyć tym zapewnieniom. W Chinach trzeba się targować jeszcze silniej, aniżeli w Warszawie za Żelazną Bramą; jeżeli zażądają dwanaście taelów, trzeba ofiarować co najwyżej połowę. Kupiec nie obraża się bynajmniej za taki dowód nieufności ze strony nabywcy. Zaklina się tylko na swoje szczęście, na popioły swoich przodków, na wielkiego Fo, albo na Buddę, że nie może ustąpić ani jednego sapeka, ale powoli zniża cenę i wreszcie odstępuje żądany przedmiot za połowę ceny.

Targ ciągnie się zwykle godzinę, albo i dłużej; nabywca ze swej strony przysięga, że towar nie wart więcej, zapewnia, że nie ma tyle pieniędzy, słowem stara się przelicytować kupca w przebiegłości; jest to niejako gra, w której cierpliwszy, wymowniejszy i lepiej kłamiący bierze wkońcu górę. Ściemniło się też zupełnie, kiedy wreszcie Li przystąpił do wypłacenia umówionej sumy, siedmiu taelów. Tutaj jednak nastręczyła się nowa trudność; kupiec zasiadł przed znajdującym się w każdym sklepie chińskim przyrządem do liczenia, składającym się z ruchomych kółek i deseczki, i po mozolnym, kilka minut trwającym rachunku, doszedł do wniosku, że w samej rzeczy należy mu się siedm taelów. Ale nie koniec na tem, trzeba było jeszcze sprawdzić i odważyć należność.

W chinach bowiem niema takiej monety, jak w Europie; od niepamiętnych czasów znajdują się tam w obiegu drobne pieniądze miedziane, zwane kasz, okrągłe, z czworokątnym otworem w pośrodku. Mają one jednak wartość fikcyjną odpowiadającą naszej zdawkowej monecie; 1350—1450 kasz, zależnie od dobroci, czynią tael, mający mniej więcej wartość rubla, albo 2 marek niemieckich. Tael nie jest to jednak moneta, ale wartość chińskiej uncji srebra; metal ten odlewają w sztaby, przypominające formą małą wanienkę, która waży 5, 10, 20 albo więcej taelów. Kto chce zapłacić, przypuśćmy, siedm taelów, ten odcina ze swej sztaby siekierką siedm uncyj, które przyjmujący starannie odważa. Każda prowin-

cja posiada przytem inny tael. Sto tealów w Szangaju n. p. znaczy tyle, co 98 w Tientsinie. W Kantonie od 1890 r. założono mennicę na wzór europejski, która bije t. zw. dolary kantońskie, odpowiadające wartością piastrom meksykańskim; dzielą się one jednak nie na 100 centów, ale na 972 kasz.

W miastach portowych, oprócz chińskiej monety, kursują jeszcze japońskie jeny, amerykańskie dolary, portugalskie piastry, przez co komplikacja się zwiększa... Wewnątrz kraju atoli pieniądze srebrne są rzadkością.

Kupiec obliczył wreszcie, że Li winien mu siedm taelów, wziął otrzymane dolary w rękę i sprawdził ich dźwięk, potem potarł o kamień probierczy, a wkońcu zważył starannie, i okazało się, że należało mu dopłacić do nich dwieście sapeków. Przyjąwszy monetę, wybijał na niej swój stempel, t. zw. „czop“, i chował pokolei do szufladki.

Li zauważył, że na stole znajdował się koszyczek pełen kawałków srebra i obrączek srebrnych; były to szczątki dolarów zużytych wskutek wielokrotnego stemplowania. Powoli ze środka monety wypadają okruchy, aż wreszcie pozostaje zewnętrzna jej część w postaci obrączki. Takie popsute dolary kursują w dalszym ciągu, tylko nie podług nominalnej wartości, a na wagę metalu.

Zaledwie Li wyszedł, gdy nagle rozległ się sygnał do zamykania domów i sklepów, co też mieszkańcy wykonali z takim pośpiechem, że służący

Bardzkiego znalazł się niebawem wpośród pustych i ciemnych uliczek.

Zaskoczony w ten sposób, Li zapytał przechodzącego z papierową latarnią w ręku stróża nocnego o pobliski zajazd, który nade drzwiami nosił napis: „Oberża pod niesłychaną taniością“. Kiedy jednak nasz wysłaniec wyjawił chęć przenocowania w niej, gospodarz zapytał, czem się trudni.

— Jestem krawcem — odparł po chwilowem wahaniu Li – spóźniłem się i znalazłem zamknięte bramy.

— Bardzo żałuję, ale moja gospoda jest przeznaczona na wyłączny użytek handlarzy ryżem — odparł Chińczyk uprzejmie, ale stanowczo.

Li wiedział o takiej specjalizacji gospód w Państwie Środka, ale postanowił próbować szczęścia gdzie indziej. Następny zajazd służył jednak dla handlarzy wielbłądami; ponieważ zaś biedny Li nie miał ze sobą ani jednego z tych zwierząt, więc nie chcąc narażać się na podejrzenia, pewędrował o parę ulic dalej do oberży „Pod tanią przyjemnością“. Okazało się, że tak obiecująco zatytułowany zajazd przyjmował tylko handlujących herbatą; dopiero po dwugodzinnych poszukiwaniach, zmęczony Li dostał się do gospody dla przejeżdżających „Pod pięcioma błogosławieństwami“. Radość jego nie trwała długo, ujrzał się bowiem w otoczeniu zgrai włóczęgów i oberwańców najgorszego gatunku, którzy mierzyli go badawczym wzrokiem.

Li, nie tracąc fantazji, zajął miejsce za stołem

i wziął spis potraw, podany mu przez uprzejmego gospodarza.

Na karcie tej figurowały następujące przysmaki, zupełnie odpowiadające renomie gospody „Pod pięcioma błogosławieństwami“.

Porcja psiego mięsa . . .	8	kasz
Mała porcja czarnego kota .	12	„
Czarne oczy kocie, para . .	4	„
Pieczony szczur	20	„
Filiżanka wina ryżowego .	6	„
Filiżanka herbaty	1	„

Specjały te nie nęciły zbytnio młodego Li, który, służąc przez kilka lat u zamożnych cudzoziemców, przyzwyczaił się do zbytkownych potraw, przyrządzanych na sposób europejski. Cóż miał jednak robić? Kazał sobie podać dużą porcję kota za 24 sapeki, ryżu i herbaty i, zaspokoiwszy głód, zaczął się rozglądać dokoła.

Kilkunastu „przejezdnych“, odzianych w postrzępione tuniki, brudnych i cuchnących, siedziało przy stolikach i grało w kości, kłócąc się zajadle przy lada nieporozumieniu i wygrażając sobie wzajemnie pięściami pod nosem. Byli tam tragarze, handlujący jarzynami, poławiacze psów, robotnicy z podmiejskich sadów, paru chłopów, opalonych od słońca, a nawet jeden uliczny wekslarz, który jednak czuł się tu znać bezpieczny, bo rozmawiał swobodnie z gośćmi, a nawet pił z nimi, cuchnącą obrzydliwie dla nosa europejskiego, wódkę z ryżu.

Li siedział w kącie gospody, jak mysz pod miotłą, bojąc się wleźć komukolwiek w drogę, i cierpliwie oczekiwał, aż godne towarzystwo przestanie grać i położy się spać. Biedaczysko drżał ze strachu, słuchając przekleństw, w których rzeczywiście Chińczycy są mistrzami; nad tym zgiełkiem górowało jednak wycie psów, które znajdowały się w pobliskiej budzie; biedne stworzenia przeczuwały znać, że poprowadzą je niebawem na rzeź, i narzekały na swój smutny los.

Nad ranem wreszcie zrobiło się względnie cicho; goście pokładli się spać na gołym kangu, napełniając powietrze donośnem chrapaniem. Znużony Li zasnął także, nie wiele sobie robiąc ze szczurów, przemykających się co chwila po jego twarzy i rękach.

Kiedy się obudził, w izbie, oprócz właściciela, nie było już nikogo; Li, zawstydzony trochę, podniósł się śpiesznie, lecz natychmiast spostrzegł z przestrachem, że zawiniątko z zakupionemi wczoraj wieczór materjałami znikło z pod jego głowy.

Młodzieniec wszczął alarm, wołając, że go okradziono, gospodarz zwrócił mu atoli uwagę, że się myli zapewne, bo w jego oberży nie nocują żadni złodzieje, tylko sami znani i porządni obywatele; zgubił więc zapewne swój tłumoczek, zanim przyszedł tutaj, albo wcale go nie posiadał.

Te słowa rozgniewały niezmiernie poczciwego Li, zaczął on obarczać obłudnego gospodarza zarzutami, ale ten w odpowiedzi pochwycił go brutalnie

za warkocz i wyrzucił na ulicę, obiecując sto bambusów, jeśli się natychmiast nie oddali.

Upokorzony, zrozpaczony i pałający zemstą, Li postanowił poszukiwać swej krzywdy, i nie wahając się długo, udał się do miejscowego urzędnika, piastującego godność sędziego.

Trafić do mandaryna było nietrudno, zamieszkiwał on bowiem najpiękniejszy dom w całem mieście o czerwonym, zdala dostrzegalnym dachu.

Li, stanąwszy przed drzwiami, przeznaczonemi dla najniższego rzędu interesantów, przytknął do ust zawieszoną na łańcuszku trąbę, która się tam znajdowała, i donośnie zatrąbił. Niezwłocznie zjawił się służący mandaryna i, wysłuchawszy, o co idzie, wpuścił młodzieńca do środka.

Dostojnik, odebrawszy należną sobie czołobitność, wysłuchał z powagą pokrzywdzonego.

W pół godziny niespełna potem, dwaj żołnierze wprowadzili właściciela gospody do sali, gdzie niebawem mandaryn rozpoczął sądzenie bieżących spraw.

Chińczycy bardzo rzadko zwracają się do władz o rozstrzygnięcie sporu, ponieważ boją się niezmiernie mandarynów, nie dlatego jednak, żeby prawa chińskie były straszne, albo dwuznaczne; przeciwnie, odznaczają się one jasnością i zwięzłością daleko większą, aniżeli europejskie. Obywateli Państwa Niebieskiego odstręcza zachowanie się samych sędziów, którzy chętnie przyznają słuszność wzamian za łapówkę, niedbalstwo urzędników, oraz surowość kar nakładanych za najlżejsze przewinienie.

Sprowadza to taki skutek, że Chińczyk zwraca się najprzód, według tradycji, do najstarszego mieszkańca wioski z prośbą o rozsądzenie sprawy na zasadzie obyczajowego prawa; dopiero, kiedy ta instancja nie zaspokoi jego pretensyj, udaje się do mandaryna.

Li był obcym, chcąc nie chcąc więc, poszedł prosto do urzędnika.

Sąd chiński nie wie, co to prawnik w znaczeniu europejskiem, nie robi żadnego „procesu“, nie dopuszcza rozpraw, wyrok uprawomocnia się natychmiast po wydaniu go, tylko w razie skazania winnego na śmierć, wymaga zatwierdzenia przez samego cesarza.

W głębi pokoju, za długim stołem, zasiadł mandaryn z okrągłemi okularami na nosie, w kapeluszu z odpowiadającym randze guzikiem na głowie; po obu stronach zajęli miejsca przy maleńkich stolikach urzędnicy, którzy pisali umaczanemi w tuszu pendzelkami na długich kawałkach papieru. Kilku pachołków stało w głębi, z zakończonemi płasko kijami w rękach. Na ścianach wisiały karty z tytułami i stopniami mandaryna, oraz z sentencjami, odnoszącemi się do sprawiedliwości.

Obwiniony, przyprowadzony przed sędziego, padł na kolana i uderzył kilkakrotnie czołem o podłogę.

Mandaryn zapytał właściciela gospody, jak się nazywa, i w paru słowach powiedział mu, o co go oskarżają.

— Czy masz świadków? — zagadnął, zwracając się do poszkodowanego.

— Było ich dużo w oberży, ale wszyscy odeszli rano, i pozostałem sam jeden.

— Skąd wiesz, że to właśnie gospodarz ukradł ci materjał na odzież.

— Stąd, że zamiast pomóc mi w odszukaniu złodzieja, zelżył mię i wyrzucił na ulicę...

— Bo mnie posądził o złodziejstwo — bronił się oberżysta.

— Przyznajesz, że ten człowiek miał zawiniątko wieczorem? — pytał dalej mandaryn, wskazując na Li.

— Tak jest, o wielki i mądry wykonawco sprawiedliwości, ale nie ja je zabrałem — jęczał obwiniony — zapewne jeden z moich gości dopuścił się tego brzydkiego postępku.

Na tem skończyło się badanie; urzędnik po krótkim namyśle wydał wyrok, według pojęć chińskich mądry i słuszny, ale zdaniem Li potwornie niesprawiedliwy.

— Oberżysta winien, raz dlatego, że źle pilnował całości mienia człowieka, szukającego przytułku w jego domu, powtóre, że przyjął na noc złodziejów do siebie, dać mu więc pięćdziesiąt bambusów. Podróżny także winien, bo nietylko źle strzegł swego cennego zawiniątka, ale, nie mając dostatecznych dowodów, posądził gospodarza o kradzież, chociaż ten nie spełnił tylko swego obowiązku, skarżącemu więc wymierzyć również pięćdziesiąt bambusów.

Zgromadzona w sali publiczność z zadowole-

niem wysłuchała słów mandaryna, słynącego podobno z bezinteresowności i wysokiego poczucia słuszności.

Wyroki wydawane przez sędziego są wykonywane w Chinach niezwłocznie; pachołkowie schwycili tedy za warkocz oberżystę i zaczęli przygotowywać jego odzież tak, aby nie przeszkadzała wymiarowi kary. Jeden z nich wyjął z pęka parę giętkich, odłupanych z grubego bambusa prętów, i egzekucja rozpoczęła się.

Li dostrzegł jednak, że oberżysta wsunął w dłoń dzierżącego bambus pachołka kilkadziesiąt sapeków, które sprowadziły bardzo dlań pożądane następstwa. Pręt podnosił się energicznie, ale spadał stosunkowo słabo, a nawet uderzał często w stołek drewniany, zamiast w obnażoną część ciała; za każdym takim chybionym razem oberżysta wrzeszczał wniebogłosy. Li, drżący, oczekiwał swojej kolei, gdy wtem przez tłum przecisnął się siedmnastoletni może chłopiec i zbliżył się do niego.

— Zastąpię cię, jeżeli mi dasz trzy taele — szepnął skazanemu do ucha.

Biednemu Li oczy zaświeciły się z radości.

W Chinach nie brak biedaków, którzy sprzedają swą skórę i z tego przemysłu czerpią środki utrzymania. Specjalista taki ma skutkiem długiego „przyzwyczajenia“ tak odbite ciało, że pięćdziesiąt bambusów niezbyt mu się dają odczuć. Prawo zaś dozwala na zamianę, to też w Państwie Niebieskiem można za pieniądze znaleźć zastępcę nawet wtedy, kiedy idzie o siedzenie przez kilka dni w nabitej

gwoździami klatce, o noszenie kangi, czyli ciężkiej deski z otworem na głowę, albo o ścięcie. Nieborak taki zgadza się położyć życie, jeżeli wie, że za to wydźwignie z nędzy swoją rodzinę. Zresztą niewiele traci w gruncie rzeczy, bo i tak czeka go prędzej czy później śmierć głodowa, albo zaprzedanie w niewolę.

Li, rzecz prosta, zgodził się na uczynioną mu propozycję, lecz cena wydała mu się zbyt wysoką; za trzy taele niejeden odebrałby chętnie i sto bambusów nieposmarowanych, to znaczy nie złagodzonych datkiem dla pachołka. Rozpoczął się więc głośny targ. Li ofiarował półtora taela, a chłopiec, obawiając się znać, żeby go „zarobek“ nie minął, zgodził się na takie wynagrodzenie za „usługę“ i z filozoficzną obojętnością zajął miejsce, opróżnione przed chwilą przez oberżystę.

Li, chcąc być wspaniałomyślnym, „posmarował“ 50 sapekami zbyt gibkie pręty, to też zastępca podniósł się ze stołka prawie wesół; ujrzawszy zaś nawleczone na rzemyk pieniądze w umówionej ilości, uśmiechnął się zadowolony z doskonałego interesu.

Zbytecznie byłoby chyba nadmieniać, że ocaliwszy w ten sposób swą skórę od bambusa, Li śpiesznie opuścił salę sądową.

Słońce wskazywało już południe, podążył więc co tchu do zrujnowanego domku strażniczego, gdzie go Bardzki przyjął gradem wymówek za zmarnowany daremnie czas. Gniew inżyniera złagodniał, a nawet zamienił się w różowy humor, gdy Li opowiedział doznaną w mieście przygodę.

— Mam wielką prośbę do wielkiego mandaryna — dokończył nieśmiało Li.

— Do mnie?! No! coż takiego? — zagadnął Bardzki.

— Żeby w swej nieograniczonej wspaniałomyślności, raczył wziąć na siebie pięćdziesiąt bambusów, na które został skazany jego nędzny sługa.

— Czego chce ten bałwan? — zapytał inżynier, zwracając się do Wilsona.

— Żeby mu pan nie wytrącał z zasług półtora taela, wydanego na zastępcę — odparł poważnie dozorca — inaczej bowiem wolałby sam wycierpieć karę.

— Dobrze, dobrze, mój chłopcze! — zawołał Bardzki ze śmiechem — postaraj się tylko, żebyśmy mieli mundury najpóźniej jutro, bo każda godzina droga.

ROZDZIAŁ X.

Odezwa przeciwko djabłom zamorskim i jej skutki.

Bardzki wysłał niezwłocznie swojego służącego po raz wtóry do miasta, zalecając mu, żeby jak najprędzej kupił gotową odzież, albo w ostateczności materjał, i oddał go krawcom do roboty; sam zaś pozostał nadal w budce strażniczej ze swymi towarzyszami. Li obiecał sprawić się lepiej tym razem. Udał się więc wprost do koszar, wielkiego gmachu, nawpół zrujnowanego, stojącego w samym środku miasta, i zawiązał rozmowę z żołnierzami, jako handlarz uliczny, zajmujący się skupywaniem starzyzny. Po krótkim targu znalazł się w posiadaniu kilku mundurów, a raczej bluz i szerokich spodni, kapeluszów śpiczastych, pasów i innych przynależności. Żołnierze od kilku miesięcy nie otrzymali żołdu, co zresztą bardzo często zdarza się w Chinach, i cierpieli wielki niedostatek. Połowa oddziału błąkała się po ulicach, żebrząc albo kradnąc; w tych warunkach Li za kilkaset sapeków mógł kupić, co mu się podobało, tem bardziej, że odzież stanowi w Państwie Niebieskiem prywatną własność żołnierzy.

Służący Bardzkiego chciał już odejść, gdy uwagę jego zwróciła proklamacja, przylepiona na wrotach koszarowych; otaczał ją tłum. Li, przecisnąwszy się, odczytał ogłoszenie, które brzmiało mniej więcej jak następuje:

„Djabły zamorskie przypłynęły na swych wielkich okrętach i znieważają groby naszych praojców, niepokoją dusze zmarłych, budują swoje djabelskie fabryki z kominami, sięgającemi do obłoków, przeszkadzają przelatywać swobodnie złym duchom i zakładają na ziemi sztaby żelazne[1]), ciągnące się w prostej linji, daleko... Urządzenia ich gwałcą nasze odwieczne i doskonałe zwyczaje, zagrażają naszemu spokojowi. Rozkazaliśmy przeto wypędzić cudzoziemców z całego Państwa Środka, a tych Chińczyków, którzy odrzucili wiarę przodków, wytępić. Waleczne nasze wojska pozabijały już w Pekinie dużo djabłów zamorskich, spaliły ich domy i zburzyły poselstwa, tak, iż kamień nie został na kamieniu. Prowincja Peczeli jest z nich oczyszczona; wypędzajcie ich zewsząd, a jeśliby się opierali, mordujcie bez litości, bo nieszczęście wisi nad wami, nad waszemi dziećmi, nad wnukami. Precz z zamorskiemi djabłami“.

Odezwa ta nosiła podpis księcia Tuana, członka domu cesarskiego, bliskiego kuzyna monarchy. Czytając ją, lud wznosił nienawistne okrzyki przeciwko cudzoziemcom, i opowiadano sobie przytem niestwo-

[1]) Szyny kolejowe.

rzone rzeczy o występkach, jakich się dopuścili cudzoziemcy względem Chińczyków, o zabijanych dzieciach, o spalonych wioskach, znieważanych grobowcach.

Li, przejęty trwogą, zamiast iść do krawca, postanowił czem prędzej zakomunikować swemu panu o tem, co czytał i słyszał.

Bardzki wysłuchał opowiadania ze ściśnionem sercem; co się działo z jego żoną, jeżeli przypadkiem znalazła się w Pekinie, kiedy wybuchnęła zawierucha? Czy Jankowi i Zosi nie stało się co złego? Czy pan Liwski okazał się dość przezornym? Gdzie szukać rodziny? Takie i tym podobne pytania krzyżowały się w jego głowie, jak pioruny na objętem burzą niebie, straszny niepokój szarpał mu piersi.

— Za dziesięć dni najdalej muszę dotrzeć do Pekinu! — rzekł złamanym głosem. — Słyszysz, Wilsonie, słyszysz, Walkerze?

— Dlaczegóżby nie? — odparł z zimną krwią Wilson — znajdujemy się wpobliżu wielkiego muru, skąd już niedaleko do stolicy, najwyżej 100 kilometrów.

— Do Pekinu się dostaniemy, prędzej czy później — dodał Walker — obawiam się atoli, czy odnajdziemy tam pańską rodzinę. Prawdopodobnie szukała ona schronienia w poselstwie.

— Ależ poselstwo zburzono! — przerwał nerwowo Bardzki.

— Właśnie to mnie niepokoi — mruknął eksdragon.

— Byłoby fatalne, gdyby zdążyli przyjechać do Pekinu przed rozruchem — rzekł po chwili milczenia inżynier. — Zdaje mi się jednak, że tak źle nie jest, powinni wylądować w Taku 15 maja, a w Tientsinie 17 albo 18, to znaczy wtedy, gdy już zaczęto prześladowanie Europejczyków... Zapewne ostrzeżono ich, i albo zatrzymali się w Tientsinie, gdzie nie potrzebują się niczego obawiać, albo wrócili do Hong-Kongu i tam oczekują, aż minie zawierucha. Radziłem żonie oddać się pod opiekę zacnym misjonarzom w razie nieprzewidzianym i spodziewam się, że tak właśnie uczyniła.

— Oby! — westchnął Wilson.

— Tak, czy owak, śpieszmy się — rzekł inżynier. — No, Li, pokaż mundury!

— Są niegodziwie zniszczone, chciałem podług nich kazać zrobić nowe krawcowi.

— A długoby to potrwało?

— Co najmniej dobę.

— Ależ to łachmany prawdziwe! — zawołał z oburzeniem Walker — za nic w świecie nie włożę ich na siebie.

— Masz słuszność — potwierdził Bardzki — trzeba odżałować dzisiejszego dnia. No, ruszaj Li i rozdziel robotę pomiędzy trzech krawców, bo jeden nie nadąży...

Li wziął mocno do serca sprawę i, nie odpoczywając wcale, pobiegł do miasta; bez trudności dopytał się o krawca, zamieszkującego wraz z cze-

ladnikiem nędzną lepiankę, i przedstawił mu swoje żądanie.

Europejski krawiec wobec chińskiego byłby niezręcznym uczniem; ten ostatni szyje niezmiernie szybko, chociaż prowadzi igłę z góry na dół i z dołu do góry, co wygląda bardzo niedołężnie. Obejrzawszy stare mundury, rzemieślnik zanotował sobie miarę pendzlem na białym stole, poczem zabrał się do krajania. Tuniki i spodnie, przyniesione przez młodego Chińczyka, obfitowały w plamy i dziury; spoglądając na nie, krawiec potrząsał głową.

— Czy mój starszy brat może zrobić dwa takie same ubiory na dziś wieczór? — zagadnął Li.

— Dwa mogę, ale trzeciego nie; niech mój młodszy brat uda się naprzeciwko.

Li zgodził się i, zabrawszy jeden z uniformów, poszedł do krawca sąsiedniego.

Kiedy powrócił, zrobiwszy obstalunek, znalazł materjał już pokrajany; ale jakież było jego zdziwienie i gniew, gdy się przekonał, że stary krawiec skopjował otrzymany na wzór uniform, ze wszelkiemi szczegółami; oprócz naturalnych rozporków, porobił też kilka dużych dziur na plecach i na łokciach, nie zapomniał nawet o tem, żeby spodnie przepołowić na dwie oddzielne nogawice, trzymające się razem tylko dzięki rzemieniowi.

— Cóżeś uczynił? — zawołał biedny Li, targając się z rozpaczy za warkocz — przecież chciałem mieć dwa nowe mundury.

Będą nowe, skoroś przyniósł materjał prosto

ze sklepu — odparł z zimną krwią krawiec. — Dlaczego nie powiedziałeś, że sobie nie życzysz mieć dziur? Twoja w tem wina, młodzieńcze!

Li zamilkł, przyznał bowiem w duchu, że stary krawiec miał rację. Wiedział on doskonale, że rzemieślnicy w jego ojczyźnie niewolniczo trzymają się wzorów. Robią porcelanę, rzeźbią w słoniowej kości, w kamieniu, tkają jedwab jota w jotę tak samo dziś, jak przed tysiącami lat, podług starych szablonów, i za nic w świecie nie odstąpiliby od nich w najdrobniejszym szczególe. W Chinach zastygło, skamieniało niejako wszystko, obyczaje, zwyczaje, literatura, nauka, a genjusz wynalazczy zniknął, jak się zdaje, bezpowrotnie.

Li strawił niemało czasu, zanim krawiec pozaszywał zbyteczne rozporki, załatał dziury wykrojone w nowym materjale; dzięki swej obrotności czeladnicy zdołali wykończyć odzież przed samym wieczorem, i Li, uszczęśliwiony, wyszedł z miasta z węzełkiem na plecach.

W niespełna godzinę potem, Bardzki i jego dwaj towarzysze zamienili się na żołnierzy regularnych jego cesarskiej mości Kwang-Su.

— A warkocze?! — zawołał Walker, śmiejąc się — dlaczego nie kupiłeś w koszarach paru sztuk?

— Chińczyk nie pozbywa się nigdy warkocza, chyba na polu bitwy, gdy padnie martwy — odparł poważnie Li.

— Daj pokój! przerwał Wilson — mój koń ma

suty ogon i dostarczy nam doskonałego materjału na tę ozdobę; trzeba tylko ogolić głowę.

— Mam brzytwę — odezwał się Bardzki — no, Li, musisz dopełnić przeobrażenia swego pana w obywatela Państwa Środkowego.

Podczas gdy młody Chińczyk golił zręcznie piękną blond czuprynę inżyniera, Wilson wyciął swej klaczy kilka promieni włosia i niebawem splótł dwa długie warkocze, bardzo podobne do ludzkich, bo Chińczycy naogół mają twarde, równe włosy. Walker naśladował towarzysza.

Kiedy uderzyła północ, niktby nie poznał w trzech tęgich żołnierzach „zamorskich djabłów". Li przylepił na piersiach i plecach każdemu z nich odjęte od starych mundurów okrągłe napisy, bo bez nich nie chodzi żaden wojskowy; znaczą one w Chinach to samo, co szlify w Europie.

— No i cóż? Możemy teraz podróżować bezpiecznie, hę? — zagadnął Bardzki, którego ta maskarada wprawiła w dobry humor.

Ale ku wielkiemu jego zdziwieniu, Li potrząsał głową z powątpiewaniem.

— Siodła nie takie i broń inna — rzekł.

— Poczekaj, przy pierwszej sposobności kupimy sobie stare skałkówki i rynsztunek odpowiedni.

— Co to, to nie! — odparł stanowczo Walker — niech mi raczej te nicponie odrąbią głowę, albo wsadzą do klatki, nabitej gwoździami, zanim wypuszczę z rąk karabin. Panie inżynierze, dalibóg nie możemy

się rozbrajać; dobry sztucer wojskowy, to jedyna nasza ucieczka w razie jakiego zatargu!

— To prawda, ale dlaczegobyśmy nie mieli dla niepoznaki zaopatrzyć się w piki, trójzęby czy coś podobnego.

— No, pikę mogę nosić — mruknął eks-dragon— chociaż prawdę mówiąc, broń ta daleko niebezpieczniejsza dla samego kawalerzysty, niż dla nieprzyjaciela.

Zjadłszy wieczerzę, nasi podróżni, pełni ufności w swą dobrą gwiazdę, opuścili strażniczą budkę. Ponieważ nie mogli jechać przez miasto, skierowali wbok i po niskich, błotnistych, zasianych dojrzewającym ryżem polach, posuwali się dość wolno, korzystając z pełni księżycowej. W parę godzin jednak ukazała się w dali woda, błyszcząca, jak wstęga srebrna; była to dość szeroka rzeka o niskich brzegach.

— Masz djable kaftan! — zaklął Wilson — teraz trzeba czekać do świtu.

— Za nic w świecie — zaprotestował Bardzki, zirytowany nową przeszkodą — pod miastem musi się znajdować most, jedźmy więc w górę rzeki...

Rada ta okazała się niepraktyczna; konie grzęzły poza pęciny w błocie, co kilkaset kroków napotykano rowy, odprowadzające wodę z pól ryżowych, pomimo to jednak, przed samym świtem podróżni ujrzeli prom, służący do przeprawy

— Obudź przewoźnika! — rozkazał inżynier.

Li skrzywił się.

— Niedobrze wdawać się z rządowym przewoźnikiem — odparł — patrz, wielki mandarynie, w tamtej chacie mieszkają żołnierze, pilnujący porządku z prawem... trzeba unikać spotkania z nimi, jeśli się nie zna dobrze chińskiego języka północnego.

— Ba, co do mnie, umiem zaledwie kilkanaście frazesów najpotrzebniejszych — rzekł inżynier.

— Ja zaś rozmówię się od biedy z każdym, kogo napotkam, oto tem! — zawołał butnie Walker, uderzając po lufie karabina.

— Ilu strażników bywa zwykle u przeprawy? — zagadnął Wilson.

— Rozmaicie, sześciu, albo nawet dziesięciu...

— Kiedy tak, to marsz, naprzód! — zakomenderował Bardzki — damy sobie z nimi radę, choćby ich było trzy razy tyle.

Li drżący ze wzruszenia zbliżał się do budki strażniczej; z zadowoleniem przekonał się jednak, iż żołnierze spali; w sąsiedniej lepiance mieszkał przewoźnik, ale pomimo stukania nie otwierał.

— Co czynić?! biadał Li.

— Poczekajno! wyręczę cię — odezwał się Walker i pchnął z całej siły drzwi, zbite z desek; potem wpadłszy do chaty, wyciągnął wrzeszczącego w niebogłosy przewoźnika za warkocz i kazał mu natychmiast przygotować prom.

Wyciągnięty z łóżka Chińczyk krzyczał, jak gdyby go obdzierali ze skóry. Li oglądał się niespokojnie na domek strażniczy, oczekując, rychło-li wy-

padnie z niego zastęp zbrojnych żołnierzy; ale jakoś było cicho w budce.

— Przepraw nas na drugą stronę — rzekł Wilson do przewoźnika.

Chińczyk przyszedł powoli do siebie, ale spoglądał ciągle z niedowierzaniem na wojaków, którzy postępowali z nim tak bezceremonjalnie; Bardzki, dla udobruchania, pokazał mu kilkadziesiąt sapeków.

— Mandaryn surowo zabronił przeprawiać kogokolwiek przed wschodem słońca — tłumaczył się przewoźnik.

— Zaraz się rozwidni — odparł Wilson — śpiesz się, bo nie mamy czasu.

— Czy nie jesteście czasem z Mandżurji? — zagadnął po chwili Chińczyk.

— Właśnie stamtąd jedziemy.

— Hm, a djabły zamorskie? Podobno wtargnęły do Mandżurji!

— Nic o tem nie słychać. A tutaj ich niema?

— Owszem, był jeden duchowny, aleśmy go zabili przed kilku dniami.

Wilson spojrzał znacząco na Bardzkiego.

— Dlaczegoście go zabili?

— Wyszedł edykt cesarski...

— A wojska dużo w tych stronach?

— Widziałem wczoraj duży oddział, idący od wielkiego muru na północ.

Tak rozmawiając, przewoźnik wlazł na prom; za nim wprowadzili swoje konie podróżni. Właśnie Chińczyk uchwycił za linę, gdy drzwi domku strażni-

czego rozwarły się, i wybiegło z nich kilkunastu uzbrojonych żołnierzy, którzy dawali znaki, ażeby się zatrzymać.

— Powiedziałem, że musicie czekać wschodu słońca — rzekł przewoźnik.

— Ani myślę — odparł Wilson — mamy pilny rozkaz do Pekinu. Odbijaj od brzegu.

Widząc, że przewoźnik się waha, Anglik odtrącił go i sam jął ciągnąć za linę, Walker i Li pomagali mu; ciężki prom ruszył z miejsca.

— Niech sobie kiwają palcem — zawołał były dragon, śmiejąc się — nie wrócimy chyba.

Słowa te wymówił po angielsku; dźwięki obcej mowy sprawiły piorunujące wrażenie na przewoźniku; spoglądał przestraszony na mniemanych żołnierzy, potem, nie namyślając się, wskoczył do wody, aby dopłynąć do brzegu.

— Bodajeś pękł z taką nieostrożnością — zaklął inżynier — ten tchórz powie żołnierzom, kim jesteśmy, i ściągnie nam kłopot na karki.

— Teraz nie potrzebujemy się niczego obawiać, proszę pana.

Nasi podróżni w półmroku widzieli, jak przewoźnik, wydostawszy się na ląd, połączył się ze strażą i, gestykulując, opowiadał snadź, co usłyszał.

Żołnierze, podbiegłszy, zaczęli wzywać powtórnie do powrotu przeprawiających się, ale, rzecz naturalna, nie słuchano ich wcale.

— Do widzenia kiedy indziej! — drwił Walker.

Ciągniony wspólnemi siłami prom oddalał się

i niebawem znalazł się na środku bystrej rzeki; żołnierze chińscy stali przez czas jakiś, nie wiedząc, co robić, ale wkońcu wskoczyli do dużej łodzi i energicznie zaczęli wiosłować.

— No, zanosi się na awanturę! — mruknął Wilson.

— Żal mi nieboraków! — odparł Walker — czy mam ich powstrzymać? — dodał, zwracając się do inżyniera.

— Nie, strzelajmy tylko w ostateczności! — zawołał żywo Bardzki.

— Jak się panu podoba!

Łódź, ozdobiona smokiem na przodzie, przybliżała się coraz bardziej, załoga jej składała się z dziesięciu żołnierzy, uzbrojonych w fuzje i piki, Kilku Chińczyków wymierzyło lufy w kierunku promu.

— O, wielki Fo, weź nas pod swą opiekę! — jęknął Li, przykucając.

— A teraz dać ognia? — zapytał powtórnie Walker, zrywając karabinek z pleców.

— Niech nas wprzód zaczepią.

W tej chwili zaświstało parę kul: jedna z nich przeleciała tuż nad uchem koniowi Bardzkiego, który, przestraszony, zaczął się rzucać, zagrażając promowi utratą równowagi. Wilson puścił linę i skoczył do zwierzęcia, aby je uspokoić; Walker, nie czekając dłużej na rozkaz, wymierzył do gondoli; kiedy pociągał za cyngiel, prom znowu się przechylił, i kula

chybiła snadź celu, bo żaden z Chińczyków nie przewrócił się.

Odprawa ta poskutkowała jednak, gdyż łódź zatrzymała się.

Po paru minutach atoli znowu huknęło z niej parę strzałów, żaden przecież nie wyrządził szkody podróżnym.

— Ciągnijcie mocniej! — zawołał Bardzki.

— Lina opada! — odparł Wilson.

Walker spostrzegł także, że gruba lina, ztyłu zanurzyła się w wodę; wnet też ciężki prom, zamiast ulegać usiłowaniom ludzkim, zaczął zmieniać kierunek i płynął coraz prędzej z biegiem rzeki.

— Te gałgany przecięli linę! — rzekł Wilson.

— To nie może być — zauważył inżynier — znajdowali się od niej za daleko, prędzej kula to zrobiła.

Z temi słowy Bardzki rzucił się na pomoc towarzyszom, ale żadna siła nie potrafiła już powstrzymać promu, porwanego bystrym prądem.

— Wiosłujcie do brzegu! — zawołał Bardzki.

— Niema ani jednego wiosła, panie! — odparł flegmatycznie Wilson.

— W takim razie nie wypuszczajcie liny.

— Już się wyśliznęła z bloków.

— A drągi są?

— Ani kawałka; popłyniemy, dokąd się Opatrzności spodoba.

Było już zupełnie widno; nasi podróżni widzieli zatem wyraźnie cały ogrom grożącego im niebez-

pieczeństwa. Mętne fale wezbranej rzeki szumiały dookoła, pieniły się, uderzając o nadbrzeżne skały i grożąc rozbiciem ślizgającemu się bez steru po ich grzbietach niezgrabnemu statkowi; w niewielkiej odległości płynęła chińska łódź strażnicza ze smokiem, a załoga jej wydawała głośne okrzyki.

— Czego jeszcze chcą od nas te dudki? — zagadnął Bardzki, przygryzając wargi.

— Wołają, żeby im pomogli z brzegu powstrzymać prom — odparł Li.

— Na kogo?

— Na rybaków.

Z obu stron wysuwały się łódki z ludźmi i dążyły na środek rzeki; dwóch rybaków chciało już zarzucić linę na prom, aby go przyholować do lądu, ale Wilson zmierzył się do nich z karabinu.

— Precz! — krzyknął stanowczo.

— Ależ pozwól-że im wyratować nas — odezwał się były dragon.

— Tym nicponiom nie idzie wcale o nas, tylko o całość promu — mruknął z zimną krwią Wilson — skoro przyciągną statek do brzegu lewego, ciekawym, co poczniemy.

— W takim razie każmy im holować prom na prawo.

— Li, powiedz im to — rzekł Bardzki.

Chińczycy atoli, ujrzawszy wymierzoną na siebie lufę karabinu, umykali śpiesznie, inni zaś naśladowali ich; niebawem prom znalazł się znów wpośród pustej rzeki; tylko gondola strażnicza nie przesta-

wała za nim gonić. Inżynier rozmyślał nad tem, jakby się pozbyć tej niewygodnej eskorty bez przelewu krwi, wreszcie trącił w ramię Wilsona, trzymającego konie.

— Czy jesteś pewny swego strzału na sto pięćdziesiąt metrów? — zagadnął.

— Przypuszczam.

— Jeżeli możesz, to postaraj się zgruchotać kulą wiosło, to ich powstrzyma.

— Trudno będzie trafić, panie, bo prom się kołysze, a wiosła także znajdują się w ruchu.

— Spróbuj!

Wilson, doskonały strzelec, celował dość długo, wreszcie dał ognia w odpowiedniej chwili.

— Pudło! — rzekł eks-dragon... Teraz na mnie kolej! wolę jednak trafić w samego Chińczyka.

Pocisk, wypuszczony przez Walkera, sprawił oryginalny skutek, obciął bowiem, jak nożem, warkocz jednego z żołnierzy, stojącego ztyłu gondoli i kierującego nią przy pomocy krótkiego a szerokiego wiosła. Wszyscy widzieli, jak drogocenna ozdoba zawisła, trzymając się na jednym czy dwóch włosach.

Poszkodowany w tak dotkliwy sposób żołnierz porzucił swoją czynność i zaczął wydawać bolesne okrzyki, jak gdyby kula zadała mu cios śmiertelny.

— Wolałby on stracić głowę! — rzekł Li, zdjęty snadź współczuciem dla rodaka.

Walker i Bardzki nie mogli się powstrzymać od śmiechu, widząc zamieszanie na gondoli i objawy

rozpaczy żołnierza; gondola zwolniła odrazu bieg i niebawem zniknęła na zakręcie.

— Teraz do lądu żwawo! Korzystajmy z chwili — zawołał Bardzki.

I, wyrwawszy z wysiłkiem deskę z bocznej ściany promu, zaczął nią energicznie zagarniać wodę. Walker poszedł za tym przykładem, ale bystry prąd udaremniał przedsięwzięcie; rzeka, ściśnięta pomiędzy brzegami, kłębiła się i pieniła, niosąc niezdarny, ciężki statek prosto na skalistą wysepkę, położoną w samym środku koryta.

Widząc zagrażające niebezpieczeństwo, inżynier wiosłował coraz energiczniej, w czem pomagali mu wszyscy towarzysze, ale wszystko na nic się nie zdało; prom uderzył niebawem z trzaskiem o sterczące z pod wody kamienie, zakręcił się wkółko i osiadł na brzegu z taką gwałtownością, że wszyscy, nie wyłączając koni, poprzewracali się.

Szybko jednak nasi podróżni opamiętali się; Wilson pochwycił za uzdę, poskoczył i, brodząc po pas, wyprowadził szczęśliwie wystraszone wierzchowce na wysepkę.

Bardzki, nie chcąc się zamoczyć, powierzył swą osobę Chińczykowi, który bez wypadku przeniósł na grzbiecie swego pana.

— Czy komu nie stało się co złego? — zagadnął inżynier.

— Chwalić Boga, wszyscyśmy cali i zdrowi! — odparł Wilson.

— No, wykierowaliśmy się na Robinsonów — rzekł Walker, rozglądając się po wysepce.

Była to prawie naga skała, sterczącа o kilkanaście stóp nad poziomem rzeki, uderzającej o nią wściekle swemi żółtemi, mętnemi, wezbranemi wodami, jak gdyby pragnęła usunąć tę zawadę ze swego łożyska. Ale wysepka opierała się skutecznie od wielu wieków jej naporowi, a nawet w suchej porze roku służyła za miejce pobytu rybakom, jak o tem świadczyły szczątki szałasów.

Od prawego brzegu, na który pragnęli się przeprawić nasi podróżni, dzieliła ją przestrzeń kilkudziesięciu metrów; ale o przeprawie wpław nie podobna było marzyć nawet, bo nurt nadzwyczajnie bystry porwałby nietylko konia, ale nawet pływaka, choćby najdzielniejszego.

Sytuacja nie przedstawiała się więc wesoło.

Bardzki pocieszał się jednak, że rybacy i mieszkańcy nadbrzeżnych wiosek przyjdą mu z pomocą,

Upłynęła godzina na wyczekiwaniu, poczem, rzeczywiście, od przeciwległego brzegu odbiła duża łódź z sześciu Chińczykami i po uporczywej walce z nurtem, dotarła do skalistej wysepki.

Li opowiedział swym ziomkom przygodę, zapomniawszy tylko dodać, że jego towarzysze są Europejczykami, i że kula, a nie woda zerwała linę od promu. Bardzki ani też Anglicy nie wtrącali się wcale do rozmowy, pozostawiając służącemu swobodę do zawierania umowy o warunki przeprawy.

Po krótkim targu rybacy podjęli się przewieźć

na prawy brzeg podróżnych i konie za pół taela, co było, w stosunku do niebezpieczeństwa i kłopotów, niezmiernie niską ceną; ale Chińczyk obawia się wojskowych, bo wie, że ci wyzyskują go przy każdej sposobności, a należność płacą tylko wyjątkowo.

Inżynier naglił do pośpiechu i pierwszy wraz z Wilsonem wsiadł do łodzi, zabrawszy naturalnie wierzchowca. Wylądowano o jakieś dwa kilometry poniżej, w miejscu, gdzie rzeka nie była już taka wąska i bystra, poczem niezwłocznie łódź wróciła na wysepkę po Walkera i Li.

Tymczasem na brzegu lewym żołnierze, odparci strzałami z promu, narobili strasznego gwałtu; wyprawiono posłańca do gubernatora miasta z wiadomością, że djabły zamorskie, przebrane za wojskowych, opanowały prom i uciekły na nim w dół rzeki. Mandaryn, otrzymawszy alarmujący raport, zarządził pościg; stu żołnierzy, pod dowództwem trzech oficerów, opuściło miasto, z rozkazem odszukania zuchwałych cudzoziemców, schwytania ich żywcem, albo też zabicia, wrazie, jeśliby się ośmielili stawiać zbrojny opór.

Oddział ten przeprawił się na prawy brzeg i pomaszerował równolegle z kierunkiem rzeki.

Właśnie łódz dobijała z powrotem do wysepki, kiedy żołnierze zatrzymali się naprzeciwko; rozbity prom pozwalał im domyślić się odrazu, że mają przed sobą cudzoziemców.

Walker, na widok oddziału, zaklął, jak poganin, ale nie stracił bynajmniej fantazji kawaleryjskiej;

niedawno miał sposobność przekonać się, że Chińczycy są tchórzami, i teraz więc pogardzał nimi z całego serca.

Nie wiedział on jednak, że Chińczyk jest bojaźliwy wtedy tylko, gdy stoi wobec równych sił, poczuwszy zaś swoją przewagę, staje się natrętnie odważnym, zwłaszcza, jeżeli podnieca go fanatyzm.

Żołnierze dawali znaki rybakom, ażeby ci bezzwłocznie wrócili do nich.

Anglik, spostrzegłszy to, szepnął stojącemu obok Li do ucha: — Krzyknij na rybaków, aby się nie ważyli słuchać tamtych, bo zacznę strzelać.

Młodzieniec powtórzył drżącym od wzruszenia głosem tę groźbę towarzysza; Walker zaś, chcąc ją poprzeć, wycelował z karabinu.

Przestraszeni rybacy ze zdwojoną usilnością wiosłowali w kierunku wysepki; zaledwie łódź dotknęła brzegu, Walker wskoczył w nią, prowadząc konia; Li uczynił to samo.

Ale położenie nie polepszyło się bynajmniej; żołnierze bowiem szli wzdłuż rzeki, towarzysząc łodzi. Na szczęście nierówności gruntu powstrzymały oddział w pochodzie, a prąd, nadzwyczaj bystry, w połączeniu z wiosłami, nadawał statkowi tak znaczną szybkość, że ścigający pozostawali coraz bardziej ztyłu.

Chińczycy, zmiarkowawszy, co się dzieje, puścili za uciekającymi kilkanaście kul, ale widocznie karabiny ich nie odznaczały się doniosłością, bo po-

ciski nie przeleciały nawet czterystu metrów i padły w wodę.

Eks-dragon nie raczył nawet odpowiedzieć na niezdarnę pukaninę; stał obojętnie, patrząc z pogardą na biegnący wybrzeżem tłum Chińczyków; zachęcał tylko gestami przewoźników, aby wiosłowali energiczniej. Przestrzeń pomiędzy wojskiem a ściganymi zwiększała się ciągle; kiedy łódź przybiła do miejsca, w którem oczekiwał Bardzki z Wilsonem, żołnierze znajdowali się o kilometr przynajmniej.

— Na koń! — zawołał inżynier.

Zaledwie jednak podróżni ruszyli z miejsca, gdy wierzchowce zaczęły grzęznąć po kolana; w miejscu tem rzeka wystąpiła z niskich brzegów i zalała znaczny obszar napływowych gruntów, tworząc błoto rudobrunatnej barwy; chcąc się dostać na suchy grunt, należało przejechać z pięćset metrów, dolina rzeki rozszerzała się bowiem tutaj znacznie.

— Trzeba zejść — rzekł Walker.

Była to dobra rada, gdyż konie, pozbawione ciężaru jeźdźców, nie zapadały tak głęboko; zato posuwano się niezmiernie wolno naprzód. Wojsko chińskie, ujrzawszy ściganych na otwartej równinie, rozpoczęło z sąsiedniej wyniosłości dość rzęsisty ogień, który, niestety, okazał się do pewnego stopnia skutecznym; wierzchowiec Bardzkiego padł na miejscu ugodzony w samą głowę, inny otrzymał ranę w szyję.

Widok krwi szlachetnych zwierząt wprawił w niepohamowany gniew naszego dragona, który, idąc za

Huknął wystrzał, i wszyscy doskonale widzieli, jak jeden z żołnierzy przewrócił się...

pierwszym popędem, wyciągnął pałasz, jak gdyby do szarży, wprędce jednak oprzytomniał i zerwał karabinek.

— Niechby mnie raczej trafili, tchórze niegodziwi! — zawołał, opierając broń na siodle, aby lepiej celować.

Huknął wystrzał, i wszyscy doskonale widzieli, jak jeden z żołnierzy przewrócił się twarzą ku ziemi; oddział cofnął się natychmiast poza nierówności gruntu, ale uzyskawszy przykrycie od ognia, strzelał jeszcze gęściej, aniżeli przedtem. Kule świstały i syczały koło uszu naszych podróżnych, jak natrętny rój wielkich, jadowitych komarów, których ukąszenie groziło natychmiastową śmiercią.

— Goddam! — zaklął Wilson — żołnierze wzięli nas znać za swoich rodaków, inaczej nie byliby tak zuchwałymi po otrzymanej nauczce. Niema co, proszę pana, trzeba położyć się w tem błocie za końmi, jak za szańcami i odgryzać się potrosze, bo inaczej wytłuką nas prędzej czy później, jak króliki.

Z temi słowy Anglik, spluwając z obrzydzenia, wyciągnął się jak długi, poza swym dogorywającym wierzchowcem; inżynier rad nie rad zrobił to samo; co do służącego Li, ten oddawna leżał w błocie, szczękając zębami ze strachu.

Walker przyskoczył i zręcznym ruchem zmusił jego konia, aby legł na ziemi, potem uczynił to również ze swoim.

— Zginęliśmy z kretesem! co tu gadać! — mruczał eks-dragon — znajdujemy się na otwartej, rów-

nej przestrzeni, i nieprzyjaciel ma nas, jak na dłoni; konie nie dadzą zasłony od karabinów.

— Chińczycy strzelają ze starych kapiszonówek — rzekł lakonicznie Wilson.

— Skąd wiesz? — zagadnął Bardzki.

— Bo gdyby posiadali uczciwe karabiny, jużbym nie żył; w tej chwili kula trafiła w siodło, ale zamiast przebić szkapę nawylot, tak jakby to zrobiła nasza, ugrzęzła w kulbace...

— Doprawdy?! — zawołał uradowany tem odkryciem Walker — ho, ho, moje robaczki, kiedy tak, to pogadamy jeszcze i postaramy się odsunąć was na przyzwoitszą odległość... Wilson, bierz na cel tego niezdarę, co stoi za krzakiem, jak straszydło na wróble, ja palnę do zuchwalca, który siedzi na kamieniu, a pan inżynier niech nauczy rozumu dudka, skradającego się poza skałami...

Widziano dokładnie żołnierzy, gdyż przestrzeń, dzieląca atakowanych od wzgórka, zajętego przez nieprzyjaciela, wynosiła najwyżej sto pięćdziesiąt metrów; zaraz się też ujawniła cała wyższość karabinów magazynowych nad starą bronią; kule chińskie padały tu i ówdzie, górowały, to znów nie dolatywały, pociski zaś wypuszczone przez naszych podróżnych bez wyjątku dosięgały celu i budziły zamęt.

Osiągnęło to zadziwiający skutek; Chińczycy zerwali się z ziemi i pędem się cofnęli za następny pagórek, wlokąc z sobą zabitych i rannych towarzyszy.

— No, teraz mogą sobie pukać, ile im się podoba! — rzekł Walker, uśmiechając się triumfująco — na trzysta metrów nie dosięgną nas nawet.

Inżynier i Wilson w milczeniu zdejmowali siodła i uzdy z zabitych wierzchowców i władowawszy je na konia Walkera, pomaszerowali w ukośnym kierunku do pasma wyniosłości, zamykających dolinę rzeki. Walker tworzył straż tylną i co kilka minut odwracał się i posyłał kulę nieprzyjacielowi, aby powstrzymać go na miejscu.

Ku wielkiemu zdziwieniu swemu, eks-dragon usłyszał w odpowiedzi kilkanaście strzałów, i tyleż kul z przeciągłem, nieprzyjemnem furczeniem przebiegło wpobliżu jego: jedna nawet musnęła i zastraszyła szkapę służącego.

— Co to znaczy?! zawołał Wilson, zatrzymując się.

— Pokazuje się, niestety, że Chińczycy obok starych gwintówek, nabijanych od przodu, mają także nowsze odtylcówki — odparł były dragon, kiwając głową. — Kto wie, czy nie znaleźliby się i łucznicy w Chinach, to zupełnie możliwe. Co za nędzna armja! Przytem najmniejszego ładu w obrotach, żołnierze idą, jak trzoda.

— Zostaw krytykę urządzeń wojskowych do innej sposobności, mój przyjacielu — przerwał mu Bardzki — teraz powinna nas przedewszystkiem interesować całość naszej skóry.

— Możeby znowu dać do nich salwę? — zapytał Walker.

— Nie, nie, postarajmy się dostać jak najprędzej na twardszy grunt... każda chwila droga.

Przyśpieszono kroku, ale jak na złość grunt był wciąż grząski; Wilson w jednem miejscu wpadł za kolana, tak, iż Bardzki musiał mu przyjść z pomocą.

Tymczasem kule świstały w dalszym ciągu; całe szczęście leżało w tem, że Chińczycy strzelali niżej wszelkiej krytyki, niebezpieczeństwa nie należało jednak lekceważyć, bo jakaś kula mogła wkońcu trafić...

Przeprawa pod ogniem trwała dobry kwadrans; wreszcie, po niezmiernych wysiłkach, nasi podróżni, zabłoceni od stóp do głów, zmęczeni i zniechęceni, wybrnęli z fatalnej niziny i znaleźli się na zielonej murawie, pokrywającej stoki doliny.

— Czy zajmiemy pozycję? - zagadnął Wilson, rozglądając się wkoło.

Wybór dobrego stanowiska nie nastręczał trudności, w sąsiedztwie znajdował się jar, na którego dnie płynął strumyk niegłęboki; po przeciwległej stronie tego naturalnego rowu sterczały obnażone skały, zdolne dać zabezpieczenie doskonałe nietylko od czołowego, ale i flankowego ognia. Ale inżynier nie zamierzał wcale zatrzymywać się; wiedział bowiem, że nie zdoła pobić i zmusić do zupełnego odwrotu kilkadziesiąt razy liczniejszego nieprzyjaciela i że, koniec końców, czeka go osaczenie ze wszystkich stron. Walker zorjentował się też prędko w sytuacji.

— Najlepiej zrobimy, porzucając dwa siodła i część pakunków, np. namiot; pan inżynier usiądzie na mojego konia. Wilson przyczepi się jako tako na drugiej szkapie, i wymkniemy się łatwo Chińczykom, którzy muszą nas gonić pieszo.

— Szkoda siodeł i płaszczów — rzekł Bardzki — rada twoja jest jednak praktyczna.

— Kupimy sobie inne, prawdziwe chińskie — odparł dragon — nasze i tak za bardzo zwracały uwagę.

— Niechże i tak będzie.

— Przepraszam pana, ale zanim ruszymy w drogę, trzeba nieprzyjacielowi odjąć ochotę do pościgu. Czy mi pan pozwoli wdrapać się na to drzewo i puknąć parę razy do tych żółtych rycerzy.

— Nie, nie! Byłaby to daremna strata czasu.

— No, to chociaż poślijmy im parę kul z tej skały.

— Tylko prędzej!

Podczas gdy podniecony wonią prochu Walker strzelał do Chińczyków, zbliżających się ostrożnie, Wilson zrzucił do parowu siodła, pozostawiwszy tylko uzdeczki; Li niechętnie rozstał się z namiotem i z baryłką wina, przytwierdzoną ztyłu siedzenia, ale te dwa przedmioty znacznie ulżyły koniowi, tak, że Wilson mógł bez obawy zająć miejsce antałka.

Siedm kul Walkera powstrzymało cokolwiek zapęd Chińczyków; nasi podróżni, korzystając z wahania się nieprzyjaciela, dosiedli, koni i dobrym kłu-

sem ruszyli wzdłuż jaru, który w razie natarcia dawał wybornę pozycję odporną.

Szczęście, sprzyjające dotychczas tak wiernie naszym wędrowcom, znać ich opuściło; nie ujechali bowiem i kilometra, gdy zdala doleciał ich tętent galopujących koni, i z bocznych zarośli wypadł oddział chińskiej kawalerji, która ze spuszczonemi lancami przypuściła szarżę.

— Jesteśmy zgubieni! — zawołał Bardzki z rozpaczą. —Żegnajcie, kochane dzieci. Bądź zdrowa, żono!

— Nie tak prędko! — odparł zuchwale Walker, — Li, z konia! przeszkadzasz mi!

Były dragon jednym energicznym ruchem zrzucił młodego Chińczyka na ziemię, wyciągnął pałasz prawą ręką, rewolwer lewą i z zachwycającą brawurą skoczył na spotkanie nieprzyjaciela.

Gdyby miał do czynienia z dragonami europejskimi, przypłaciłby niezawodnie śmiercią ten czyn bohaterski, ale wobec Chińczyków sprawa poszła inaczej. Szarżująca kawalerja, ujrzawszy pędzącego ku sobie z podniesionym pałaszem, zwolniła cokolwiek impetu; zato Walker podniecał swego wierzchowca ostrogą i pędził jak szalony. Znalazłszy się w odległości pięćdziesięciu kroków, dał w krótkich odstępach czasu sześć strzałów rewolwerowych w sam środek kolumny, potem wpadł w zrobioną kulami szczerbę i jął rąbać zamaszyście pałaszem po bambusowych kapeluszach. Zakłębiło się, zawrzało, i zuchwalec zniknął z przed oczu towarzyszów, zanim ci zdołali ochłonąć z pierwszego wrażenia.

Bardzki z Wilsonem nie mogli jednak naśladować kolegi, gdyż nie posiadali jego swobody ruchów, siedząc we dwóch na zmęczonym koniu; inżynier zaś nie uczyniłby z Anglikiem za nic w świecie tego, czego się dopuścił Walker względem kucharza Li. Widząc jednak zamęt wywołany kontrszarżą, zeskoczyli na ziemię i poczęstowali gęstemi strzałami stropioną kawalerję. Li ujął konia za uzdę i odprowadził go w pobliską kępę gęstych zarośli; Bardzki i Wilson, strzelając ciągle, cofali się w tym kierunku i niebawem połączyli się z towarzyszem.

— Niech teraz tu przyjdą! — rzekł Anglik, kładąc się w krzakach dla nabicia karabina. — Ja zajmę się jazdą, pan zaś, inżynierze, musisz trzymać w szachu tę hołotę, która nas ściga.

— Nie widać ich! Trzeba więc, żebyś tu został, mój Wilsonie, ja zajmę stanowisko na naszem lewem skrzydle, rozpoznam pozycję, chociaż niestety, straciłem nadzieję; nieprzyjaciel otoczy nas i weźmie, jak wilczęta w gnieździe,

— Co do mnie, wolę sobie w łeb strzelić, aniżeli pójść do niewoli — rzekł hardo Anglik.

— Zapewne, że to lepsze, bo Chińczycy, dostawszy nas w swoje ręce, obedrą żywcem ze skóry, albo wsadzą do klatki z kolcami i zamorzą głodem — odparł Bardzki, uśmiechając się smutnie. — Co do mnie jednak, nie mogę podnieść na siebie dłoni samobójczej, póki istnieje choć najmniejsza szansa wymknięcia się stąd; pamiętaj, Wilsonie, że moje biedne dzieci i moja ukochana żona mogą zginąć jeśli...

Inżynier urwał, bo z lewej strony ozwało się kilka strzałów; z karabinem w ręku rzucił się na ziemię i poczołgał na skraj zarośli, czując, jak łzy mimowoli spływały mu po twarzy.

Nie było jednak czasu na rozczulenia, bo piechota chińska zbliżała się. Bardzki szybko rozejrzał się dookoła, zarośla, w których nasza trójka znalazła schronienie, składały się z gęstych, rozłożystych krzewów, oraz kilku drzew wyniośleiszych; kępa zielona przymykała z frontu z obu flanków do obszernej, zlekka pofałdowanej równiny, nie dającej, oprócz cienkich drzew, żadnej osłony nieprzyjacielowi, ztyłu zaś dotykała jaru, rozpoczynającego się o kilkadziesiąt kroków opodal i biegnącego w kierunku rzeki ołyskującej o jakie dwa kilometry dalej, pomiędzy błotnistemi brzegami.

Stanowisko było więc bardzo niekorzystne dla broniących się w kępie. W razie ataku, musianoby się cofać jarem w kierunku rzeki i zginąć bez ratunku albo w bagnie, albo w jej falach; Bardzki postanowił przeto zmienić front; zawołał na Wilsona, żeby dał kilka strzałów do kawalerji, która liczyła około sześćdziesięciu koni, i połączył się z nim; potem obaj, kazawszy iść za sobą kucharzowi z koniem, zeszli się na dnie jaru.

— Tu daleko bezpieczniej — rzekł inżynier — kawalerja przez kępę się nie przedrze, może więc tylko najechać nas od tyłu, ale nie zechce nas atakować w parowie; piechota, choćby zajęła zarośla, nic nam nie zrobi, bo stamtąd nas nie dosięgnie ku-

lami; musi więc iść od frontu, prostopadle do jaru; położymy się tam za kamieniami, skąd widać jak na dłoni równinę, i postaramy się trzymać nieprzyjaciela w odległości pod naszemi karabinami. Li będzie zaś pilnował naszych tyłów na przeciwległym skraju parowu i ostrzeże nas, jeżeli kawalerja się zbliży.

— Tak, tak! — potwierdził Wilson — plan to dobry, o ile się ma przed sobą tchórzów i niedołęgów, ale wobec średnio odważnej garstki europejskiego wojska, nie byłby wart funta kłaków.

— Zapewne, dwudziestu żołnierzy angielskich dałoby nam radę przed upływem godziny — rzekł Bardzki. — Zresztą może i Chińczycy wezmą się na sposób.

— Ech! kpię sobie z tych dudków, odkąd widziałem, jak Walker przebił się przez cały ich szwadron.

— Czy tylko się przebił?!

— A jakże, proszę pana! Zwalił z konia rewolwerem ze czterech, postrącał ze sześciu pałaszem i umknął, aż się zakurzyło! Czy pan uwierzy, że go nawet nie ścigali. Tfu! z taką kawalerją, kazałbym im świnie pasać, albo psy łapać.

Dzielny Anglik nie miał słów na wyrażenie głębokiej pogardy, jaką żywił teraz względem chińskiego wojska.

— Niech-no tylko ściemni się, a zobaczy pan, czy nie damy nurka przed samym nosem tym durniom — rzekł na zakończenie.

— Chcesz się nagwałt pocieszać, nieboraku,

odparł mu inżynier z uśmiechem — co do mnie, widzę niestety, że Chińczycy spisują się wcale nieźle; stracili już kilku zabitych i kilkunastu rannych, a pomimo to spełniają swój obowiązek; jeżeli zważymy brak wyćwiczenia wojskowego z ich strony oraz kiepskie uzbrojenie, to bezstronnie musimy przyznać, że nie są oni bynajmniej tchórzami.

— Niech pan tam mówi, co się panu podoba na pochwałę żołnierzy z warkoczami, a pozostanie faktem, że Walker zwyciężył cały szwadron chińskiej konnicy.

— Zuchwałe czyny zawsze się udają, nawet w bardzo trudnych warunkach...

Rozmowę tę przerwała salwa, dana przez piechotę chińską w kierunku zarośli.

— Oni sądzą, że znajdujemy się na dawnem stanowisku — rzekł Wilson — niech sobie pukają do krzaków, my tymczasem obmyślmy sposoby wycofania się stąd... Jeżeli zuchwałe sposoby udają się, jak pan powiada, to ja znam jeden, bardzo prosty.

— Mówże prędzej — zawołał Bardzki z gestem niecierpliwości.

— Wejdźmy w układy z Chińczykami.

— Zwarjowałeś chyba, mój Wilsonie!

— Wcale nie, inżynierze! Wyprawimy Li jako parlamentarza i dowiemy się, jaki nas los czeka, gdybyśmy się dostali do niewoli; co zaś najważniejsza, niech się zobaczy z oficerami — dodał Anglik,

mrugając filuternie okiem — ja sądzę, że tak za sto taelów dzielni wodzowie zgodziliby się na wszystko...

— Na cóż, u Boga!

— Ech, niby to pan nie wie, że tutaj za pieniądze dużo się robi...

— Co za potworny pomysł! — zawołał Bardzki — i ty myślisz, że uda nam się przekupić ścigające nas wojsko? Iście dziecinny projekt!

— Nie taki głupi, jak się panu zdaje! — odparł Wilson, trochę urażony gdybym umiał język tych ryżowych pulpetów, to sambym z nimi pogadał. Zresztą, proszę pana, co to szkodzi, że nieprzyjaciel zwróci uwagę na parlamentarza... postaramy się z tego skorzystać... Słuchaj-no, Li — dodał, zwracając się do Chińczyka, obiecasz oficerom sto taelów, żeby o zmroku nie rozstawili straży od strony rzeki: jeżeli zaś zatrzymają cię, to bądź pewny, że cię wykupimy od kary, albo znajdziemy ci zastępcę.

Bardzki, po chwilowym namyśle, odrzucił projekt Wilsona, raz dlatego, że nie wierzył w możliwość wykonania go; powtóre, że obawiał się narazić na niebezpieczeństwo swego służącego.

— Ha, kiedy tak, to czekajmy nocy — rzekł kwaśno Anglik.

Słońce wskazywało około 2-ej po południu; niebo, rankiem lazurowe i pogodne, pokrywało się chmurami ciemno-sinemi, niemiła parnota unosiła się w powietrzu nieruchomem. Nie upłynęła godzina, gdy zahuczał przeciągły grom, i na spaloną ziemię

spadły ciężkie krople. Wicher zerwał się raptem i podniósł tumany kurzu.

Nasi podróżni z wdzięcznością spoglądali na niebo zagniewane, w sercach ich zbudziła się jakaś nieokreślona nadzieja, że burza niesie im sposobność do wyjścia z rozpaczliwego położenia.

Deszcz niebawem zamienił się w ulewę; prawdziwe potoki słodkiej wody spływały z nieba, pohaftowanego złotemi nićmi błyskawic.

— To dobrze, och, jak dobrze! — mówił Wilson, zacierając ręce — deszcz ochłodzi może wojowniczość warkoczowych żołnierzy. — A gdyby tak skorzystać z firanki deszczowej i drapnąć, hę?!

— Widzę, że cię świerzbi skóra, skoro nie chcesz nawet nocy czekać.

— Ba, kto wie, co się stanie, zanim noc nadejdzie! Proszę pana, trzeba łapać chwilkę sposobną, to moja zasada; goddam, ale robi się zupełnie ciemno!

W istocie, nieprzeniknione chmury zakrywały niebo; wicher rozbijał w drobny pył deszczowe krople, tworząc mgłę, pozą którą znikły okoliczne przedmioty.

— Spróbuję, czy Chińczycy nas zobaczą! — rzekł Wilson, wychodząc z parowu i prostując swą barczystą postać.

Anglik stał przez kilka minut, oczekując z zimną krwią, rychło-li posypią się nań kule, ale mijała minuta za minutą, i karabiny chińskie nie odzywały się.

Zniecierpliwiony Wilson dał wreszcie sam trzy wystrzały w kierunku nieprzyjaciela, ale ku wielkiemu jego zdziwieniu i teraz nie huknął ani jeden wystrzał od strony chińskiej.

— Cóż u licha? Czy te żółte małpy powłaziły do dziur?! — zawołał wreszcie rozgniewany tem widocznem lekceważeniem. — Jeżeli tak, to nam chyba nie zechcą przeszkadzać. Hola, Li! Prowadź konia w stronę rzeki! My obaj za tobą! Kawalerji nie widać?

— Nie widać, panie!

— No, to w imię Boże, naprzód!

— Ależ spostrzegą nas! — protestował inżynier.

— Trzeba zaryzykować, panie inżynierze I tak niewiele mamy do stracenia — odparł Wilson, machając ręką.

— To prawda! — mruknął Bardzki w drogę więc!

Nasza trójka posuwała się wolno dnem parowu, który zamieniał się w łożysko potoku, rosnącego w oczach; uszli z pięćset metrów, poczem Wilson wychylił ostrożnie głowę z jaru i rozejrzał się dookoła.

— Zdaje mi się, że tam pod laskiem stoi konnica! — rzekł — ale piechoty ani śladu.

— Prędzej, prędzej! — przerwał inżynier — deszcz zmniejsza się.

Zdwojono kroku, bo od wschodu niebo zaczynało się wyjaśniać; jeszcze dziesięć minut, i uciekający dotarli do wylotu jaru i znaleźli się na zupełnie otwartem miejscu, o parę tysięcy kroków od rzeki.

Wilson rzucił wzrokiem na błotnistą równinę i stanął jak wryty.

— A bodajże ich tysiąc piorunów spaliło! — zaklął.

Inżynier przyskoczył doń i spostrzegł z przerażeniem dwudziestu żołnierzy chińskich tuż przed sobą.

Chińczycy z początku przypatrywali się nadchodzącym, niepewni znać, z kim mają do czynienia; ale głośno wymówione po angielsku przekleństwo rozstrzygnęło wątpliwości; kilkanaście luf skierowało się ku zamorskim djabłom, szczęknęły kurki, ale o dziwo! — żaden strzał nie padł; tylko Wilson, który nigdy nie tracił przytomności umysłu, podniósł szybko karabin; już, już chciał pociągnąć za cyngiel, gdy inżynier schwycił go za rękę.

— Ani się waż strzelać! — zawołał stanowczo — z kolbą naprzód, marsz!

I Bardzki, ująwszy karabin za koniec lufy, rzucił się, jak lawina, na Chińczyków, wywijając młynka. Jeden z żołnierzy chciał go pchnąć piką, ale ta, uderzona kolbą, wyleciała mu z dłoni; zanim zdołał ją podnieść, otrzymał cios w kark, tak, że padł na twarz... Wilson nasadził w mgnieniu oka na swojego Mauzera krótki bagnecik w formie sztyletu i z tą bronią zaatakował nieprzyjaciela.

Pozostali Chińczycy, ujrzawszy, że kilku z pomiędzy ich towarzyszy, rażonych w piersi, broczy krwią, śpiesznie się cofnęli, otwierając wolną drogę energicznemu Anglikowi; podnieśli atoli tak piekielny

wrzask, że go nie zdołał zagłuszyć nawet grzmot, oddalający się coraz bardziej.

— Naprzód! naprzód! — zawołał Wilson.

Bardzki, opędzając się kolbą żołnierzom, trzymał się jak najbliżej Anglika; Li, siedząc na koniu, wyrwał się i galopem pojechał przed siebie.

— Tchórz przebrzydły! mruczał inżynier, usiłując daremnie powstrzymać swego służącego — prędzej, Wilsonie — dodał — musimy go dogonić!

Chińczycy nie przeszkadzali już przebijającym się w odwrocie, stali w przyzwoitej odległości, machając dzidami i trójzębami; od czasu do czasu któryś z nich zmierzył się z fuzji; podróżni słyszeli wyraźnie szczęk spadających kurków, ale nie zahuczał ani jeden wystrzał.

— Na deszczu skałkówki, jak się pokazuje, warte tyle, co zwyczajne kije! — szydził Wilson. — Bogu dzięki za burzę, nigdy nie zjawiła się bardziej w porę.

Rzekłszy to, Anglik przystanął dla nabrania tchu, i rzucił okiem za siebie.

— Te nicponie gonią nas — rzekł z gestem niecierpliwości — nie możemy pozwolić, ażeby nam deptali po piętach, bo inaczej nie wymkniemy się.

— Zaraz ich osadzimy na miejscu — odparł Bardzki.

I obaj, odwróciwszy się, dali równocześnie ognia do Chińczyków.

— Poznajcie wyższość metalowych patronów

i magazynówek nad krzemień z panewką! — rzekł Wilson.

Strzały wywarły pożądane następstwa; wszyscy Chińczycy padli plackiem na ziemię, szukając obrony po za krzakami i nierównościami gruntu.

— Nareszcie! — odetchnął z całej piersi Bardzki.

W dziesięć minut potem obaj połączyli się z Li, który zatrzymał się na skraju doliny rzecznej i drżący ze wzruszenia, oczekiwał, co nastąpi.

— Uf! zmęczyłem się! — narzekał Wilson — ale niema rady, zmykajmy dalej!

— Kawalerja! — zawołał nagle inżynier, chwytając towarzysza za ramię.

Kilkunastu jeźdźców, zwabionych hukiem wystrzałów, pędziło dobrym kłusem.

— Zginęliśmy bez ratunku, panie mój! — jęczał Li, blady jak chusta.

Anglik zagryzł wargi; zdawało się, że młody Chińczyk powiedział prawdę,

— Dobrze, zginiemy — szepnął, ale wprzód...

Uciął, otworzył rozpaczliwym ruchem zamek karabinu, wsunął nową paczkę patronów i w oka mgnieniu wypalił... Strzał tym razem był trafny... Koń, uwolniony przez kulę od jeźdźca, biegł prosto na naszych podróżnych; kawalerzyści zatrzymali się wahająco.

— Wilsonie, na miłość Boską, dość! — zawołał Bardzki, widząc, że jego towarzysz wyrzucił wystrzeloną gilzę i znowu celuje.

Ale Anglik, podniecony gorączką walki, wypalił

powtórnie, Chińczycy zawrócili i odjechali galopem; Wilson skoczył, jak tygrys na zdobycz, i ze zdumiewającą zręcznością pochwycił za cugle konia, który znajdował się o kilkanaście kroków zaledwie od niego; potem wdrapał się na siodło i popędził za kawalerzystami.

Inżynier wziął się za głowę; myślał bowiem, że zaciekły Anglik ściga dwadzieścia razy liczniejszego nieprzyjaciela; ale nie, Wilson zadowolił się pojmaniem drugiego wierzchowca, należącego do zabitego ostatnio kawalerzysty.

— Oto mamy konie! — wołał triumfująco — siadajże pan.

Inżynier nie dał sobie dwa razy powtórzyć; jednym skokiem dostał się na siodło, i wszyscy trzej ruszyli z kopyta wzdłuż doliny.

ROZDZIAŁ XI.

Przed Wielkim murem. — Nowe trudności.

W dwa dni po wyżej opisanych wypadkach widzimy naszych podróżnych znowu razem. Dzielny Walker roztropnie oczekiwał na swych towarzyszów na gościńcu, prowadzącym do bramy w Wielkim murze, i nazajutrz po owym ciężkim dniu połączył się z nimi. Otrzymał on podczas swej warjackiej szarży pchnięcie lancą w piersi, szczęściem lekkie, i nie wiele sobie robił z tej rany, chociaż utracił sporo krwi i był blady, a nawet miał trochę gorączki; staranny opatrunek, dokonany ręką inżyniera, odwrócił niebezpieczeństwo.

Nauczeni przykrem doświadczeniem, podróżni unikali zetknięcia z żołnierzami i z przedstawicielami jakichkolwiek władz. Jeżeli tylko stan pogody pozwalał na to, spędzali noce pod gołem niebem, żywili się byle czem. Czekało ich najtrudniejsze zadanie; dotychczas jechali przez Mandżurję, która w południowych okolicach bardzo mało różni się od Chin właściwych, oddzielonych od niej Wielkim murem; ale trzeba było dostać się na drugą stronę owego muru, w którym pozostawiono od północy

parę zaledwie bram. Bardzki wiedział, że każdy przekraczający granicę musi okazać paszport strażom, posiadał on wprawdzie pozwolenie na pobyt w Państwie Środka, wydane w Pekinie, ale sądził, że daleko lepiej uczyni, nie korzystując z niego. Władze chińskie, jak się dowiedziano z porozlepianych odezw, wyznaczyły bowiem 30 taelów nagrody za głowę każdego Europejczyka. Przyznawać się do swego pochodzenia znaczyłoby więc to samo, co dobrowolnie oddawać głowę pod miecz. Inżynier troskał się i rozmyślał nad sposobami przedostania się przez mur. Walker uspokajał go.

— Przecież od żołnierzy nikt nie zażąda paszportu — powtarzał.

— A któż ci zaręczy, że nie poznają, kim właściwie jesteśmy? — pytał inżynier. — Dość jednego słowa, jednego ruchu, a zdradzimy się...

— Prawdać to... ale miejmy nadzieję w Opatrzności... kiedyśmy wyszli cało z ostatniej awantury, to już możemy kpić ze wszystkiego. Ot, przejedziemy przez bramę w najnaturalniejszy sposób, a gdy nas spróbują zatrzymać, stłuczemy ich na kwaśne jabłko...

Gościniec, którym teraz jechano, należał znać do ważnych arteryj komunikacyjnych, bo dążyły nim całe karawany. Setki wielbłądów objuczonych herbatą, jedwabiami, odzieżą i innemi produktami Chin właściwych ciągnęły na północ, skąd znów szły na południe skóry, papier, soda, węgiel, szerść wielbłądzia, wapno i inne materjały surowe. Spotykano też

muły i wozy, ciężkie, bez resorów, niezgrabne skrzynie, otwarte z przodu i zaprzężone w woły. Miejscami droga stawała się tak wyboistą, pełną głębokich na parę łokci dołów, że nawet te pierwotne wehikuły nie mogły po niej jechać. Chińczycy zdejmowali więc koła, a transportowali wozy na drągach, dźwiganych przez muły... Kiedy gościniec poprawiał się, zakładano znów koła i tak ciągle.

Mur chiński jest dziełem tak olbrzymiem i imponującem, że wobec niego sławne piramidy egipskie wyglądają na zabawki dziecinne. Podobnie, jak wszystkie mury miejskie w Chinach, składa się on z wału ziemnego, wyłożonego potężnemi złomami granitowemi tak szczelnie dopasowanemi i połączonemi, że dotąd, w kilka wieków po ukończeniu budowy, gdzie niegdzie zaledwie potworzyły się luki. Wysokość muru wynosi 11 metrów, szerokość 18 metrów; u góry jest wybrukowany kamieniami i paloną cegłą oraz posiada dwa przedpiersienia, pomiędzy któremi znajduje się wolna przestrzeń od 5—7 metrów szerokości. W przedpiersieniach porobiono strzelnice dla broni ręcznej; co trzy metry zaś barbety dla dział, których tuziny poniewierają się na wale, bez lawet. Obecnie Chińczycy nie strzegą muru na całej długości; wznoszące się w odległości 150 metrów jedna od drugiej baszty, opuszczone, służą za schronisko ptakom i nietoperzom.

Widziany z wysokości mur wygląda jak olbrzymi wąż, wspinający się na zawrotne szczyty górskie, to znów opuszczający się na dno głębokich

dolin; przeszkody nie istnieją dla niego: przebywa je zuchwale, bez wahania. Podziw nas ogarnia, skoro sobie uprzytomnimy, że musiano niezliczoną ilość ciężkich złomów granitowych sprowadzać z dalekich okolic, przewozić je przez dzikie i pustynne okolice, a następnie wnosić na strome, często niedostępne wyżyny. Ileż to głazów pochłonął mur, ciągnący się na długości 3.300 km. To arcydzieło budownicze zaczyna się w Szanha-Kwanie, nad morzem Żółtem, daleko wysuniętym w morze bastjonem. Ażeby położyć fundamenty pod tamę, ładowano kamieniami i żelazem wielkie okręty i zatapiano je w wytkniętych punktach!

W jednych miejscach mur jest wyższy i mocniejszy, w innych znów słabszy; istnieją nawet przestrzenie, gdzie widzimy tylko zwyczajny wał ziemny. Najlepiej przedstawia się on w okolicach sąsiadujących z gościńcami albo z naturalnemi przesmykami górskiemi, którędy wlewały się do Państwa Niebieskiego powodzie mongolskie.

Należy wiedzieć, że w istocie są w Chinach dwa mury: wewnętrzny, zbudowany w VII wieku, a odnowiony przed 400 laty za dynastji Mingów, i zewnętrzny. Przy pierwszym pracowało równocześnie miljon ludzi; odgałęzia się on od właściwego muru na północny wschód od Pekinu, a łączy się z nim znowu w zachodnich okolicach prowincji Szansi.

Właściwy wielki mur, zwany przez Chińczyków Wom-li-czang-czeng, t. zw. „Długa na 10 tysięcy li

ściana“, leży na drodze z Nankinu do Syberji o dwa dni drogi od pierwszego, nieopodal od Kałganu, i ciągnie się od morza Żółtego aż do pustyni Gobi na zachodnich ukrainach państwa. Budowę jego rozpoczął cesarz Czi-Hwang-ti na 214 lat przed Chrystusem; miał on tworzyć ochronę przeciwko ciągłym najściom Mongołów, i od owych czasów wielokrotnie go poprawiano i umocniano. Całkowita jego długość sięga 3,300 km., co się równa mniej więcej odległości pomiędzy Uralem a Hiszpanją.

Jezuita Mendoza powiada, że cesarz do tej wiekopomnej pracy zapędził jedną trzecią ludności swego państwa; większość robotników pomarła wskutek nadmiernych wysiłków przy niedostatku wody i żywności. Dzięki tak licznym rzeszom, mur kolosalny stanął gotów w przeciągu pięciu lat; za materjał użyto najtwardszych gatunków skały; złomy spojono tak starannie, że nigdzie nie znalazła się najdrobniejsza rysa czy szpara; cesarz bowiem zapowiedział edyktem, że jeśli gdziekolwiek da się w mur wbić gwóźdź, budowniczy odnośnej sekcji poniesie za niedokładną robotę karę śmierci.

Na rozkaz despoty miljony ludzi musiało opuścić ojczyste strony, rodziny i ciągnąć na północ obszernego państwa, ażeby tam, na obczyźnie, pracować w pocie czoła i w niedostatku. Setki tysięcy ludu utraciło życie, spełniając rozkaz cesarski, bez żadnego wynagrodzenia. Dotąd słowo bohdychana jest wszechpotężnem; do dziś dnia, pomimo ciemnoty, nędzy, przekupstwa urzędników, wszystkie oczy

zwracają się na Pekin, gdzie w zamknięciu pędzi życie ojciec, patrjarcha wszystkich Chińczyków, i niewidzialny, niedostępny, rządzi Państwem Środka. Ten właśnie fakt, że cesarz chiński jest uważany za ojca, za półboga, nadaje niesłychaną siłę odporną jego podwładnym. Europa zwyciężała Chiny, ale tylko wyższością broni i taktyki wojennej, o podbiciu narazie niepodobna marzyć nawet, bo w łonie tego narodu, drzemiącego w przedwiekowych formach bytu, spoczywa olbrzymi zapas energji.

Mur, jakim odgraniczyły się Chiny od reszty świata, musi jednak prędzej czy później upaść i pogrzebać pod gruzami stare formy życia chińskiego; ludzkość, dążąca żywiołowo naprzód, bije o brzegi morza Żółtego falami postępu technicznego i dla własnej korzyści naturalnie pragnęłaby niemi zalać Państwo Niebieskie.

Chińczyk przywiązany do tradycji, szczęśliwy w wytworzonych przez liczne pokolenia warunkach, broni się rozpaczliwie inwazji kupców, ajentów, przemysłowców, jak gdyby przeczuwał, że niosą mu one zarodki przewrotów, których jego natura nie pożąda i obawia się.

Ale Europie za ciasno u siebie, musi ona, pod naciskiem smoka nadprodukcji towarów, szukać dla nich nowych rynków zbytu, i oto prawdziwa przyczyna, skłaniająca Niemców, Anglików i Japończyków „do cywilizowania“ z łokciem w jednem, a z karabinem w drugiem ręku Państwa Niebieskiego;

obłuda fabrykantów używa za płaszczyk dla pospolitych celów górnolotnych haseł.

Bardzki rozumiał doskonale, że słuszność stoi po stronie Chińczyków, i w duchu czynił sobie nieraz wyrzuty, że przyjechał tu i przykłada rękę do tak wstrętnego dzieła. I jemu z początku zdawało się, że spełnia misję cywilizacyjną, budując kolej; teraz jednak dochodził do przekonania, że lepiej byłoby pracować w kraju, nawet za liche wynagrodzenie, aniżeli narzucać przemocą niby cywilizację niepotrzebującym jej Chińczykom.

Nasi podróżni zbliżali się do Wielkiego muru w miejscu, odległem o 30 km. zaledwie od Szanhai-kwan; inżynier wiedział, że znajduje się w sąsiedztwie nowo zbudowanej kolei żelaznej, biegnącej wzdłuż brzegu morskiego z Kin-czu do Taku. Od mostu na rzece Lian-ho, skąd wyruszono, dzieliła go przestrzeń około 300 km., do Pekinu zaś dwieście zgórą. Zboczono o kilkanaście kilometrów, aby się przekonać, czyby nie można przebyć pozostałej drogi koleją; kwestja ta miała taką wagę dla Bardzkiego, że chętnie naraziłby się nawet na nowe niebezpieczeństwa, ażeby tylko zbadać dokładnie sprawę.

Teraz nasi wędrowcy, dzięki zdobytym koniom, wcale nie różnili się od kawalerzystów chińskich, liczyli więc na to, że ich nie poznają, i jechali, nie wiele sobie robiąc z napotykanych karawan. Li zapewniał, że obawiać się należy tylko mandarynów, wojska i powstańców, którzy podobno włóczyli się

bandami poza murem, a nawet robili wycieczki w stronę Mugdenu. Lada dzień podróżni mogli znowu znaleźć się w równie opłakanem położeniu, jak przed paru dniami, a Wilson słusznie utrzymywał, że tylko do trzech razy sztuka się udaje, a za czwartym skweres.

Słońce rzucało na ziemię rozpalone groty, konie ledwie szły, oblane potem, a jeźdźcy cierpieli pragnienie, gdyż od kilku godzin nie napotkano zdatnej do picia wody. Bardzki, ujrzawszy w niewielkiej odległości wioskę, odważył się przystanąć w niej na krótko, napaść wierzchowce i przy sposobności wysłać służącego, aby zasięgnął języka.

Zatrzymano się w pierwszej chałupie z brzegu, należącej do ubogiego chłopa; na podwórku, ogrodzonem bambusowemi tykami, była studnia z dobrą wodą, którą napełniono na zapas manierki. Zaledwie jednak nasi podróżni załatwili się z tą czynnością, gdy spostrzegli kilkudziesięciu najgorszej klasy oberwańców, ciągnących drogą ku wsi.

— Bokserzy! — zawołał Walker, zakładając szybko wędzidło swemu koniowi.

— Nie, to żebracy — uspokoił towarzyszy Li — nie uczynią oni nam nic złego, jeśli im ofiarujemy garść sapeków, idą zapewne wziąć okup ze wsi.

Bardzki śledził z odrazą wstrętne postacie pokrytych łachmanami, okaleczałych żebraków; wielu z pomiędzy nich miało na piersiach karty z napisami. Rząd chiński wogóle mało się turbuje o losy zubożałych obywateli; co najwyżej wydaje dymisjo-

nowanym żołnierzom i kalekom pozwolenie na sprzedawanie drobnych ilości soli, który to handel stanowi monopol państwowy; pozwolenie takie żebracy noszą zawsze ze sobą i uważają je za znaczny przywilej, chroniący ich od śmierci głodowej. Zapewne jednak nędzarze ci nie zdołaliby utrzymać się przy życiu, gdyby nie tworzyli zawodowych związków. Związki żebracze posiadają swoją organizację i naczelnika, zwanego Ti-kwat — uznanego przez władze. Głową wszystkich związków całego państwa jest król żebraków, rezydujący w Pekinie; cieszy się on nieograniczoną władzą, tytuł taki słusznie mu się więc należy.

Związki dzielą się niby armja na pułki, kompanje i plutony, chociaż, rzecz prosta, oddziały te nazywają się inaczej i nie mają nic wspólnego z wojskowością; każdy z nich znajduje się pod przewodnictwem mianowanego przez „króla“ naczelnika, który wyznacza codzień jakąś przestrzeń do ściągania jałmużny z mieszkańców. Banda wędruje od wsi do wsi, dopominając się o datki; otrzymawszy coś, przylepia na drzwiach czerwony papier ze świadectwem, chroniącem gospodarza od najścia innego żebraka. Naczelnik dzieli wieczorem składaną na jego ręce gotówkę pomiędzy wszystkich uczestników bandy.

Każde stowarzyszenie żebracze posiada w miastach przytułki, gdzie uczestnicy za opłatą jednego sapeka znajdują nocleg, dla zmarłych zakupuje się trumny, urządza pogrzeby przy współudziale kole-

gów, którzy też odprawiają modły w pewne dni na grobie nieboszczyka.

Ażeby jednak zapisać się na członka związku, trzeba wnieść dość wysoką składkę, w kwocie trzech taelów; nie każdy żebrak potrafi zaoszczędzić tak znaczną kwotę; większość żyje w nędzy i zimą mrze z głodu albo z zimna na polu. Chińczyk, ujrzawszy ciało nędzarza, mija je z lodowatą obojętnością, serce jego bowiem jest prawie niedostępne dla uczucia miłosierdzia.

Naczelnik bandy żebraczej, noszący oznaki mosiężne swej godności, zatrzymał towarzyszy w pewnej odległości, sam zaś poszedł do głowy wioski, układać się z nim o wysokość kontrybucji. Znać nie doszło do porozumienia na drodze polubownej, gdyż po upływie kilkunastu minut naczelnik powrócił zły; na jego znak żebracy rozproszyli się po domach i natarczywie jęli domagać się jałmużny. Chodzili po kilku, narzekając, obnażając członki pokryte okropnemi ranami, zaklinając, a nawet uciekając się do pogróżek, byle tylko wydobyć jakiś datek.

Do chałupy, w której zatrzymali się nasi podróżni, wsunął się tęgi Chińczyk bez ręki i zażądał od gospodarza stu sapeków. Chłop nie zwracał jednak uwagi na żebraka i spokojnie naprawiał koszyk. Kaleka ponowił swoją prośbę z większą natarczywością, a kiedy i to nie odniosło pożądanego skutku, zaczął się odgrażać w sposób bardzo oryginalny.

— Wypłać mi sto sapeków, bo inaczej zabiję

się na progu twojego domu — wołał żebrak, wyjmując nóż — wiesz przecie, że ten, kto się staje powodem śmierci człowieka, ponosi ciężką karę; zetną ci więc głowę jutro...

Słowa te uczyniły pewne wrażenie na wieśniaku; podniósł się bowiem z miejsca i szeptał po cichu z żoną.

— Jestem ubogi i mogę ci ofiarować tylko dziesięć sapeków — odparł.

— Nie odejdę, póki nie dasz mi stu — mówił kaleka.

— Nie dam!

— No, to patrz!

I żebrak wydobytym nożem skaleczył się w obnażone piersi, tak, aż krew się pokazała.

— Oto zabijam się! — jęczał — staniesz przed mandarynem, i skażą cię na pięćset bambusów, albo włożą ci na rok kangę [1]).

Na ten widok chłop bez wahania wypłacił żądaną kwotę; wiedział on dobrze, iż żebracy nie żartują. W razie stanowczej odmowy mszczą się bardzo dotkliwie. Kładą naprzykład na progu domostwa jednego ze swych zmarłych kolegów i narażają właściciela na straszne skutki prawa chińskiego, które czyni go odpowiedzialnym za śmierć człowieka, znalezionego na jego gruncie. Gdyby nawet ktoś popełnił samobójstwo wobec całego tłumu, albo zmarł w biały dzień skutkiem jakiejś choroby, nic to nie

[1]) Ciężka deska z otworem na szyję.

znaczy, nieszczęsny posiadacz gruntu, na którym zaszedł wypadek, musi ponieść surową karę, choćby wezwał stu świadków, zeznających na jego korzyść. Mandaryn wydaje potępiający wyrok na każdego, kto stał się moralnym, pośrednim sprawcą śmierci czyjejś; może on wydostać się z przykrego położenia nieinaczej, jak płacąc wysokie wynagrodzenie krewnym nieboszczyka i biorąc na siebie koszta pogrzebu.

Mandaryni pilnują litery prawa tem skwapliwiej, bo w oskarżonym widzą barana, przyprowadzonego do ostrzyżenia; rujnują go też do szczętu łapówkami, a jeśli odmawia, skazują na ścięcie, na ciężką chłostę, albo na inną jaką karę, okrutną i wyrafinowaną. Kiedy ktoś umrze we własnym domu, odpowiedzialność spada na krewnych; władze zresztą nie mieszają się z własnej inicjatywy w takie sprawy, nawet w razie morderstwa, o ile nie nastąpi skarga jednego z członków familji. Łatwo sobie wyobrazić skutki takiego stanu rzeczy, jeśli się zważy, iż prawo nie uwzględnia wcale świadków postronnych. Ktoś przez zemstę jest obwiniony, że przyczynił się do śmierci rodzonego brata, i oddaje głowę pod miecz katowski, choćby jego brat umarł ze starości. Świadkowie na nic się tu nie przydadzą!

Odpowiedzialność gra wielką rolę w Chinach; mandaryn odpowiada osobiście za przewinienia podwładnych urzędników, za złą uprawę roli przez mieszkańców powierzonego mu okręgu i t. d. W razie wykrycia zamachu na cesarza, albo na członka

rodziny cesarskiej, kara spada nietylko na rzeczywistego winowajcę, ale na wszystkich jego krewnych, na rodziców i dziadków, ba! nawet na sąsiadów. Odpowiedzialność za przełożonych, za podwładnych, krewnych, niby zmora straszna przygniata każdego obywatela Państwa Niebieskiego; nikt nie wie, kładąc się spać wieczorem, czy nazajutrz rano nie zawloką go przed sąd, jako mordercę, albo złoczyńcę, i nie ukarzą śmiercią za niepopełniony występek, albo nie wyzują z mienia. Nic więc dziwnego, że wobec takich poglądów moralność w Chinach stoi bardzo nisko, cnota nie wystarcza do tego, ażeby uchodzić za cnotliwego, pocóż tedy być uczciwym i dobrym? Prawo jest niesprawiedliwe, pocóż je wypełniać? My, Europejczycy, nie potrafilibyśmy żyć w takiej atmosferze, Chińczyk zaś pogodził się z nią, jak ze smutną koniecznością, i ani mu w głowie, żeby mogło się dziać inaczej.

Podczas, gdy żebracza banda grasowała w wiosce, Li zawiązał rozmowę z gospodarzem i dowiedział się od niego, że przed paru dniami przechodził tędy duży oddział powstańców, wracający z wyprawy na misje anglikańskie, że o kilkanaście kilometrów na południe bokserzy wymordowali nietylko misjonarzy, ale i nawróconych na wiarę chrześcijańską krajowców. W kraju rozpowszechniano najpotworniejsze wieści o djabłach zamorskich, bo Chińczyk nie ma innego wyrazu na oznaczenie cudzoziemca; chłop powtarzał je służącemu inżyniera. Według pojęcia ciemnego ludu, Europejczycy przyjechali na wielkich

dżonkach, ażeby odebrać Chińczykom ich ojczystą ziemię i uczynić z nich niewolników, rozgłaszano, że się żywią ciałami zabijanych okrutnie niewiast i dzieci, że rabują i palą wszystko, co się znajdzie na ich drodze, że zamieniają przy pomocy czarów ludzi w bydło i t. d. Bardzki i Walker, rozumiejąc trochę po chińsku, z trudnością powstrzymywali się od śmiechu, słuchając tych banialuk. Najważniejszą dla naszych podróżnych była wiadomość o bliskiem sąsiedztwie bokserów. Chłop objaśnił ich także, iż powstańcy zniszczyli kolej, rozpędzili robotników, spalili wagony, wobec tego zaniechano wycieczki w kierunku drogi żelaznej i postanowiono dążyć najkrótszą drogą do Pekinu, gdzie, według słów chłopa, cesarz kazał wymordować wszystkich cudzoziemców.

— No, mamy informacje! — rzekł Wilson, kiedy opuszczano wioskę — wnioskuję z nich, że Pekin zamknięty dla cudzoziemców, a więc rodzina pańska znajduje się gdzie indziej, prawdopodobnie w Tientsinie.

Inżynier nie odpowiedział ani słowa, na jego czole ukazała się tylko głęboka zmarszczka.

— Zdążę, czy nie zdążę?! — myślał sobie z rozpaczą nieszczęśliwy ojciec.

ROZDZIAŁ XII.

Pierwsze chwile na ziemi chińskiej. Wojna z całą Europą.

Podczas gdy inżynier Bardzki wpośród nieustannych niebezpieczeństw dążył do Pekinu, jego rodzina wylądowała szczęśliwie w Tientsinie (wrota do raju). W stosunku do Pekinu Tientsin jest tem, czem Rotterdam albo Amsterdam do Hagi; położenie tego miasta w niczem nie nęci wzroku przybysza; wszędy na setki kilometrów na północ i na południe daremnie szukałbyś skał, albo chociaż kamienia; wszędy dostrzegasz napływowe, równe grunta, rodzaj mułku, wytworzonego przez wylewy rzeki Peiho, która zwolna wypełnia zatokę Peczelijską. Dziś już zatoka odznacza się obfitością mielizn, utrudniających żeglugę, a u ujścia samej rzeki utworzyła się naturalna barjera, tamująca na nią wstęp dużym okrętom, zwłaszcza podczas odpływu. Nasi podróżni z przyjemnością przypatrywali się flocie wojennej europejskiej, stojącej na kotwicy naprzeciw długiego szeregu fortów chińskich Taku, zbudowanych niedawno z polecenia wicekróla Li-Hung-Czanga. Okręty te, jak się dowiedziano, przybyły celem obrony cu-

dzoziemców od prześladowań Chińczyków. Żegluga rzeką nużyła swą monotonnością; niskie brzegi błotniste, nagie, gdzie niegdzie nędzna wioska rybacka, otoczona ryżowemi polami, na których pracowali chłopi w słomianych kapeluszach; ponad płaszczyzną wznosiły się tylko tysiącami mogiły, w formie kopców, tworząc istne miasta umarłych. Nad brzegiem rzeki roje nagich, brudnych dzieciaków, pluskających się w fali, wyrzucanej kołami parowca, i liczne wiatraki, podnoszące wodę na tamy... Nędza wstrętna, zarówno na lądzie, jak na dżonkach, pływających po rzece; przyczyną tego smutnego stanu rzeczy są częste wylewy Peiho, podczas których mnóstwo mieszkańców okolicznych traci zwykle życie.

Pod samym Tientsinem dopiero wegetacja staje się bujniejszą, zjawiają się nawet drzewa.

Statek zatrzymał się u południowego brzegu rzeki, szerokiej w tem miejscu na sto kilkadziesiąt metrów, i nasi podróżni ujrzeli przed sobą dzielnicę europejską, zabudowaną pięknemi, jednopiętrowemi domkami, w stylu współczesnym; wszędzie skwery, ulice wysadzone drzewami. Gdyby nie tłumy Chińczyków, uwijających się z pakami, workami i rozmaitemi ciężarami, to możnaby sądzić, że to nie Chiny północne, a jakaś miejscowość w Anglji, albo w Niemczech.

Zaledwie pasażerowie opuścili okręt, gdy otoczyła ich chmara tragarzy i woźniców; jedni chcieli przemocą nieledwie porwać bagaże, drudzy proponowali osły i wielbłądy osiodłane, jeszcze inni za-

praszali do japońskich, lekkich wózków, ciągnionych przez człowieka, albo do taczek z siedzeniami: ten ostatni gatunek ekwipażu jest najwygodniejszy, ojciec Paweł radził więc z niego skorzystać.

Pan Włodzimierz zaproponował zawieźć inżynierową z dziećmi do hotelu, ale misjonarz stanowczo temu zaoponował.

— Poco robić ambaras i koszt niepotrzebnie — mówił — niedaleko stąd, o kilometr od katedry, w mieście chińskiem, znajduje się misja katolicka, gdzie was przyjmą z otwartemi rękami. Ojcowie dadzą nam nadto najwiarogodniejsze informacje co do stanu umysłów i bezpieczeństwa podróży. Jeżeli droga do Pekinu wolna, to zaraz jutro wyruszymy w podróż, bo każdy dzień zwłoki może pokrzyżować nam wszystkim plany,

Po krótkim namyśle, pani Bardzka zgodziła się szukać gościnności w misji; Liwski wolałby wprawdzie pozostać w dzielnicy europejskiej, ale nie chciał zbytecznie opierać się inżynierowej, która żywiła nieograniczone zaufanie do ojca Pawła; zresztą, jak dotąd, w Tientsinie panował względny spokój, zdarzyło się wprawdzie kilka napadów w okolicy, ale w samem mieście zaburzeń nie było.

Misja katolicka, był to schludny dom drewniany, wybudowany w stylu europejskim, otoczony dość obszernym ogrodem, uprawianym rękami nawróconych Chińczyków; obok niego stała szkoła, gdzie misjonarze uczyli dzieci, oraz skromna kapliczka.

Wszędzie panował spokój niczem niezamącony;

ojciec Leon, przełożony misji, właśnie ukończył odprawianie Mszy świętej, kiedy nasi podróżni z ojcem Pawłem na czele zajechali przed dom.

Był to mężczyzna młody jeszcze, wysoki, ujmujący, o surowem nieco, lecz prawem spojrzeniu. Ujrzawszy kolegę, oczekiwanego oddawna, uśmiechnął się, i serdecznie obaj się uściskali, jak rodzeni bracia.

— Oto inżynierowa Bardzka z Warszawy, która jedzie do męża z dziećmi — przedstawił ojciec Paweł swych towarzyszy; a oto pan Liwski — nauczyciel i przewodnik w dalekiej podróży. Państwo ci chcieli się udać prosto do Pekinu, lecz obawiam się, czy nie byłoby to zbyt ryzykownem przedsięwzięciem.

— Ani myśleć o tem, kochana pani — zawołał ojciec Leon, podnosząc w górę ręce. — Boże wszechmocny, uchowaj! Nieporządki wzmagają się z dnia na dzień. Powstańców pojawia się coraz więcej. Chrześcijanie, przybyli świeżo z Pekinu, opowiadają, że napadnięto na dwie wioski, leżące tuż pod stolicą, a to zły znak; pobito nawet wojska cesarskie pod Paotinem i zburzono kolej, budowaną pomiędzy Pekinem a Hankou. Europejczycy, zajęci przy budowie linji, schronili się wraz z żonami i dziećmi do miasteczka Chan-siat-jen; bokserzy zaczęli ich oblegać, i gdyby nie marynarze nasi, biedacy wpadliby niezawodnie w ręce rozżartej tłuszczy... Zewsząd nadchodzą alarmujące wieści. My tutaj bezpieczni, bo w Taku stoi kilkanaście okrętów wojen-

nych europejskich, i parę tysięcy marynarzy wysadzono na ląd. Mówią o wyprawie do Pekinu; trzeba przecież bronić chrześcijan, zamieszkujących okolice stołeczne, a jest ich tam sporo, bo światło wiary Chrystusowej przedostaje się do serc tuziemców obfitemi promieniami.

— A kolej do Pekinu? — zagadnęła pani Bardzka — mąż oczekuje na mnie w stolicy...

Misjonarz pokręcił głową zakłopotany.

— Niestety, moja pani, trzeba się wyrzec zamiaru dotarcia do Pekinu; w dniu 31 maja, a więc nie dalej, jak przed paroma dniami, bokserzy napadli na pociąg, idący z Paotinu do Tientsinu; jechało w nim kilkudziesięciu Europejczyków, uciekających ze stolicy, gdzie także dzieją się straszne gwałty. Czterech biedaków padło trupem w wagonach, reszta narazie zdołała uciec, lecz wkrótce tłum schwytał ich i pomordował bez litości... W Paotinie, które leży mniej więcej na połowie drogi do Pekinu, powstańcy dopuszczają się codziennie okrucieństw; muszę ci, bracie, zakomunikować smutną wiadomość, misja katolicka w tem mieście zburzona, ojciec Ludwik i młody jego pomocnik, Jan, niedawno przybyły z Bordeose, zginęli śmiercią męczeńską wraz z kilkoma nowonawróconymi. Ale pomimo to inni pełnią dalej swoje obowiązki i wytrwają na stanowiskach do ostatka; nieprawdaż bracie?

Zamiast odpowiedzi, ojciec Paweł uścisnął gorąco dłoń misjonarza.

— Więc nie możemy jechać do Pekinu? —

szeptała pani Bardzka, blednąc. — Co my zrobimy, panie Włodzimierzu?

— Byłoby najwyższą nieostrożnością podróżować w warunkach obecnie panujących; pan Bardzki domyśli się, że pozostaliśmy w Tientsinie, i tutaj się z nami połączy.

— O, Boże, Boże! — zawołała pani Wanda, załamując ręce.

— Uspokój się, pani — pocieszał ją Liwski — inżynier jest zbyt roztropny na to, ażeby się narażać... Jeżeli się przekona, że droga do Tientsinu zamknięta, będzie oczekiwał w Pekinie, dopóki zaburzenia nie ustaną; domyśli się też, gdzie nas szukać!

— Och, pan go nie znasz! on gotów popełnić największe szaleństwo, kiedy idzie o dzieci i o mnie... Zresztą w Pekinie także dzieją się straszne rzeczy... Wszak tak, ojcze Leonie?

— Rozruchy były, to prawda; ale ufaj pani Bogu, którego ręka czuwa nad mężem pani i nad wszystkimi wiernymi.

Słowa te, zamiast uspokoić panią Bardzką, jeszcze większą troską napełniły jej serce; czuła, że misjonarz taił całą prawdę przed nią.

— Ja chcę, ja muszę połączyć się z mężem! — zawołała biedna kobieta — jeżeli ma nas spotkać śmierć, to zginiemy razem.

— Ależ kolej do Pekinu zniszczona zupełnie, słupy telegraficzne poprzewracane, mosty zburzone, niema żadnej komunikacji, bo powstańcy roją się

po gościńcach — tłumaczył ojciec Leon. — Zresztą zastanowimy się spokojnie, co trzeba uczynić. Proszę do domu, miejsca dość, odpocznij pani z dzieciaczkami, posil się, ja zaś pokażę misję braciszkowi. Przy obiedzie zobaczymy się znowu.

Misjonarz zaprowadził inżynierową do obszernego, czyściutkiego pokoju z werandą na ogród, Liwskiemu wskazał mniejszą, ale równie schludną izdebkę, poczem oddalił się z ojcem Pawłem.

Na panią Wandę zasłyszane tylko co wieści sprawiły wrażenie przygnębiające: biedaczka nie zdołała dłużej panować nad sobą i zalała się serdecznemi łzami. Janek i Zosia całowali matkę po rękach, starając się wlać w nią nieco otuchy, pan Liwski robił ze swej strony wszystko, co tylko mógł, ale inżynierowa nie przestawała płakać.

— Nie idzie mi o siebie, bo przecież w najgorszym razie wrócimy do domu, ale gdy wystawię sobie położenie męża, szukającego nas w Pekinie nadaremnie, narażającego życie, rozpacz mnie ogarnia. Ach, dlaczegoż nie naznaczył nam spotkania tutaj.

— Stało się, szanowna pani. Pan Bardzki, przybywszy do stolicy, zorjentuje się szybko, odgadnie sytuację i pośpieszy do nas, skoro tylko zawierucha ucichnie; możemy nań oczekiwać spokojnie, pod opieką czcigodnych misjonarzy i wojsk europejskich.

Wkońcu inżynierowa uspokoiła się nieco, uściskała dzieci i położyła się, aby odpocząć. Janek zaś

i Zosia poszli z nauczycielem do ogrodu, gdzie rosły bambusy i inne rośliny, budzące ich ciekawość.

Znajdował się tam już ojciec Paweł w towarzystwie przełożonego misji i jakiegoś wysokiego, tęgiego Chińczyka, w dużych, okrągłych okularach na nosie.

— No, cóż, pani inżynierowa? — zagadnął po francusku ojciec Paweł. — Usnęła? To dobrze! Niechaj dzieci pobawią się tutaj, a pan chodź z nami do szkółki. Pan Liwski, Polak z Warszawy, brat Czeng-ki-li, misjonarz katolicki — dodał, przedstawiając tęgiego Chińczyka panu Włodzimierzowi.

Liwski przypatrywał się ze zdziwieniem żółtemu misjonarzowi, teraz dopiero spostrzegł krzyż na jego piersiach. Chińczyk mówił trochę po francusku.

— Brat Czeng właśnie przybywa z okolic Pekinu — odezwał się ojciec Leon — i niestety, przynosi nam fatalne wiadomości. Rząd sprzyja powstańcom, a nawet solidaryzuje się z nimi, każe wojskom oszczędzać krwi chińskiej, a względem posłów gra komedję... Na ulicach stolicy dzieją się straszne rzeczy. Bokserowie mordują każdego napotkanego Europejczyka, nie oszczędzając nawet kobiet i dzieci. Nasi schronili się do dzielnicy, gdzie stoją ambasady, i zamknęli się w gmachu poselstwa angielskiego, gdzie zbrojny tłum oblega ich natarczywie. Czeng utrzymuje, że razem z powstańcami atakują ambasadę wojska cesarskie...

Cesarzowa wdowa trzyma władzę w swych rę-

kach i pała, zarówno jak cały naród, nienawiścią dla zamorskich djabłów, tak nas bowiem tutaj nazywają.

Nie zdaję sobie sprawy z tego całego ruchu — rzekł Liwski — czego chcą powstańcy? przeciwko komu podnoszą oręż?

— Jest to ruch nie tyle skierowany przeciw rządowi, ile wrogi dla cudzoziemców — tłumaczył ojciec Leon. Sprawa przedstawia się mniej więcej tak: W początkach maja 1899 roku jeden z dowódców band rozbójniczych, zwany Czu-hun-teng, założył tajny związek, zwany „Stowarzyszeniem Wielkiego Kułaka“, który postawił sobie za cel wypędzić Europejczyków. Chińczycy niechętnie bowiem patrzą na zapędy Europejczyków, pragnących gwałtownie burzyć dawne obyczaje obywateli Państwa Środka i wprowadzających innowacje. Zwłaszcza oburza ich gburowatość cudzoziemców i koleje żelazne. Nowe stowarzyszenie rozszerzało się bardzo szybko wśród niższych, ciemnych warstw ludu, liczyło jednak zwolenników i pomiędzy mandarynami... Bokserzy, bo tak nazwali Anglicy członków bandy, wierzą święcie, że są zabezpieczeni od szabli i kuli, spełniając święte zadanie, i to przekonanie zwiększa ich szeregi. Banda Czu-hun-tenga pierwsza rozpoczęła grabieże misyj i mordy chrześcijan, napady na kościoły, a rząd patrzył na te sprawki obojętnie. Pod naciskiem Europy wysłano wojska przeciwko wichrzycielom i rozproszono ich, ale znać nie zupełnie wy-

korzeniono ten chwast, skoro odrósł teraz bujniej, aniżeli przedtem.

— Wiesz pan teraz wszystko — rzekł ojciec Paweł — lecz nie przestraszaj tej biednej kobiety; w razie rozruchów, schronicie się do dzielnicy europejskiej, gdzie wam nic nie będzie groziło; trzeba czekać; lord Seymur, na czele mieszanego korpusu, wyruszy stąd za parę dni na odsiecz poselstwom, obleganym w Pekinie. Jeżeli inżynier znajduje się w stolicy, ujrzycie go za parę tygodni, da Bóg zdrowego i całego... Powiedz to jego żonie.

Liwski wypełnił polecenie, ale pani Wanda czuła znać, że ukrywano przed nią całą prawdę, z czoła jej nie zniknęła chmura smutku i niepokoju; wrodzona siła charakteru nie pozwoliła jej atoli upaść na duchu.

— Dziej się wola Boża — rzekła — czekajmy, co nam przyniosą losy, skazujące nas na bezczynność.

Kilka dni upłynęło pani Bardzkiej w bolesnem oczekiwaniu; łudziła się ona nadzieją, że mąż lada moment zjawi się w Tientsinie; pan Włodzimierz zostawił na ten wypadek szczegółowe informacje w konsulacie, aby inżynier nie potrzebował szukać swej rodziny.

Niebawem jednak ostatni promyk nadziei zniknął; stało się wiadomem, że kolej wpadła całkowicie w ręce powstańców i uległa zniszczeniu. Atmosfera w samym Tientsinie była przesycona elektrycznością; panowała wprawdzie cisza, ale każdy przeczuwał, że poprzedza ona burzę.

Kilku chrześcijan przybyło ze stolicy wystraszonych, nawpół obłąkanych i drżącemi wargami kreślili oni ponury, iście dantejski obraz tego, co się działo tuż pod okiem cesarza i mandarynów.

Bokserzy snują się bandami po ulicach, a wojsko, zamiast ich rozpraszać, łączy się z nimi, i żaden Europejczyk nie ośmiela się pokazać na ulicach; czerń nie szczędzi bowiem nikogo, mordując w biały dzień nawet kobiety i dzieci. „Djabły zamorskie“ schroniły się do gmachów poselskich, ale te zostały pokolei zdobyte i spalone; ocalała tylko ambasada angielska, gdzie się rozpaczliwie broni parę tysięcy cudzoziemców, odpierając z najwyższym wysiłkiem ataki wojsk cesarskich. Huk armat chińskich, bombardujących improwizowaną forteczkę, rozlega się po całym Pekinie, podbudzając ludność do nowych gwałtów. Rozszalały tłum postanowił wytępić wszystkich chrześcijan; rzucił się na swych ziomków, wyznających zamorską wiarę, i krew popłynęła strumieniami. Padło kilka tysięcy niewinnych ofiar; całe rodziny pomordowano w okrutny sposób w ich własnych domach. Cudem tylko paręset prześladowanych zdołało wymknąć się poza mury stolicy i ostrzec współwyznawców.

Pan Włodzimierz czuwał nad tem, żeby pani Bardzka nie dowiedziała się o prawdziwym stanie rzeczy w stolicy; przed kilku dniami wyruszyła z Tientsinu międzynarodowa wyprawa wojskowa pod dowództwem admirała Seymura na odsiecz oblężonym, pomiędzy którymi, jak obecnie przypuszczano,

znajdował się inżynier; Liwski spodziewał się, że odsiecz nadejdzie jeszcze w porę, a wyswobodzeni Europejczycy znajdą się niebawem w Tientsinie.

Rzeczywistość rozwiała atoli wszystkie iluzje; Seymur posuwał się niezmiernie wolno, staczając uporczywe potyczki z wojskiem chińskiem i bokserami; w mieście organizowano dlań posiłki, słowem zanosiło się na prawdziwą wojnę.

Dwunastego czerwca rodzina Bardzkiego, znużona upałem, udała się wcześnie na spoczynek; Janek i Zosia zasnęli odrazu, inżynierowa jednak, trawiona niepokojem o męża, nadaremnie próbowała zmrużyć powieki, w głowie strapionej roiły się najsmutniejsze myśli. Zegar, zawieszony w sąsiednim pokoju, wydzwonił trzecią, kiedy wreszcie biedna kobieta zapadła w drzemkę, z której budził ją każdy szmer.

Zdawało się jej, że na ulicach miasta rozlegają się jakieś krzyki, że pomiędzy drzewami ogrodu błyskają tajemnicze światełka i nikną. Podniosła się z łóżka i zbliżyła się do otwartego okna, nasłuchując. Tajemnicze odgłosy umilkły wszakże, głuchą ciszę nocną przerywał tylko szum wiatru, kołyszącego gęstemi bambusowemi krzewami w ogrodzie.

Pani Wanda położyła się znowu, i tym razem głęboki sen skleił jej powieki. Jak długo spała, nie potrafiłaby określić. Otwarłszy oczy, ujrzała krwawą łunę, zaglądającą przez szyby do jej pokoju; z początku zdawało się jej, że to słońce wschodzi, ale wnet opamiętała się.

To pożar objął miasto, kłęby dymu unosiły się w powietrzu, i swąd napełniał pokój. Pani Wanda z okrzykiem trwogi poskoczyła do śpiących dzieci.

– Zosiu, Janku, wstawajcie i ubierajcie się natychmiast! — zawołała.

— Co to jest? co się dzieje? — pytał Janek, przecierając zaspane oczy.

— Pali się gdzieś blisko! — prędzej, prędzej

Sama śpiesznie poczęła narzucać na siebie suknie i w pięć minut była gotowa. Właśnie zamierzała zaalarmować cały dom, gdy wtem we drzwiach ukazał się ojciec Leon.

— Ach, pani już nie śpi, to dobrze — rzekł, uśmiechając się łagodnie.

— Gdzie pożar? — zagadnęła inżynierowa.

— W dzielnicy europejskiej — odparł misjonarz — zdaje się, że Chińczycy podłożyli ogień pod jakiś gmach, chociaż trudno rozpoznać.

– Ale nam nie grozi nic złego, nieprawdaż, ojcze?

— Dotychczas nic... W każdym razie trzeba być przygotowanym na wszystko, bo tłum...

Misjonarz uciął, gdyż w tej chwili rozległo się w sąsiedztwie kilka wystrzałów z broni ręcznej, którym zawtórowały okrzyki.

Inżynierowa chciała zasięgnąć dalszych objaśnień, ale misjonarz, przeżegnawszy ją krzyżem, szybko wybiegł z izby, pozostawiając samą.

Strwożona inżynierowa doprowadziła do jakiego takiego porządku swoją odzież i udała się na drugą

stronę domu, ażeby zobaczyć się z panem Włodzimierzem. Zastukała do jego drzwi, ale nikt jej nie odpowiedział; zawołała, nic nie pomogło; wreszcie, zniecierpliwiona, przycisnęła klamkę. W izdebce nie było pana Liwskiego.

Zawiedziona pani Wanda wybiegła do ogrodu oświetlonego jaskrawo łuną bliskiego pożaru; narazie olśniona, nic nie dostrzegła, o uszy jej odbił się atoli głuchy szmer głosów ludzkich. Zatrzymała się u parkanu zbudowanego z grubych bambusów, zaostrzonych. Nie ulegało wątpliwości, za sztachetami znajdował się tłum; rozróżniała głosy pojedyńcze wpośród gwaru. Pobiegła ku bramie, prowadzącej do ogrodu, i oczom jej przedstawił się nieoczekiwany widok... Pan Włodzimierz z karabinem w ręku stał u furtki; obok niego znajdował się ojciec Leon, Paweł i kilkunastu Chińczyków chrześcijan. Wszyscy, wyjąwszy misjonarzy, byli uzbrojeni w lance, toporki i strzelby. Obserwowali oni w milczeniu złożony z kilkuset osób tłum, który zgromadził się przed misją i wydawał od czasu do czasu okrzyki nieprzyjazne. W blaskach łuny pani Wanda wyraźnie rozróżniała brzydkie twarze z występującemi kośćmi policzkowemi, z ukośnemi oczami; wymachujące kijami grube dłonie i muskularne ciała, okryte brudnemi łachmanami.

Ujrzawszy inżynierową, młodzieniec skłonił się lekko, ale nie ruszył się z miejsca.

— Proszę, niech pani wraca do domu — rzekł grzecznie, lecz stanowczo.

— Tak, zaopiekuj się pani dziećmi i nie wychodźcie z pokoju — dodał ojciec Leon, biorąc panią Wandę za rękę.

— Napad?! O, Boże!...

— A ot, zebrało się trochę gawiedzi — uspokajał ją misjonarz — możeby rzeczywiście napadnięto na nas, gdyby nie to, że czuwamy i gotowi jesteśmy do obrony... Postoją i odejdą precz. Błagam panią, nie narażaj się niepotrzebnie... Ot, zaczynają rzucać kamieniami.

W powietrzu zafurczało kilka kamyków, ale nie trafiły nikogo; inżynierowa usłuchała prośb ojca Leona i oddaliła się wolnym krokiem. Tak, jej miejsce przy dzieciach; nacóż mogła się tutaj przydać słaba, bezbronna kobieta? Odchodząc, rzuciła tylko wymowne spojrzenie panu Włodzimierzowi, on zrozumiał je, gdyż uśmiechnął się, wskazując na karabin... Nie wątpiła ani na chwilę, że dzielny ten młodzieniec będzie walczył mężnie w jej obronie; to przekonanie wlało w nią nową otuchę.

Podczas gdy biedna pani Bardzka siedziała z dziećmi zamknięta w swym pokoju, przed bramą misji gromadził się coraz większy tłum.

Wtem tłuszcza drgnęła, z pomiędzy sąsiednich domów wybiegło kilkunastu uzbrojonych ludzi; na samym przodzie kroczył tęgi Chińczyk z wzniesioną triumfalnie dzidą, na której ostrzu, o zgrozo, obrońcy misji dostrzegli świeżo ściętą głowę Europejczyka.

Ohydny ten widok wzniecił istny szał w tłumie.

— Niech żyje Wielki Kułak! śmierć djabłom zamorskim! — wrzeszczano.

Bokserzy zatrzymali się pod bramą, i pomieszani z gawiedzią, cisnęli ku wrotom; bambusowe ogrodzenie, napierane coraz silniej, gięło się i trzeszczało; Europejczycy stali wciąż nieruchomi, ale groźni; kiedy jednak z tłumu padł wystrzał i ugodził w piersi jednego z chrześcijan, poznano, że nadeszła chwila stanowcza.

Liwski niezwłocznie odpowiedział ze swego karabinu na strzał bokserów, huknęło, i atletyczny Chińczyk, dzierżący włócznię ze zbroczoną głową ludzką, runął na ziemię, wypuszczając z rąk okropne trofeum.

Chińczycy podnieśli wrzask trwogi i, depcząc po sobie, usiłowali wydostać się czem prędzej z pod wrót; dla spotęgowania tej paniki, pan Włodzimierz dał jeszcze parę razy ognia do bokserów, cofających się wraz z gawiedzią.

— Bogu Wszechmocnemu niech będą dzięki! — zawołał ojciec Leon, wznosząc wzrok ku zaognionemu łuną niebu.

Misjonarze zajęli się opatrunkiem rannego ciężko krajowca chrześcijanina i w tym celu kazali go przenieść do lazaretu.

Liwski z innymi nie schodził jednak z posterunku, podejrzywał bowiem, że tłum może powtórzyć napad.

Oparty o pień pobliskiego drzewa, młodzieniec pogrążył się w głębokie rozmyślania.

Jak się to wszystko skończy? Czy pani Wanda odszuka męża w tym chaosie, jaki się wytworzył? Gdzie się znajduje Bardzki? Co zrobić, aby uniknąć takich i być może poważniejszych jeszcze niebezpieczeństw?

W brzasku porannym widać już było wąskie uliczki chińskiego miasta, budzącego się ze snu; handlarze otwierali swoje sklepiki, ale jakoś nieśmiało, ociągając się; przez placyk, otaczający misję, przesuwały się grupy Chińczyków i zatrzymywały się groźne. — Coś złego wisiało w powietrzu.

Liwski chciał właśnie poszukać misjonarzy, aby się z nimi podzielić swemi przypuszczeniami, gdy wtem przeraźliwy okrzyk rozległ się koło domu. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał w oknie panią Wandę z załamanemi rozpaczliwie rękami, obok niej zaś Janka i Zosię zalanych łzami.

Nie potrzebował szukać długo wyjaśnień tego popłochu: z dachu misyjnego domu wydobywało się kilka krwawych języków płomiennych, i wznosił się w górę pióropusz dymu.

Pan Włodzimierz w mgnieniu oka dopadł do sieni, a za nim jego towarzysze.

— Kto podpalił misję? — zapytał drżącym ze wzruszenia głosem.

Zamiast odpowiedzi, pani Wanda wskazała na świeżo wyłamany otwór w ogrodzeniu bambusowem. Chińczycy, korzystając z odwróconej uwagi cudzoziemców, odpierających bokserów od głównej bramy, zakradli się z drugiej strony ogrodu. Jakiś fanatyk

rzucił niezawodnie głownię na cienki dach drewniany domu i wzniecił pożar, który szybko się rozszerzał. Dym, przenikający już do dalszych pokojów, zaalarmował panią Wandę w samą porę.

Wnet ukazali się i misjonarze z wiadrami wody, inni przynieśli drabinkę, i wzięto się do gaszenia pożaru. Wprędce jednak przekonano się, że o ugaszeniu ognia nie mogło być nawet mowy; lekko zbudowany dom misyjny płonął, jak kupa wiórów... Wyniesiono więc naprędce co cenniejsze rzeczy do ogrodu i z założonemi rękami przypatrywano się klęsce.

Pożar sprowadził na nowo przed misję tłumy, jeszcze groźniejsze i liczniejsze, aniżeli niedawno! Ojcowie, strwożeni, zamknęli się w przytykającej do kaplicy szkółce, z postanowieniem bronienia się tam do ostatka.

Liwski, wławszy kilka słów pociechy do strapionego serca inżynierowej, drżącej o dzieci, czynił energiczne przygotowania do odparcia spodziewanego ataku bokserów, uzbroił, czem się dało, wszystkich dorosłych chrześcijan, którzy szukali schronienia w misji, wyznaczył im stanowiska, pozatykał do połowy wszystkie okna workami i koszami napełnionemi ziemią, kazał przynieść jak najwięcej wody, zgromadzić wszystek ryż, słowem okazał wiele przezorności. Bramę zabarykadowano belkami, a w słabych miejscach ogrodzenia poustawiano warty z rozkazem strzelania na wypadek zaczepki.

Na tych czynnościach upłynął dzień cały. Chiń-

czycy gromadzili się wprawdzie przed misją, przeklinali djabłów zamorskich, odgrażali się, ale znać brakowało im odwagi do otwartej napaści.

Zagasiwszy starannie zgliszcza spalonego domu, chrześcijanie oczekiwali z biciem serca, co nastąpi.

Kiedy się już rozwidniło zupełnie, u wrót stanął młody Chińczyk i prosił, ażeby go wpuszczono do wnętrza. Liwski odmówił narazie, ale potem pozwolił, bo go objaśniano, że idzie o wyspowiadanie konającego chrześcijanina.

Chińczyk, zabawiwszy chwilę w szkółce, gdzie się znajdowali właśnie misjonarze, powrócił niebawem w towarzystwie ojca Pawła, który pod płaszczem ukrywał wiatyk.

— Jakto, ojcze? — zawołał pan Włodzimierz. — Czy naprawdę chcesz udać się na miasto?

— Przecież słyszałeś, młodzieńcze, że umierający życzy przygotować się na śmierć. Jest to neofita, zamożny Chińczyk, starzec siedemdziesięcioletni, przed dwoma tygodniami zaledwie ochrzczony.

— Na ulicach roi się od rozbestwionego pospólstwa, ojcze, mogą cię poznać łatwo i zaczepić.

— Poznają mnie niezawodnie — odparł z łagodnym uśmiechem misjonarz.

— Przecież widziałeś, ojcze, co się działo przed chwilą, bokserzy przebiegają miasto i mordują bez litości nietylko Europejczyków, ale nawet swoich ziomków chrześcijan...

— Obowiązek stanu mego wymaga, abym poszedł, więc pójdę, choćby mi to groziło jak najwięk-

szem niebezpieczeństwem — rzekł spokojnie ojciec Paweł.

— W żaden sposób nie puszczę cię, ojcze.

— Czemże jest wiara, jeżeli nie potwierdzamy jej czynem, mój synu? Czem jest życie bez spełnionego obowiązku? Nie zatrzymuj mnie, młodzieńcze, bo bierzesz przez to na swe sumienie zbawienie duszy chrześcijańskiej.

— Skoro tak, to odprowadzę cię, ojcze!... — zawołał Włodzimierz, rzucając karabin na ramię — w razie napaści, będziesz miał skuteczną obronę.

— Nie przystoi duchownemu uciekać się do oręża, kiedy idzie z Bogiem — rzekł misjonarz, wskazując na wiatyk — zresztą, jesteś pan potrzebny tutaj, musisz bronić słabej kobiety i jej niewinnych dziatek.

Liwski w milczeniu, pełen szacunku dla nieustraszonego kapłana, otworzył bramę, ojciec Paweł zrobił nad głową młodzieńca znak krzyża, uśmiechnął się z właściwą sobie słodyczą i szybkim, pewnym krokiem podreptał za Chińczykiem. Niebawem obaj zniknęli na zakręcie ulicy.

Ponieważ gawiedź nie gromadziła się już, młodzieniec, spokojniejszy nieco, pobiegł do pani Wandy.

Inżynierowa siedziała na trzcinowej kanapce z Zosią na kolanach, i płakały obie. Janek stał na środku kaplicy i przywiązywał jakiś nóż na końcu tyczki bambusowej, wyciągniętej z ogrodzenia.

— Patrz pan, jaką mam dzidę! — zawołał chłopiec, ujrzawszy nauczyciela — niechno bokserzy

spróbują dostać się tutaj i zrobić co złego mamie, albo Zosi! Będę kłuł bez miłosierdzia! Czy pan myśli, że się boję Chińczyków? Ani trochę, i gdyby mi pan powierzył prawdziwy karabin, o, taki, strzelałbym i...

— I zabił siebie, albo kogo ze swoich, zamiast boksera — dokończył pan Liwski, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Tak, kogo ze swoich — powtórzył oburzony Janek — niby to co trudnego strzelać?... Celuje się, jak ze zwyczajnej strzelby, pociąga za cyngiel, i jednego nieprzyjaciela mniej!

— No, no! zobaczymy! może dostaniesz broń — rzekł pan Włodzimierz, głaszcząc po twarzy małego zucha — tymczasem jednak zadowolnij się dzidą. — Narazie spokojnie — dodał, zwracając się do inżynierowej.

— Odeszli? — zagadnęła pani Wanda, podnosząc ku niemu załzawione oczy.

— Nie widać nikogo podejrzanego! Daliśmy porządną nauczkę zuchwalcom, napewno nie odważą się wrócić.

— Daj Boże! — westchnęła inżynierowa.

— A gdzie ojciec Paweł? — zagadnęła Zosia. — Chciałabym, żeby odprawił Mszę w kaplicy. Nigdy nie widziałam takiego małego kościołka.

— Niezadługo powróci, moje dziecko.

W tej chwili wszedł do kapliczki ojciec Leon, chmurny, widocznie zmartwiony, tuż za nim wśliznął się misjonarz Chińczyk, niosąc węzełek na ramieniu.

— Co słychać?—zapytała z trwogą inżynierowa.

— W mieście gwałty, misję ewangelicką napadł tłum i... Boże mój... Prawdopodobnie będziemy musieli szukać schronienia w dzielnicy europejskiej — mówił misjonarz — przygotuj się pani na to...

— Co mam czynić?

— Przebrać się — odparł ojciec Leon, wskazując na przyniesione przez towarzysza rzeczy.

— Za Chinkę? — zapytała ze zdziwieniem inżynierowa, spoglądając na odzież, którą Czeng wyjmował z zawiniątka.

— Inaczej nie pozwolonoby wam przejść spokojnie, dla dzieci są także ubrania.

— Ja mam zamienić się na Chińczyka?! — krzyknął Janek — za nic w świecie!

— Bądź rozsądny, to tylko tymczasem — perswadowała mu matka.

— Więc sądzisz, ojcze, że trzeba opuścić misję? — zagadnął Liwski.

— My uczynimy to w ostateczności dopiero, ale wy nie powinniście narażać się bez potrzeby... W dzielnicy europejskiej znajdziecie się pod osłoną wojska, tu zaś...

— Co do mnie, pozostałbym, ale inżynierowa nie potrafiłaby obejść się beze mnie.

— Dziękuję ci, mój synu, za dobre chęci — przerwał misjonarz — ale niema czasu do stracenia. I tobie radzę, przebierz się.

Pan Włodzimierz po krótkiem wahaniu usłuchał. W pół godziny potem wrócił do kapliczki, zmie-

niony do niepoznania: na głowie miał kapelusz szeroki i śpiczasty; na sobie tiunikę, szerokie spodnie, trzewiki z zakrzywionemi do góry nosami; brakowało mu tylko warkocza.

Pani Wanda wyglądała też, jak najprawowitsza Chinka; Janek zamienił się na pocieszną figurkę. Zosia śmiała się z brata, on zaś z niej, bo była podobna do dużej lalki.

Pan Włodzimierz, przypatrując się inżynierowej i dzieciom, z trudnością powstrzymał uśmiech cisnący mu się na usta, maskarada taka miała bowiem w sobie wiele komizmu.

To nic a nic nie pomoże, poznają nas! — biadała pani Wanda.

— Zapominasz pani, że kobiety tutejsze nie chodzą pieszo, tylko każą się nosić w zamkniętych lektykach — zrobił uwagę misjonarz — nikt więc nie będzie się wam przyglądał, zresztą poczekamy do zmroku.

Ojciec Leon uciął, bo nieopodal huknęło znowu kilka strzałów karabinowych. Pan Włodzimierz porwał za karabin i wybiegł z kapliczki.

Przed misją stało zaledwie kilkunastu kulisów (tragarzy); ale z sąsiedniej uliczki wypływał tłum i napełniał placyk. Wpośród zbiegowiska zauważono żołnierzy chińskich.

— Zdaje mi się, że gubernator wysłał patrole dla utrzymania porządku w mieście — rzekł Liwski.

— To nie patrol — odparł ojciec Leon — ot,

zwyczajnie żołnierze zmieszali się z tłumem. — Hm, zatrzymują się.

W istocie, gromada, złożona ze trzystu przynajmniej Chińczyków, dążyła prosto do bramy misji; kilku niosło grube drągi, któremi zaczęto walić w wątłe ogrodzenie.

— Do broni! zająć stanowiska! — zawołał Liwski, ujrzawszy niebezpieczeństwo.

Skoro jednak obrońcy misji ukazali się za bramą, tłum obsypał ich gradem kamieni, żołnierze zaś dali ognia.

Obrońcy misji w mgnieniu oka znaleźli się na stanowiskach, trzasnęło równocześnie dziesięć karabinów, i kule ze złowrogim świstem leciały w tłum bokserów.

Ojciec Leon, bezbronny, z krzyżem podniesionym żegnał i błogosławił garstkę chrześcijan, walczących z poganami.

Tym razem napad był tak gwałtowny, że niebawem Liwski, widząc niebezpieczeństwo dania odporu poza nędznym płotem, polecił cofnąć się do kapliczki i szkółki; odwrotu dokonano w porządku, utraciwszy tylko jednego rannego,

Szczupły oddziałek zamknął się w zaimprowizowanej forteczce i przez naprędce porobione z okien strzelnice utrzymywał ogień przeciwko nieprzyjacielowi, który, wyłamawszy bramę, wtargnął do ogrodu.

Pani Wanda, nawpół omdlała z trwogi, siedziała w kąciku na stołku, Zosia szlochała u jej nóg, Ja-

nek zaś, oswoiwszy się prędko ze zgiełkiem i hukiem, przypatrywał się ciekawie temu, co się dokoła niego działo.

Dość grube kamienne mury kapliczki dawały całkiem wystarczające schronienie od kul karabinowych; oprócz dwóch ranionych u bramy nikt dotąd nie poniósł szwanku, bo Chińczycy strzelali kiepsko, i żadna kula nie wpadła przez okna.

Liwski obchodził stanowiska i zachęcał towarzyszy do boju; ojciec Leon, spokojny, jak zwykle, czynił w milczeniu przygotowania do Mszy i odprawiał ją przy pomocy młodego Chińczyka, nie zważając na grzmot wystrzałów, wstrząsający szybami.

Pani Wanda modliła się żarliwie, błagając o pomoc Najwyższego, i czuła, jak do niedawna szarpiąca jej sercem trwoga ustępowała miejsca chrześcijańskiej rezygnacji. Ojciec Leon świecił przykładem wszystkim obecnym, spokój, rozlany na jego twarzy, przemawiał lepiej, aniżeli najgorętsze słowa.

Obrońcy kapliczki, ufni w zwycięstwo, zdwoili energję; pan Włodzimierz zachęcał własnym przykładem, niebaczny na uderzające w mur kule, stał w oknie i strzelał do rozżartego tłumu, który chcąc nie chcąc, musiał szukać poza okolicznemi domami schronienia od celnego ognia oblężonych.

— Odparliśmy szturm! — wołał triumfująco młody przyrodnik, schodząc z posterunku.

Chrześcijanie odetchnęli z całych piersi.

Liwski ostudził jednak zwycięskie zapały towarzyszy uwagą, że oblężenie bynajmniej się nie

skończyło. Bokserzy zajęli tylko wygodniejsze stanowisko, ale nie porzucili zamiaru zdobycia misji.

— Co się dzieje z ojcem Pawłem? — mówiła pani Wanda. — Obawiam się, żeby nie zechciał powracać tutaj.

— Sądzę, że się uda do dzielnicy europejskiej — rzekł ojciec Leon.

— Oby go Bóg natchnął tą myślą!

Było południe, gdy Chińczycy znowu zaczęli strzelać i napierać na misję. Oblężeni słyszeli w chwilach ciszy huk broni palnej od strony rzeki, i to dawało im dużo do myślenia.

— Czyżby bokserzy napastowali nietylko katolicką misję? — mówił ojciec Leon, nadstawiając ucha.

— Niestety, mój bracie — westchnął chiński misjonarz — przypuszczenia twoje są bardzo prawdopodobne.

Ojciec Leon potrząsnął głową i podniósł oczy ku niebu.

— Boże, miej w Swej opiece chrześcijan! — wyszeptał.

Nie było jednak czasu na rozmowy, bo oblegający otworzyli ogień, rosnący z każdą chwilą. Liwski stanął przy strzelnicy.

— Dzieci, nie ruszać się z pod ściany! — ostrzegał, widząc, że Janek zbliża się ku niemu.

— Panie Włodzimierzu! — zawołał błagalnie chłopiec — daj mi chociaż rewolwer, żebym mógł bronić mamy i Zosi; nie ulęknę się wcale bokserów, jak ojca kocham.

— Dobrze, dobrze! — odparł Liwski.

Właśnie chciał pociągnąć za cyngiel, ale opuścił broń, spostrzegł bowiem, że bokserzy w popłochu uciekają na wszystkie strony.

— Co to znaczy?! nieprzyjaciel ustępuje — zawołał.

Czy podobna? — zapytał radośnie chiński misjonarz.

— Patrz, ojcze! — rzekł Liwski, ustępując miejsca Czengowi.

— Wojsko rządowe znać przybywa.

— Czyż nie widziałeś, młodzieńcze, żołnierzy regularnych pomiędzy bokserami? Nie, wojsko wymówiło posłuszeństwo władzom.

— A ja powtarzam, ojcze, że to wojsko zdąża nam na odsiecz, dostrzegam już błysk bagnetów...

— Nasi żołnierze rzadko noszą bagnety.

— Wojsko, wojsko! — wołał pan Włodzimierz, przybiegając do inżynierowej. — Słyszy pani? Jesteśmy ocaleni!

Oddział, złożony z pięćdziesięciu ludzi, maszerował ku misji; przypatrzywszy się mu lepiej, Liwski przekonał się, że ma przed sobą marynarzy francuskich w niebieskich bluzach z wywiniętemi kołnierzami.

— To Europejczycy! — krzyknął Janek.

Pani Wanda porwała chłopca w objęcia i, odurzona niespodziewanem szczęściem, ściskała go i całowała.

— Widzicie, moje dzieci, Bóg jest miłosierny — powtarzała rozpromieniona.

Oficer francuski, dowodzący marynarzami, nalegał o pośpiech. W mieście, podług jego słów, wrzało; Europejczycy przerażeni napadami na misje, szukali schronienia w dzielnicy cudzoziemskiej, strzeżonej przez szczupłe siły wojskowe. Tłum zamordował pastora anglikańskiego wraz z całą jego rodziną, misjonarze ewangeliccy ledwie uszli z życiem. Tientsin dyszy nienawiścią przeciwko djabłom zamorskim...

— Zapewne zawdzięczamy ocalenie ojcu Pawłowi — zagadnęła pani Bardzka, skończywszy wybieranie najpotrzebniejszych przedmiotów z kufrów. — On uwiadomił pana o naszem rozpaczliwem położeniu, czy tak?

— Nie mam przyjemności znać ojca Pawła — odparł oficer — o napaści na misję wiedzieliśmy jeszcze wczoraj, ale dla braku odpowiedniej siły zbrojnej nie mogliśmy nieść rodakom odsieczy; w nocy dopiero otrzymaliśmy trzystu ludzi z krzyżowca, który przed paru dniami zarzucił kotwicę w Taku.

— Znajdziemy ojca Pawła — wtrącił Liwski.

Niebawem oblężeni, pod osłoną bagnetów, opuścili misję; marynarze maszerowali wąskiemi uliczkami z bronią gotową do strzału; przebywszy połowę drogi, musieli się jednak zatrzymać, bo tłum nie pozwolił posuwać się naprzód. Chińczycy wydawali namiętne okrzyki, tłocząc się przed jednym z domów; spostrzegłszy jednak wojsko europejskie, rozproszyli się w mgnieniu oka.

— Naprzód! — zakomenderował oficer.

Kiedy mijano ów dom, pani Bardzka spojrzała na ścianę i krzyknęła przeraźliwie. Dostrzegła bowiem ponad bramą krwawiącą jeszcze, świeżo odrąbaną od tułowia głowę, przybitą do muru.

Była to, o zgrozo! głowa ojca Pawła; ciało męczennika leżało na ziemi, obok szczątków połamanego krzyża.

Była to, o zgrozo! głowa ojca Pawła...

ROZDZIAŁ XIII.

Z deszczu pod rynnę.

Dzikie namiętności wybuchnęły w Tientsinie, porywając wszystkich. Chińczycy wypowiedzieli Europejczykom nieubłaganą walkę; nikt się już nie czuł bezpiecznym, nawet w dzielnicy cudzoziemskiej.

Pani Wanda znalazła schronienie w konsulacie francuskim, dzięki wstawiennictwu przełożonego misji, ojca Leona; śmierć czcigodnego kapłana sprawiła na biednej kobiecie piorunujące wrażenie; Zosia też majaczyła w nocy i płakała, nie mogąc zapomnieć strasznego widoku. Liwski czynił, co leżało w jego mocy, byleby przywrócić spokój inżynierowej, ale nadaremnie.

Pani Wanda czuła się zdenerwowaną do najwyższego stopnia i nie zmrużyła oka do samego świtu.

Dobrze się też stało. Nad ranem w dzielnicy europejskiej zajaśniały liczne łuny; bokserzy podpalili kilkanaście domów równocześnie, i gdyby nie błyszczące bagnety marynarzy, sprawiliby rzeź pomiędzy „djabłami zamorskiemi“.

Starano się ugasić pożar, ale wszelkie wysiłki okazały się bezskuteczne, zdołano tylko przeszkodzić Chińczykom w nowych podpalaniach.

Około południa położenie stało się krytyczne; ukazało się bowiem kilka oddziałów regularnego wojska chińskiego, które rozpoczęło nieprzyjacielskie kroki.

Część Europejczyków pozostała w konsulatach, w zamiarze bronienia się tam, reszta schroniła się na dworzec kolejowy, gdzie się oszańcowały wojska, zagrożone przez Chińczyków.

Liwski namawiał panią Wandę, żeby opuściła konsulat, ale inżynierowa oparła się jego prośbom.

— Niech się dzieje, co chce, nie ruszę się stąd! — powtarzała.

Narazie wyszło to na dobre, nazajutrz bowiem, t. j. w dniu 16 czerwca Chińczycy uderzyli gwałtownie na dworzec; wywiązała się zażarta bitwa, garstka Europejczyków, licząca zaledwie 2.000 żołnierzy, broniła się rozpaczliwie.

Kilkakrotnie Chińczycy przypuszczali szturm, ale zawsze musieli się cofać przed celnym i gęstym ogniem Europejczyków.

Wkońcu napastnicy dali za wygraną, lecz Europejczycy ponieśli ciężkie straty.

Bitwa miała miejsce na skraju dzielnicy cudzoziemskiej, i w tak niewielkiej odległości od konsulatu francuskiego, że Liwski widział dokładnie cały jej przebieg z okien.

Widowisko to nie było jednak bezpieczne, gdyż niejedna kula uderzyła w mury domu.

Pani Wanda cały dzień przepędziła z dziećmi, nie puszczając ich ani na krok od siebie; biedaczka drżała, aby któremu nie zdarzyło się co złego

Nad wieczorem ogień karabinowy ucichł, i inżynierowa uspokoiła się trochę; konsulatowi francuskiemu, jak się zdawało, nic nie groziło; szczupły zastęp jego obrońców, liczący stu żołnierzy marynarki, znajdował się jednak w ciągłem pogotowiu.

— Niech się pani położy spać na godzinkę! — prosił Liwski, spostrzegłszy, że pani Wanda ledwie trzyma się na nogach ze znużenia.

— Za nic w świecie! — odparła żywo inżynierowa.

— Potrzeba pani sił — perswadował młodzieniec — niewiadomo, co nas czeka jutro.

— Nie usnęłabym nawet, proszę pana.

Wkońcu atoli uległa gorącym namowom pana Włodzimierza i położyła się w ubraniu; biedaczka, w jednej chwili zapadła w sen głęboki, prawie letargiczny. Nie zbudziły ją nawet bliskie strzały armatnie, które, ku wielkiej trwodze Europejczyków, zagrzmiały nagle około północy.

Liwski zerwał się, jak podrzucony sprężyną, i podbiegł do okna. W ciemnościach dostrzegał smugi ognia, tryskające z niewidzialnych paszcz stalowych i oświecające, niby błyskawica, sporą przestrzeń. W kilka sekund po każdym wystrzale odzywał się przeraźliwy trzask, i wybuchały jeszcze jaśniejsze,

jeszcze bliższe błyskawice. Młodzieniec szybko się zorjentował... To granaty, rzucane przez Chińczyków, pękały w dzielnicy europejskiej... Niebawem jeden z nich padł na dom konsulatu francuskiego, rozległ się huk, od którego mury zadrżały w posadach; lampa, paląca się na stole, podskoczyła i zgasła.

Hukowi zawtórował rozpaczliwy krzyk.

Pani Wanda rzuciła się do dzieci i poomacku usiłowała je odszukać.

— Zosiu, Janku! — wołała z najwyższym niepokojem.

— Jestem! — odparł rezolutnie Janek.

— Nic ci się nie stało?! A ty, Zosiu?

— Ja się boję!

— Co to było, proszę mamy? — pytał Janek.

— Albo ja wiem? — odparła inżynierowa.

Nowy łoskot rozległ się nieopodal; dachówki, zrzucone z sąsiedniego domu, spadały na ulicę.

— Chińczycy bombardują dzielnicę europejską, proszę pani, — rzekł pan Włodzimierz — o ile mi się zdaje, granaty lecą od strony szkoły wojskowej, położonej tuż prawie obok dworca... Ot, niech pani patrzy! Znowu wybuchnęły trzy snopy ognia. Armaty stoją w oknach, zamiast w strzelnicach.

— A nasi — pytała pani Wanda.

— Odpowiadają, ale rzadziej; znać nie posiadają tyle dział, co nieprzyjaciel — odparł Liwski. — To źle, bo nie zmuszą go do milczenia.

— Boże, co czynić! — jęczała pani Bardzka, zasłaniając oczy.

— Zdać się na los i czekać.

— A dzieci?

— Miejmy nadzieję, że nie stanie się im nic złego.

— Ależ strzelają do nas!..

— Cóż na to poradzimy?.. — Chyba umieścimy dzieci w piwnicy, granaty nie wyrządzą tam krzywdy nikomu.

— Tak, masz pan słuszność! w piwnicy bezpieczniej — rzekła inżynierowa — Chodźcie dzieci! A zapałki?

Kanonada grzmiała coraz potężniej; Chińczycy ustawili w kilku punktach działa i obrzucali dzielnicę cudzoziemską gradem bomb; jedna z nich spadła właśnie na ulicę, tuż przed konsulatem, i pękła z hukiem piekielnym, odłamki jej poodrywały tynk od murów konsulatu, napełniając wapiennym kurzem powietrze.

Pani Wanda nie potrzebowała już lampy, w sąsiedztwie zapłonął bowiem jakiś dom i rozświetlał wyraźnie wnętrze konsulatu; schwyciła na ręce płaczącą Zosię i wybiegła z pokoju.

W konsulacie panował zamęt nie do opisania: szukający tutaj schronienia Europejczycy, przeważnie Francuzi, błąkali się oszołomieni, kobiety płakały lub modliły się, dzieci wrzeszczały, mężczyźni usiłowali uspokajać przestraszonych, choć sami tego potrzebowali. Granaty padały coraz częściej, wzniecając pożary w całej dzielnicy, widno było jak w dzień...

Krwawe płomienie oświetlały blade, wykrzywione trwogą twarze.

Konsulat znowu zadrżał do fundamentów; szyby z okien wyleciały z brzękiem, dym napełnił pokoje...

— Granat, Granat!... — odezwały się przestraszone głosy.

— Spadł na dach!

— Nie, wpadł przez okno!

— Boże, zmiłuj się nad nami.

— Do piwnicy, do piwnicy! — krzyknął Liwski — za mną!

— Tak, tam nas nie dosięgną bomby — dodała pani Wanda.

Wszyscy rzucili się za panem Włodzimierzem, i za chwilę piwnice napełniły się. Inżynierowa zajęła miejsce w kąciku i zapaliła przyniesioną z sobą świecę.

— Siadaj pan, ot, tutaj na beczce! — rzekła, zwracając się do nauczyciela.

— Dziękuję! — odparł Liwski — wracam na górę.

— Na Boga! poco? Nie zostawiaj mnie pan samej! — błagała pani Wanda, składając ręce.

— Muszę wiedzieć, co się dzieje — odparł stanowczo młodzieniec — dam znać, jeżeliby w domu wybuchnął pożar.

I Liwski wybiegł z piwnicy, nie zważając na prośby inżynierowej.

Stanąwszy w oknie pierwszego piętra, przyglądał się nocnej bitwie, która stawała się coraz żywszą; oszańcowani na dworcu kolejowym Europejczycy

odpowiadali na ogień chiński, którego przewaga dawała się im bardzo we znaki. Co chwila ukazywały się krwawe obłoczki w obozie, i rozlegał się charakterystyczny trzask pękających pocisków; takie same ogniki tryskały z dachów, z ulic, zewsząd. Dym prochowy mieszał się z dymami pożarów, rozniecanych w coraz to nowych punktach... Był to straszny, ale też wspaniały widok.

Artylerja chińska strzelała z zadziwiającą celnością, co dowodziło, że niemieccy instruktorzy dobrze spełnili swoją misję szerzenia militaryzmu. Działa Chińczyków nie znajdowały znać dostatecznego odporu ze strony europejskiej, bo kierowały coraz żywszy ogień na gmachy cudzoziemców; w oczach pana Liwskiego od spadłego granatu zapłonął dach niemieckiego konsulatu i oblał jeszcze krwawszą łuną całą dzielnicę. Stanie w oknie przedstawiało coraz większe niebezpieczeństwo; pan Włodzimierz powrócił więc do piwnicy. Na schodach spotkał konsula.

— No i cóż? — zagadnął tenże — zaczyna być tutaj trochę za gorąco, hę? Zdaje się, że trzeba będzie opuścić dom i schronić się na dworzec.

— Ja zaś jestem zdania, że lepiej pozostać: tam wcale nie chłodniej.

Jeszcze młodzieniec nie dokończył tych słów, gdy tuż obok rozległ się piekielny huk, gmach zatrząsł się w posadach, klatka schodowa napełniła się dymem prochowym, i gryzący pył wapienny zatamował oddech rozmawiających.

Konsul, popchnięty jakąś niewidzialną siłą, upadł

na ziemię, pan Włodzimierz zachwiał się także, ale zdołał utrzymać się na nogach.

— Czy nie jesteś pan czasem ranny? — zapytał, schylając się troskliwie nad konsulem.

Nie otrzymał atoli odpowiedzi: jego towarzysz leżał bez ruchu. Młodzieniec przerażony, dźwignął z wysiłkiem konsula i przekonał się, że ten otrzymał silną kontuzję w głowę; centymetr wbok, a odłamek granatu roztrzaskałby mu głowę w kawałki.

Zemdlonego przeniesiono do piwnicy i z trudem ocucono.

Był to dopiero początek klęski. W godzinę potem drugi granat spadł na dach budynku, i zanim żołnierze zdołali pomyśleć o ratunku, niszczący żywioł rozpoczął dzieło zniszczenia z przerażającą szybkością.

Dzielni marynarze wleźli na dach z konewkami wody, ale wnet musieli się cofnąć, bo Chińczycy, spostrzegłszy pożądany skutek, zaczęli posyłać w kierunku konsulatu zdwojoną ilość pocisków.

Trudno opisać, co się teraz działo: wszystko wybiegło z piwnic na ulicę i, wśród deszczu granatów, pobiegło do sąsiedniego gmachu, w którym mieściła się szkoła ewangelicka, a który dotąd jeszrze nie był zagrożony bezpośrednio. W tym szalonym odwrocie, dwóch z pomiędzy żołnierzy odniosło rany, i trzeba było przenieść ich na rękach.

Nowe schronienie wydawało się nieco bezpieczniejsze, było to atoli złudzeniem, i tutaj bowiem padały gęsto pociski chińskie.

Pan Liwski, zrozpaczony niemal, patrzył na jęczące z trwogi dzieci, i łamał sobie głowę nad sposobami wydobycia się z krytycznego położenia, stającego się dla wszystkich prawdziwą męką. W pośpiechu zapomniano świec; ta mała okoliczność przyczyniła się bardzo do upadku ducha.

Około godziny trzeciej w nocy dzielnica europejska przedstawiała się, jak jedno wielkie morze ognia; syk płomieni pomieszany z hukiem dział, składał się na iście piekielny koncert, zdolny rozstroić najzdrowsze nerwy.

W tem piekle upłynęły dwie długie godziny, poczem ogień, zarówno ze strony chińskiej, jak europejskiej zaczął słabnąć.

Kiedy nareszcie zabłysnął upragniony dzień, oczom przedstawił się widok smutny: z dzielnicy europejskiej pozostały tylko ruiny i dymiące zgliszcza.

Z poza kłębów dymu czarnego, widniał dworzec kolejowy, wyrzucający bez przerwy żelazo na szkołę wojskową chińską, która wywzajemniała się tem samem. Dowódca wojsk sprzymierzonych widział, że nie zdoła się obronić, jeżeli pozwoli nieprzyjacielowi ostrzeliwać się z tak wygodnego dlań stanowiska, postanowił więc jakimkolwiek kosztem wypędzić wroga ze szkoły wojskowej.

Chińczycy, widząc, że Europejczycy sprowadzają coraz więcej okrętów wojennych do ujścia rzeki Pejho, zaczęli ze swej strony gromadzić siły w fortach Taku, leżących u ujścia tej rzeki. Chcąc wzbronić wnijścia statkom cudzoziemskim na Pejho,

założyli miny na dno. Widząc to komendant europejski wysłał do wodza chińskiego ultimatum, w którem zapowiedział, że przypuści szturm do twierdzy i zdobędzie ją, jeżeli wojska chińskie nie ustąpią, a rzeka nie zostanie otwartą dla pancerników mocarstw sprzymierzonych.

Żądano także pozwolenia zajęcia opuszczonej warowni i naznaczono jako ostateczny termin odpowiedzi — poniedziałek dnia 18 czerwca.

Noc z niedzieli na poniedziałek była bardzo ciemna. Pancerniki drzemały, kołysząc się zlekka na wzburzonych falach oceanu; załogi spały z wyjątkiem straży, cisza głęboka panowała dokoła, gdy wtem z fortów chińskich trysnęły smugi ognia, ryknęły niewidzialne paszcze armatnie, i kilkadziesiąt olbrzymich granatów wpadło w wodę tuż w sąsiedztwie pancerników.

Kilka pocisków trafiło nawet, wyrządzając szkody. Wszczął się niesłychany zamęt. Zaskoczeni znienacka Europejczycy rzucili się do dział i zaczęli żwawo odpowiadać Chińczykom. Zabłysły światła elektryczne z wierzchołków masztów i z fortów Taku, zamieniając noc ciemną w dzień jasny. Niebawem pokazało się, że zarówno działa chińskie, jak i chińscy artylerzyści nie wiele ustępują europejskim, i pociski miotane z obu stron były jednakowo celne. Granaty uderzały w stal i w grube mury, szerząc zniszczenie w twierdzy, i na pokładach zakutych w żelazo olbrzymów rozlegały się jęki rannych; Chińczycy rozpoczęli bitwę przed terminem danym

sobie do namysłu, w nadziei, że się im uda zniszczyć nieprzygotowaną do napadu flotę europejską.

Admirałowie nie stracili jednak zimnej krwi, i część okrętów ostrzeliwała się fortom, reszta zaś podpłynęła do brzegu i wysadziła na ląd swoich marynarzy, którzy niezwłocznie przypuścili szturm do twierdzy.

Największe straty ponieśli Japończycy, gdyż okręty ich znajdowały się najbliżej fortecy i musiały wytrzymywać najsilniejszy ogień; stracili oni swego ulubionego dowódcę, co podniosło w czwórnasób ich męstwo. Uderzyli z taką zażartością na mury, że nic nie zdołało się im oprzeć. Pod ich bagnetami padła większa część obrońców szturmowanego fortu.

Anglicy natarli z drugiej strony, Rosjanie zaś i Niemcy od południa.

Bitwa trwała około 9 godzin i zakończyła się zajęciem fortecy przez wojska sprzymierzone.

Zwycięstwo to Europejczycy okupili jednak dużemi stratami: zginęło kilkudziesięciu żołnierzy, a kilkuset odniosło lżejsze lub cięższe rany. Oprócz tego padło dwóch wyższych oficerów.

Niezwłocznie przystąpiono do dobywania min z rzeki, a skoro tylko uskuteczniono to trudne zadanie, okręty europejskie weszły na rzekę, i na trzeci dzień po bitwie szczupła załoga Tientsinu otrzymała tak pożądane posiłki. Chińczycy byli dotąd panami miasta; obróciwszy w perzynę dzielnicę europejską, usadowili się jeszcze mocniej w mieście: ze wszyst-

kich stron nadciągały wojska cesarskie z artylerją i zupełnie otwarcie łączyły się z powstańcami. Widząc swoją siłę, synowie państwa Niebieskiego, pomimo poniesionej niedawno klęski pod Taku, tuszyli sobie, że im się uda wypędzić znienawidzonych cudzoziemców.

Do uszu osób zamkniętych pomiędzy gruzami zbombardowanej dzielnicy dochodziły hiobowe wieści: w ciągu ostatnich paru dni zginęło śmiercią męczeńską stu kilkudziesięciu chrześcjan Chińczyków pod bratobójczemi ciosami. Walki na ulicach nie ustawały; wojska cesarskie bombardowały z przerwami Europejczyków, skoncentrowanych w okolicy dworca kolejowego. Szczupły zastęp, pomimo nieustających ataków na dworzec, trzymał się dzielnie: ogień jego jednak słabnął podczas potyczek, zaczynało bowiem brakować amunicji. Wprawdzie kilkanaście kompanij marynarzy nadeszło z Pekinu z pancerników, ale cóż to wszystko znaczyło wobec 100 tysięcy wojsk chińskich; zgromadzonych wokoło miasta i zagrażających mu ciągle?

Na domiar złego, oddział, wysłany pod dowództwem Seymoura, nie potrafił się przedrzeć przez zastępy nieprzyjaciół i, straciwszy dużo ludzi, cofnął się do Tientsinu. Opowiadano sobie straszne rzeczy o tym odwrocie. Lord Seymour, nie mogąc zabrać z sobą rannych musiał pozostawić ich na pastwę nieprzyjaciół; nieszczęśliwi żołnierze widzieli doskonale, jaki los czeka ich, jeżeli wpadną w ręce wroga;

prosili więc, ażeby raczej podobijano ich, aniżeli narażano na śmierć w srogich męczarniach.

Po długiem wahaniu dowódca angielski zgodził się uczynić zadość błaganiom biedaków i pozwolił przyjąć truciznę tym, którzy sobie tego życzyli. Postępek ten ściągnął na lorda liczne zarzuty; znaleźli się nawet tacy, co nazwali go mordercą żołnierzy; ale wtajemniczeni w prawdziwy stan rzeczy nie brali za złe tego postępku szlachetnemu Anglikowi, kierującemu się bardziej sercem, aniżeli przepisami służby. Po drodze Anglicy czytali wszędzie odezwy następującej treści: „Waleczni wszystkich prowincyj! Ponieważ ludzie z zachodu w bezprawnem postępowaniu swem przekraczają wszelką miarę, postanowiliśmy zebrać się dnia 15 kwietnia, aby ludzi zachodnich pozabijać, a mieszkania ich spalić. Wszyscy inaczej myślący Chińczycy są zbrodniarzami i zdrajcami ojczyzny. Ci zaś, co przeczytają to wezwanie, a nie postarają się o jego rozpowszechnienie, także będą uważani za zdrajców".

Nic dziwnego, że na wezwanie takie całe tłumy łączyły się z powstańcami. Wojsko oddawna trzymało stronę bokserów, a nawet mandaryni sprzyjali im pocichu.

Oblężeni z największem bohaterstwem odpierali ponawiane ataki nieprzyjaciela i wyglądali niecierpliwie odsieczy. Jeżeliby większe posiłki nie nadeszły wkrótce, to katastrofa byłaby nieunikniona.

Ulice Tientsinu przedstawiały okropny widok; wszędy poniewierały się trupy pozabijanych Chiń-

czyków i Europejczyków; rzeka Pejho niosła na swoich falach wezbranych rozkładające się ciała do morza. Nazajutrz po bombardowaniu, pani Bardzka, ulegając namowom Liwskiego, przeniosła się do dworca i tam zamieniła się na Siostrę Miłosierdzia. Z prawdziwem poświęceniem pielęgnowała rannych i chorych wespół z innemi kobietami, i to pozwalało jej zapomnieć o swoich własnych cierpieniach. Pani Wanda, nie mając tak długo wiadomości o mężu, oswajała się powoli z myślą, że dzieci jej zostały sierotami; oczekiwała tylko sposobności, ażeby natychmiast po ukończeniu rozruchów opuścić znienawidzone Chiny.

Ale końca rozruchów nie było wcale widać: przeciwnie, zanosiło się na jeszcze gorsze rzeczy. Książę Tuan, któremu udało się wziąć w swoje ręce władzę naczelną, posłał sto tysięcy wojska z Pekinu z poleceniem wypędzenia „djabłów zamorskich". Pomiędzy temi zastępami znajdowały się wyborowe pułki, wyćwiczone i uzbrojone na sposób europejski.

Okolice Tientsinu stały się więc widownią upartych bojów; Europejczycy z największym wysiłkiem wytrzymywali napór Mongołów. Posiłki wysłane z Taku przybywały bardzo wolno, gdyż musiały bez wytchnienia bronić się nacierającym na nich Chińczykom. W tych warunkach trzeba było olbrzymich zasobów energji, ażeby nie ulec przemagającym siłom wroga.

Wojska europejskie, nie mogąc wytrzymać bombardowania Chińczyków, opuściły wkońcu Tientsin

i rozłożyły się obozem w jego okolicach. Znaczna część Europejczyków pozostała w mieście, ufna w bliskie sąsiedztwo swoich, ale nierównie więcej wyszło razem z wojskiem. Pokazało się niebawem, że ci ostatni, do których nie należała na szczęście pani Bardzka, popełnili wielką nieroztropność; Chińczycy, widząc ustępującego nieprzyjaciela, zaczęli się dopuszczać na „czartach z zachodu“ rozmaitych okrucieństw. Komendanci wojsk europejskich, otrzymawszy posiłki, nie przypuszczali szturmu do zajętego przez Chińczyków miasta, gdyż obawiali się ściągnąć jeszcze większe prześladowania na swoich.

ROZDZIAŁ XIV.

Wzajemnie opłakiwani.

Rozstaliśmy się z inżynierem Bardzkim w chwili, kiedy ten zamierzał przedrzeć się przez wielki mur. Usiłowania zmierzające do tego celu nie powiodły się atoli: Chińczycy, jak się pokazało, strzegli baczniе dostępu do swego państwa; straże poznały cudzoziemców, i nasi podróżni o mało nie wpadli w potrzask.

Jechano więc wzdłuż wielkiego muru, w nadziei, że się uda znaleźć taką sposobność. Tak po upływie paru dni Bardzki znalazł się mimowoli nad samym brzegiem morza. Szczęście posłużyło mu nadspodziewanie: napotkał bowiem dżonkę chińską, której właściciel zabrał go za umiarkowaną opłatą na pokład. Była to podróż powolna wprawdzie, ale zato zupełnie bezpieczna. Po tygodniu, niepozorny stateczek, dzięki sprzyjającej pogodzie, dotarł do ujścia Pejho i nie zaczepiany przez nikogo, wpłynął na rzekę.

Inżynier spodziewał się, że mu się uda bez trudności dostać z Tientsinu do Pekinu, gdzie miał nadzieję znaleźć żonę z dziećmi. Jakież jednak było

jego zmartwienie, kiedy dowiedział się o zawierusze panującej w jego okolicach.

Wobec tego przestał się łudzić. Czyż można było na chwilę jedną przypuszczać, że pani Bardzka zdołała się ocalić? Tak więc z jednej strony inżynierowa opłakiwała męża, z drugiej zaś inżynier rozpaczał nad stratą drogich osób.

Maleńka iskierka nadziei tleje zawsze w piersiach człowieka nawet wtedy, jeżeli rozum powiada mu, że się łudzi nadaremnie. Tak też działo się z inżynierem: postanowił on koniecznie dotrzeć do Pekinu i stwierdzić na pewno, że pozostał sam jeden na świecie.

Ale jak dokonać we trzech tego, o co napróżno kusiło się 20 tysięcy wojsk europejskich?

Inżynier zaczął od tego, że przyłączył się do oddziału amerykańskiego, zmierzającego do Tientsinu. Rzecz naturalna, iż Li i obaj Anglicy towarzyszyli mu w dalszym ciągu.

Po całotygodniowych walkach z bokserami, Amerykanie zdołali z niewielkiemi stratami połączyć się z głównemi siłami europejskiemi. Pan Bardzki nie wiedząc nic o tem, znajdował się niedaleko swej rodziny. Inżynierowa także nie przeczuwała, że opłakany przez nią mąż jest tuż obok.

Tymczasem wypadki przybierały taki obrót, że trzeba było nadzwyczaj szczęśliwego zbiegu okoliczności, aby rozłączona rodzina mogła się połączyć.

Pani Bardzka bowiem pełniła obowiązek dozorczyni w lazarecie polowym francuskim, jej mąż zaś

trzymał się przy oddziale amerykańskim, który miał wziąć udział w wyprawie do Pekinu, celem oswobodzenia obleganych w poselstwach Europejczyków. Gorąca pora roku nie sprzyjała atoli takiemu przedsięwzięciu; oprócz tego armja sprzymierzona cierpiała na brak zwierząt pociągowych, nie mówiąc już o tem, że była niedostatecznie liczna, aby oprzeć się przemagającym siłom nieprzyjacielskim. Tymczasem Chińczycy, rozzuchwaleni bezczynnością wojsk cudzoziemskich, prześladowali w dalszym ciągu djabłów zamorskich.

W dniu 6 lipca wojsko Chińskie zaatakowało znowu oszańcowanych wpobliżu dworca kolejowego Europejczyków; mieli oni 12 armat.

Ze wszystkich okolic ściągały wojska chińskie pod Tientsin; niebawem zaniepokojeni Europejczycy dowiedzieli się, że mają do czynienia z wyborem sił nieprzyjacielskich. Książę Tuan zdołał wystawić 75 tysięcy wyćwiczonego żołnierza, i z temi zastępami uderzono w dniu 9 lipca na obwarowanych pod miastem Europejczyków. Cała dzielnica cudzoziemska przedstawiała oddawna jeden stos gruzów: Chińczycy poustawiali na zniszczonych murach działa dużego kalibru i zaczęli prażyć nieprzyjaciela morderczym ogniem. Wywiązał się srogi bój; najdzielniej spisywali się Japończycy: przypuścili oni energiczny szturm do pozycyj nieprzyjacielskich, położonych pomiędzy dworcem kolejowym a miastem chińskiem. Zmuszona do milczenia, artylerja wroga pozwoliła cokolwiek odetchnąć znużonym wojskom sprzymierzonym; nie

trwało to jednak długo; po południu Chińczycy pokusili się o odebranie utraconych stanowisk, i bój przerwany na chwilę zawrzał z podwójną siłą. Najbardziej dawał się we znaki ogień artyleryjski z dział ustawionych w arsenale; postanowiono przeto wyrzucić za jaką bądź cenę stamtąd nieprzyjaciela. Trudnego tego zadania podjęli się połączonemi siłami Amerykanie, Niemcy i Rosjanie. Z nieustraszonem męstwem poszli oni do szturmu, ale wszelkie usiłowania rozbijały się przez długi czas o rozpaczliwy opór Chińczyków.

Wreszcie około godziny 4-ej po południu zdobyto, jak zwykle z bagnetem w ręku, arsenał. Nieprzyjaciel, widząc, co się dzieje, skierował kilkadziesiąt armat na utraconą pozycję. Daremnie Europejczycy starali się utrzymać na wziętej pozycji; deszcz granatów, padających z niewielkiej odległości, wyrządzał im tak dotkliwe szkody, że musieli się wycofać.

W podobnych warunkach odwrót jest zawsze równoznaczny z klęską, to też pole bitwy zasłało się gęsto trupami i rannymi. Przedtem jednak zdołano podpalić arsenał i zagwoździć znajdujące się tam armaty.

W dniu tym sprzymierzeni utracili około 100 zabitych i trzy razy tyle rannych. To połowiczne zwycięstwo wlało nową energję w Chińczyków, tak, iż w środę 11 lipca pokusili się oni o nowy szturm do utraconych onegdaj stanowisk. Przewaga liczebna zawsze jest w nowoczesnym systemie prowadzenia wojen czynnikiem decydującym, bo karabiny maga-

zynowe jednaki wywierają skutek zarówno w ręku Europejczyka jak Azjaty; to też po walecznym oporze, wojska sprzymierzone nietylko wyparte zostały ze zdobytych niedawno stanowisk, ale jeszcze musiały ustąpić z dworca kolejowego, gdzie tak długo opierały się Chińczykom. Na szczęście nadeszły posiłki; wsparci niemi Europejczycy rzucili się, aby odebrać nieprzyjacielowi dworzec. Był to najgorętszy dzień: 100 dział grzmiało bez przerwy, wystrzały karabinowe zlewały się w jeden nieustający grzmot. Chińczycy walczyli dzielnie, wkońcu jednak ulegli przewadze taktyki europejskiej i w nieładzie cofnęli się na przeciwny brzeg rzeki Pejho.

Do lazaretu, w którym pełniła obowiązki dobrowolnie na siebie przyjęte pani Bardzka, co chwila wnoszono nowych rannych. Nie zwracając żadnej uwagi na pociski, dolatujące nierzadko aż do przenośnego szpitala, lekarze nieśli pomoc nieszczęśliwym ofiarom wojny. Inżynierowa, wespół z innemi kobietami, asystowała przy operacjach, siłą woli pokonawszy nerwy, wzdrygające się na widok krwi i cierpień.

— Boże mój, — mówiła, zdejmując z koleżankami z noszów Anglika, któremu kula działowa oberwała nogę powyżej kolana — dlaczego ci ludzie wchodzą sobie wzajemnie w drogę, zamiast siedzieć u siebie w spokoju? Poco zakłócać sobie wzajemnie to życie i tak już marne? Tyle krwi, tyle cierpień!

Żołnierz jęczał ciężko i zbielałemi usty błagał, ażeby go dobito, gdyż cierpiał strasznie. Nikt jednak

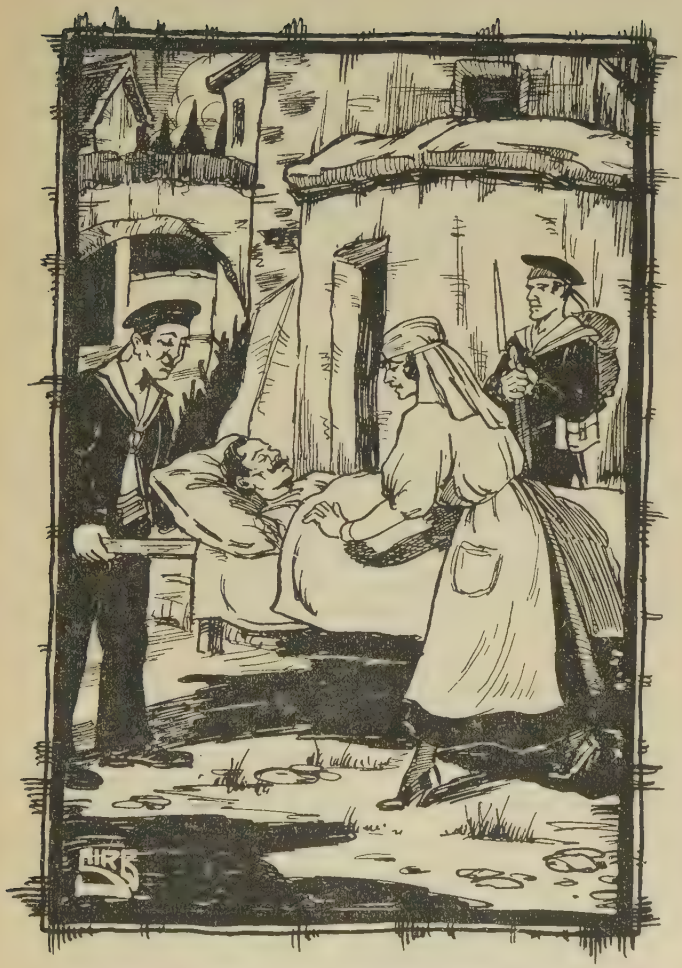

Inżynierowa zbliżyła się do jednego z rannych...

nie zwracał uwagi na jego prośby, chirurg z zimną krwią przygotowywał chloroform oraz instrumenty do amputacji, pani Bardzka zaś wyszła na chwilę do sąsiedniego pokoju, gdyż zawiadomiono ją, że jeden z niedawno operowanych Niemców jest umierający i prosi, aby ktoś był przy nim obecny.

Inżynierowa pośpieszyła więc do biedaka, aby nieść mu pociechę. Kiedy po upływie kwadransa powróciła, zastała już świeży transport rannych, przyniesionych z pola bitwy.

— Znowu tyle! — zawołała. — Z jakiego oddziału?

— Z amerykańskiego — odparł felczer.

Inżynierowa zbliżyła się do jednego z rannych, ale spojrzawszy nań uważniej, wydała przeraźliwy okrzyk i cofnęła się jakby na widok widma; w rannym Amerykaninie poznała bowiem swego męża.

Nieszczęśliwa kobieta pokonała atoli prędko pierwsze wrażenie.

— Co ci jest, najdroższy?—zapytała troskliwie.— Skąd się tu wziąłeś w amerykańskim oddziale? Pokaż, gdzie otrzymałeś ranę?

W słowach jej odbijała się śmiertelna trwoga, miarkowana jedynie nadludzką siłą woli.

— Zdaje mi się, że nic złego — odparł inżynier, uśmiechając się lekko — tuż koło mnie pękł granat. Upadłem i sądzę, że mnie trafił jakiś niewielki odłamek, bo nie mogę poruszać lewą nogą.

— Boże mój, Boże, — szeptała pani Wanda, zasłaniając oczy.

Biedna kobieta nie mogła pomimo chęci, pokonać trwogi i upadła na krzesło, pozwalając towarzyszkom opatrzeć męża, sama zaś z najżywszym niepokojem oczekiwała rezultatu oględzin lekarskich.

— Chwała Bogu, nic strasznego! — zawołał chirurg, zbadawszy inżyniera — kontuzja w nogę. Za tydzień będziesz pan zdrów, jak ryba. — Te słowa wlały otuchę w panię Wandę; zakrzątnęła się sama około opatrunku, położyła męża na najwygodniejszem łóżku i usiadła przy nim, aby się dowiedzieć, skąd się wziął tak niespodzianie pod Tientsinem.

— A gdzie dzieci? — pytał inżynier z niepokojem.

— Całe i zdrowe, zostają pod opieką misjonarzy francuskich, niedaleko stąd.

Nie było czasu na długą rozmowę, bo obowiązki wzywały panią Wandę do pokoju operacyjnego; inżynier odpowiedział więc w paru słowach na pytanie.

— Przyjechałem do Tientsinu morzem, przyłączyłem się zaś do Amerykanów, bo ci zamierzali niebawem wyruszyć do Pekinu. Byłem pewny, że was tam znajdę.

— Pekin objęty pożogą i mordem! byłoby to szaleństwem narażać się w ten sposób.

— Nie było takiego szaleństwa, jakiegobym nie popełnił, byleby tylko połączyć się z wami! Wierzaj mi, droga Wando, że nieraz już życie moje wisiało na włosku, i niebezpieczeństwo, którego właśnie uniknąłem, nie należało do największych.

— Musisz mi wszystko opowiedzieć później — rzekła pani Bardzka, całując męża w czoło.

Rozmowę przerwało ukazanie się we drzwiach szarytek.

— Pani Wando, doktór prosi!

* * *

Podczas gdy pan Bardzki leczył się z kontuzji, pod Tientsinem toczyły się niemal bez przerwy krwawe boje. Chińczycy postanowili znać za jaką bądź cenę odebrać djabłom zamorskim miasto, ale nie mogli tego dokazać pomimo wszelkich wysiłków. Wkońcu dali za wygraną i odstąpili w kierunku stolicy. Wojska europejskie przygotowywały się do marszu na Pekin; liczyły one teraz już 25 tysięcy ludzi. Przygotowywania szły jednak niesporo z powodu rozmaitego rodzaju braków, a głównie nieprzyjaznej pory roku. Oblężeni odpoczywali, nabierając nowych sił do oczekujących ich w niedalekiej przyszłości trudów. Kontuzja pana Bardzkiego zgoiła się szczęśliwie dzięki pieczołowitej opiece pani Wandy. W tydzień inżynier mógł już opuścić łóżko a we dwa tygodnie opuścił lazaret.

Tymczasem nadeszły uspokajające wieści z Pekinu. Wprawdzie poseł niemiecki, zgodnie z dawniejszemi pogłoskami, nie żył, ale Europejczycy bronili się wciąż dzielnie w poselstwie angielskiem.

Wojska rosyjskie wkroczyły do Mandżurji i wzięły w obronę pracujących przy budowie kolei. O powrocie do Mandżurji nie było narazie mowy, pan Bardzki postanowił więc natychmiast odwieźć żonę i dzieci do Japonji i tam oczekiwać, aż minie zawierucha.

Na sposobność nie potrzeba było czekać długo. Niebawem znalazł się parowiec odchodzący do Jokohamy, i cała rodzina w końcu lipca opuściła Tientsin, gdzie niedawno jeszcze odgrywały się tak okropne sceny.

Pan Włodzimierz, rzecz naturalna, towarzyszył państwu Bardzkim. Tylko Li, poczciwy kucharz, nie chciał porzucać ojczystego kraju. Dwaj dzielni Anglicy: Wilson i Walker, udali się z inżynierem, bo chcieli wrócić z nim na opuszczone stanowiska.

W pięknym kraju Mikada rodzina polska szybko przyszła do siebie po doznanych trudach i niepokojach. Janek żałował nawet wrażeń i zapewniał, że „chętnie spróbowałby się jeszcze raz z bokserami, gdyby mu ojczulek pozwolił". Pan Bardzki uśmiechał się pod wąsem, słuchając, jak syn opowiadał mu o swoich niedoszłych czynach bohaterskich. Bohater *in spe*, zamiast bić się z bokserami, musiał jednak wziąć się do pracy pod kierunkiem pana Liwskiego, aby powetować czas utracony.

W wolnych od zajęć chwilach robił z ojcem i z nauczycielem wycieczki po okolicach Tokio, tam bowiem osiedlił się inżynier.

Państwo Bardzcy bawią dotychczas w Japonji i tak polubili ten kraj, że chętnieby w nim pozostali jak najdłużej. Żona nazywa czasami żartobliwie swego męża „białym mandarynem“, przypominając sobie poczciwego Li, który tak tytułował swego pana.

KONIEC.

SPIS RZECZY

		Str.
I.	List z dalekiego wschodu	5
II.	W drogę	16
III.	Na okręcie	21
IV.	Na oceanie	33
V.	Na oceanie	39
VI.	Niezniszczone marzenia	48
VII.	Niepokojące wieści	66
VIII.	Przerwana komunikacja	73
IX.	W którym Li doświadcza srogości praw chińskich	106
X.	Odezwa przeciw djabłom zamorskim i jej skutki	121
XI.	Przed Wielkim murem. — Nowe trudności	160
XII.	Pierwsze chwile na ziemi chińskiej. Wojna z całą Europą	174
XIII.	Z deszczu pod rynnę	203
XIV.	Wzajemnie opłakiwani	220

SPIS RZECZY

I. List z dalekiego wschodu 5
II. W drogę 16
III. Na okręcie 21
IV. Na oceanie 28
V. Na oceanie 35
VI. Niezniszczone marzenia 46
VII. Niepokojące wieści 59
VIII. Przerwana komunikacja 70
IX. W którym Li doświadcza srogości praw chińskich 79
X. Odezwa przeciw djabłom zamorskim i jej skutki 101
XI. Przed Wielkim murem. — Nowe trudności . . 116
XII. Pierwsze chwile na ziemi chińskiej. Wojna z całą Europą 134
XIII. Z deszczu pod rynnę 170
XIV. Wzajemnie opłakiwani 230

LIBRARIA
W·L·ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE